STAN NAPRAWDĘ WYJĄTKOWY

Polacy próbują przetrwać najazd imigrantów na Podlasie

Jak zmuszano radnych do wycofania uchwał przeciw promowaniu ideologii LGBT

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 41/446 11–17 PAŹDZIERNIKA 2021

BITWA BRACI?
WILLIAM WINDSOR
KONTRA
HARRY WINDSOR

Australijczycy pod butem „partii twardego lockdownu”

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

ŻĄDAM PRZEPROSIN

Ziemkiewicz o kulisach swego aresztowania w Wielkiej Brytanii

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

ZAPRASZAMY
DO ZGŁASZANIA KANDYDATÓW
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNE STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PGNiG

PARTNER

GRUPA HM Inwest S.A.

PARTNER HONOROWY

NIKiDW NARODOWY INSTYTUT KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wszystkich zamknąć w celi

Kiedy tuż przed trzecią po południu w ostatnią sobotę dostałem SMS od Rafała A. Ziemkiewicza, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Na niewielkim ekranie stało jak byk: „Nie Arestowaoi". Kilka razy popatrzyłem, ale jako żywo dokładnie tak to napisał. Wcześniej rozmawialiśmy na temat jego zatrzymania w Londynie, a to, co napisał, było odpowiedzią na moje pytanie, czy już go puszczono. Przez chwilę myślałem, że to żart. Ale zaraz potem doszedłem do wniosku, że to niemożliwe. Nigdy dotąd takich pomyłek nie popełniał – pisał zatem pewnie pod wpływem wzburzenia lub nie miał warunków, żeby poprawić tekst. Po kilku minutach zaniepokojony zadzwoniłem i zderzyłem się z głuchą ciszą. Faktycznie został zatrzymany, aresztowany i wkrótce wydalony. Cała historia jest znana i nie zamierzam jej jeszcze raz opisywać. Kluczowe w tej sprawie jest jedno: czy to, co spotkało publicystę „Do Rzeczy", to jednostkowy przypadek, zaskakujący zbieg okoliczności czy też symptom powszechnej choroby. Dokładne zbadanie faktów wskazuje na to drugie.

Publicysta został zatrzymany i wydalony dlatego, że „jego poglądy polityczne nie odpowiadają brytyjskim wartościom". Czy ktoś te poglądy zbadał? Czy odbył się jakkolwiek rozumiany proces? Czy Ziemkiewicz miał szansę wyjaśnić i przedstawić swój punkt widzenia? Nie. Mimo że z tego, co wiem, po angielsku do tej pory nie ukazała się żadna jego książka ani też żaden większy tekst, jego poglądy polityczne okazują się na tyle wywrotowe i niebezpieczne, że Wielka Brytania zamyka przed nim granice. Można zatem jedynie domniemywać, o jaką współczesną myślozbrodnię chodzi. Szczerze mówiąc, Brytyjczykami przejmuję się najmniej. Niech sami piją piwo, którego sobie nawarzyli. Chcą mieć u siebie bolszewię, niech mają.

Bardziej przejmują mnie reakcje polskie. Najpierw te oficjalne, rządowe i – szerzej – polityczne. Należy pochwalić szybką pomoc konsularną oraz publiczne głosy polityków, którzy domagali się od razu od Brytyjczyków zmiany decyzji i otwarcie brali w obronę publicystę „Do Rzeczy". Mam nadzieję, że Warszawa będzie chciała nadal wyjaśnić całe zamieszanie. Wskazywała na to wypowiedź jednego z wiceministrów, który zapowiedział rozmowę z brytyjskim ambasadorem w Warszawie. W jej trakcie polska strona miałaby ustalić, które to poglądy Ziemkiewicza są tak niesłuszne, że nie wolno go wpuścić, nawet prywatnie, do Londynu. Oby tak się stało. Wbrew różnym mniej i bardziej niemądrym opiniom doprowadzenie sprawy do końca leży w interesie wszystkich. Warszawa nie może akceptować sytuacji, w której polski obywatel, znany i powszechnie ceniony w Polsce publicysta, jest traktowany w zaprzyjaźnionym rzekomo kraju jak groźny ekstremista.

A co, jeśli brytyjscy przyjaciele pozostaną głusi na racje naszych dyplomatów? Polski rząd wówczas, uważam, powinien w stosunku do Brytyjczyków kierować się zasadą proporcjonalności. Mógłby sporządzić listę najbardziej uznanych brytyjskich dziennikarzy, którzy głoszą poglądy sprzeczne z polskim porządkiem konstytucyjnym, np. popierając ruch LGBT lub oskarżając Polskę o udział w Holokauście, i konsekwentnie nie wpuszczać ich do Polski.

Cała historia coś jednak nam unaoczniła. Wśród wielu licznych reakcji pojawił się bowiem tekst curiosum, który jasno pokazał, na czym zależy polskiej lewicy i polskim liberałom. Jedyny to znany mi przypadek, kiedy gazeta zamiast polemizować, wzywa do uwięzienia niewygodnego oponenta. Źródłem tych światłych idei jest nieoceniona „Gazeta Wyborcza", a autorem pałkarskiego ataku niejaki Stanisław Skarżyński.

Jak wynika z artykułu, który napisał, aż pali się on do pracy strażnika więzienia o podwyższonym rygorze dla niebezpiecznych prawicowców. Chwilowo w Polsce musi pozostać bezrobotny, co bardzo go drażni. Skarżyński nie polemizuje i nie tłumaczy, on oburza się, że w Polsce „osobnicy w rodzaju Ziemkiewicza" mają prawo do udziału w debacie publicznej. „W cywilizowanym kraju głoszący takie poglądy nie występowałby w telewizji, tylko oglądałby ją w jednoosobowej celi". Pan redaktor wsadziłby do celi, jak wynika z artykułu, całkiem wielu Polaków, praktycznie wszystkich tych, których podejrzewa o poglądy bliskie Ziemkiewiczowi. To jest ta wizja szczęścia publicystów z Czerskiej: więzienia przepełnione konserwatystami. Na razie biedacy muszą się zaspokoić inwektywami i pocieszyć, że Brytyjczycy odwalają za nich nieco brudnej roboty. Nieco, bo jednak kilkugodzinny areszt to nie jednoosobowa cela i jeden Ziemkiewicz wiosny nie czyni. Ach, gdyby tak aktywiści pokroju Skarżyńskiego doszli w Polsce do władzy, wszystko by się wyprostowało. Zamiast pisać, mogliby zamykać w więzieniach.

Na szczęście na razie mogą jedynie bezsilnie pluć i wierzyć, że kiedyś brytyjski zamordyzm zwycięży nad Wisłą. Ich niedoczekanie. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZNIESŁAWIENIE
Kulisy operacji brytyjskiej polityk

22 PIOTR SEMKA
MIANUJEMY CIĘ EKSTREMISTĄ

26 TOMASZ ROWIŃSKI
KIM JEST STALKERKA RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA?

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KREW, KOBALT I DWUTLENEK WĘGLA

KRAJ

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
NAJAZD NA PODLASIE
Strach przed imigrantami

36 ROZMOWA Z JACKIEM KOTULĄ
WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ

38 KAMILA BARANOWSKA
STRAŻAK TUSK

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
CZARNY PR NIEBIESKICH

KULTURA

42 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
NIEBINARNE ZŁOTE LWY Z GDYNI
46. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych

46 PIOTR GOCIEK
JUTRO KONIEC ŚWIATA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ŁUKASZ WARZECHA
POLIGON MIĘKKIEGO TOTALITARYZMU
W Australii nie ma zmiłuj

58 MARIAN PIŁKA
SZANSA POLSKIEGO HANDLU

60 PAWEŁ CHMIELEWSKI
TANI ANTYKLERYKALIZM DLA LEWICOWYCH IGNORANTÓW

HISTORIA

62 TOMASZ LENCZEWSKI
KALKSTEINOWIE-STOLIŃSCY – BOHATEROWIE I ZDRAJCY
Potomkowie rycerskiego rodu

66 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
BLASKI I CIENIE RAFAŁA LEMKINA

ŚWIAT

68 OLIVIER BAULT
CZY FRANCJA MOŻE WYJŚĆ Z NATO?
Międzynarodowa kłótnia

72 JACEK PRZYBYLSKI
PIEKŁO ZAMIAST RAJU

76 ROZMOWA Z PROF. VAKHTANGIEM MAISAIĄ
TALIBOWIE UMACNIAJĄ SWOJĄ POZYCJĘ

78 PIOTR WŁOCZYK
DIABEŁ ADWOKATA

80 JOANNA BOJAŃCZYK
BITWA BRACI?

EKONOMIA

82 JAKUB WOZINSKI
DOPIESZCZANIE OBCEGO KAPITAŁU
Powtórka z transformacji

STYL

86 TERESA STYLIŃSKA
MARMURY I TROCHĘ BETONU, CZYLI AKROPOL PO RENOWACJI

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (65), PRZYBYLSKI (75), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (92), KARWELIS, POSPIESZALSKI (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 57b2f5d2e1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Robert Gardziński, oprac graf. Pegaz**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

W obronie Rafała A. Ziemkiewicza

Jestem wstrząśnięta zachowaniem służb granicznych Wielkiej Brytanii. Wiem, że Pan Ziemkiewicz został zwolniony, ale fakt zatrzymania, pozbawienia dokumentów i lekarstw oraz niepodania powodu zatrzymania w chwili jego dokonywania jest skandalem. Najbardziej interesuje mnie, czy dziennikarze polscy oficjalnie zaprotestują.

Uważam, że także my, czytelnicy „Do Rzeczy", winniśmy koniecznie przygotować list do władz Wielkiej Brytanii, zebrać podpisy w największej liczbie, jak się da, i wysłać do premiera, Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Wielkiej Brytanii i ambasady brytyjskiej w Warszawie. [...]

Naprawdę uważam, że musimy reagować. Nie wolno nam pozwalać na terroryzowanie żadnym lewicowym organizacjom ludzi inaczej myślących niż ich członkowie.

Ten fakt powinien w Polsce być przedmiotem publicznej dyskusji wszędzie, gdzie się da. Na każdym możliwym forum. Fakt, że będzie on nagłośniony i publicznie długo dyskutowany, może mieć jednak znaczenie w tym sensie, że władze Wielkiej Brytanii dostaną sygnał, iż ich zachowanie w stosunku do obywatela polskiego ma wpływ na polską opinię publiczną, że część społeczeństwa zaczyna postrzegać Wielką Brytanie jako kraj gwałcący podstawowe wartości, takie jak wolność słowa, kraj używający narzędzi państwa totalitarnego.

Nadmieniam, że czytam wiele, choć nie wszystko, co pisze Pan Rafał A. Ziemkiewicz, cenię jego publicystkę, choć nie zawsze i nie ze wszystkimi jego poglądami, wnioskami się zgadzam. Niewątpliwie jest dobrym błyskotliwym dziennikarzem, pisarzem.

Z poważaniem
Wiesława Llamas

„Nieznośna ucieczka we frazesy", Paweł Lisicki, „DRz" 37/2021

Szanowny Panie Redaktorze Naczelny, jestem stałym czytelnikiem „Do Rzeczy" od pierwszego numeru i każde wydanie zaczynam czytać po kolei, a więc od Pana artykułu wstępnego. Zacznę od stwierdzenia, że zgadzam się z Pana główną tezą, że trzeba rozpocząć poważną debatę nad opuszczeniem Unii, tak jak zgadzam się, że chwalenie się 770 mld przed ich otrzymaniem było błędem. Dodam jeszcze, że gdyby dziś było referendum na temat opuszczenia Unii, to z pełnym przekonaniem głosowałbym za, bo Unia, do której wstępowaliśmy 16 lat temu, to była Unia Schumanna, a dziś jest to Unia Spinellego, a więc jeszcze większego bolszewika niż Lenin. Jestem zresztą przekonany, że w ciągu kilku lat UE sama się rozpadnie.

Ale pisząc to, muszę dodać, że w pełni popieram wypowiedź Naczelnika dla PAP, że nie ma mowy o polexicie.

To ostatnie zdanie może brzmieć jak zaprzeczenie tego, co pisałem wyżej, więc wyjaśniam. Około 80 proc. naszego społeczeństwa jest za pozostaniem w Unii i pod tym względem jesteśmy niestety na pierwszym miejscu w całej Unii. We Włoszech ostatnie badanie to już było 52 proc. za wyjściem. Otóż my musimy najpierw odrobić naszą lekcję. [...]

Co bardziej „postępowi" politycy PO (np. Lubnaer) postulują jak najszybsze wstąpienie do strefy euro, gdy tylko przejmą władzę. Otóż moim zdaniem euro to będzie główny powód rozpadu Unii, a Pana tygodnik już dawno pisał pięknie na ten temat. Przypominam artykuł red. Piotra Kowalczuka pt. „Garść cytatów" („DRz" nr 2/2019), który cytował wypowiedzi siedmiu laureatów Nagrody Nobla z ekonomii (!), którzy jednoznacznie wypowiadają się na temat szaleństwa sztucznego wprowadzenia wspólnej waluty na bazie decyzji politycznej, a nie ekonomii. Jedno pytanie o euro do Tuska, a on na pewno potwierdzi, że trzeba, i już mamy temat, tym razem na cover story.

Moja sugestia: skoordynowana kampania naszych mediów według scenariusza „Unia tak, ale...". Zresztą tak poważną sprawę i tak muszą przygotować fachowcy od PR, a nie ja – staruszek emeryt.

Z wyrazami szacunku
Tadeusz Szostak

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jak to z „Ozonem" było

Gazeta Wyborcza" uznała, że Janusz Palikot zbyt długo pozostaje poza uwagą jej czytelników. Redaktor Grzegorz Wysocki przeprowadził rozmowę ze skandalistą z Biłgoraja, a magazyn „Wyborczej" nie żałował na treść rozmowy całych siedmiu bitych stron. Palikot nic się nie zmienił. Chełpi się, że to on spowodował osłabienie wizerunku Kościoła, broni swoich agresywnych ataków na śp. Lecha Kaczyńskiego, zachwyca się nadal Jerzym Urbanem, a swoje wymachiwanie plastikowym penisem i pistoletem z 2007 r. zachwala jako sprytną „poppolitykę". Nie otrzymuje specjalnie dużo ostrych pytań od dziennikarza „Wyborczej" z paroma wyjątkami. Najpierw Grzegorz Wysocki bardzo surowo rozlicza go z „zachwytów" nad słowem i czynem Jana Pawła II, a także wydaje się dziwić, że na Palikocie zrobiło wrażenie umieranie Jana Pawła II.

Ale czytelnik „Wyborczej" lubiący niegdysiejszego skandalistę Platformy może odetchnąć. Palikot kaja się i mówi: „No co mam panu powiedzieć? Tak wtedy myślałem. Z tego myślenia, że jest coś takiego jak pokolenie JP2, wziął się zresztą »Ozon«". I w tym momencie redaktor Wysocki stawia zarzut największego kalibru: „Za pańskie pieniądze i pod pańskim parasolem po raz pierwszy zgromadzili się razem tacy publicyści jak Grzegorz Górny, Robert Tekieli, Paweł Lisicki, Joanna Lichocka, Tomasz P. Terlikowski, Piotr Semka czy Wojciech Wencel. To pan jest współwinny za późniejszy medialny pochód prawicy".

Jako medialnemu zbrodniarzowi przyszło mi z dużym rozbawieniem czytać, jak dzisiejszy producent alkoholi bije się w piersi za swoje finansowe wsparcie dla tygodnika „Ozon". W końcu wybiera wygodną linię obrony. Zrzuca wszystko na o. Macieja Ziembę, który dzisiaj kojarzy się jak najgorzej. Dziennikarz „Wyborczej" z oburzeniem nadal naciska: „Sponsorował pan pismo, w którym co rano przed redakcyjnym kolegium odbywały się msze święte i obowiązkowe modlitwy".

Dłużej już nie dałem rady czytać tych bzdur. Młodszym czytelnikom, którzy nie pamiętają „Ozonu", przypomnę, jak było. „Ozon" wydawany był w latach 2005–2007, a przez początkowe pół roku rządzili nim Dariusz Rosiak i znany przyjaciel Kościoła Szymon Hołownia. Gdy pismo nie miało zbyt dobrych wyników, Palikot za poradą o. Ziemby zmienił naczelnych i pismem zaczęli kierować Grzegorz Górny z Robertem Tekielim i Tomaszem Terlikowskim. „Ozon" powstał w epoce, gdy rojono o sojuszu Platformy z PiS, ale Janusz Palikot przestał je finansować z chwilą, gdy Donald Tusk wprowadził w życie politykę walki na noże z PiS. Wizja pracy redakcji regulowanej przez msze i modlitwy to dość zabawna, choć kłamliwa wizja katolików w wykonaniu „GW". To wyobrażenie groteskowe i nieprawdziwe. A ponieważ przewinąłem się przez „Ozon", milczeć nie będę. ©℗

ILUSTR. NIKLAS ELMEHED © NOBEL PRIZE OUTREACH

NAGRODA NOBLA ZA WALKĘ O WOLNOŚĆ SŁOWA

Dziennikarze Maria Ressa i Dmitrij Muratow otrzymali Pokojową Nagrodę Nobla za „wysiłki na rzecz ochrony wolności słowa, która jest warunkiem wstępnym demokracji i trwałego pokoju" oraz za „odważną walkę o wolność słowa na Filipinach i w Rosji. Jednocześnie są przedstawicielami wszystkich dziennikarzy, którzy opowiadają się za tym ideałem w świecie". Zwycięzcy, wybrani z grona 329 kandydatów, otrzymają do podziału 10 mln szwedzkich koron (równowartość 4,5 mln zł). ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

dwaj panowie g

Zaczynamy od trudnych relacji z Brukselą. Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński zażyczył sobie pełnej listy kwestii, w których Polska może zawetować rozmaite unijne przedsięwzięcia. Kroku wstecz nie będzie, a i guzika też nie oddamy. To tak à propos TSUE i innych ciekawych spraw.

Na froncie amerykańskim też przymroziło. Jeśli wydaje się wam, że nikt nie oglądał wywiadu z prezydentem Andrzejem Sebastianem w FOX News, to jesteście w błędzie. Tucker Carlson, który przeprowadzał rozmowę z polskim prezydentem, ma bardzo wiernych widzów w Białym Domu. I oni oglądali. No i dają do zrozumienia, że teraz ciężko będzie o wizytę Bidena u Dudy lub Dudy u Bidena. My byśmy się nie przejmowali. Wiecie, ile razy Donald Trump był w czasie swojej kadencji w Berlinie? Otóż zero razy.

Inna sprawa, że wywiad dla Carlsona został udzielony z całą premedytacją po tym, jak Biden pozwolił Niemcom i Rosjanom dokończyć Nord Stream 2. A u prezydenta Andrzeja Sebastiana zdawano sobie sprawę, że Carlson jest w Białym Domu równie znienawidzony, co uważnie oglądany. I z całą pewnością wywiad przebije się, gdzie trzeba. Inna sprawa, że Biden nie lubi podróżować. Do Europy wybierze się pewnie dopiero w przyszłym roku.

My tu gadu-gadu, a tam Brytyjczycy wyszli. Skąd? No niestety z partii Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (nie mylić z frakcją w PE). Zbiesili się, bo inaczej wyobrażali sobie podział ważnych stanowisk, a podziały teraz trudne, bo trwają zakulisowe negocjacje w sprawie poszerzenia. Partii. No to na razie została pomniejszona. Dokąd udali się Brytyjczycy? Na razie nigdzie. W sensie wybrali samotność. My to rozumiemy.

Teraz coś optymistycznego. Żeby nie było, że mamy same mrożące krew w żyłach historie o relacjach z zagranicą. Otóż wiewiórki od spraw tajnych łamanych przez poufne mówią, że współpraca z Turcją układa się wzorowo. Nie, nie chodzi o łamanie demokracji i konstytucji. Otóż Turcja prześwietla dokładnie miglanców importowanych przez Łukaszenkę na granice z Polską, a następnie wiedzą obszernie dzieli się z Polską. Wychodzi na to, że Turcy bardziej troszczą się o bezpieczeństwo Polski niż np. taka PeŁo.

À propos PeŁo – oni tam zajmują się naprawdę ważnymi sprawami. Na przykład marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak ma od niedawna rzecznika prasowego. A ten dzieli się w Internecie obficie swoimi poglądami na politykę. Idą grube wyzwiska na PiS.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ale najciekawszy był taki passus z FB: „Tygrysek Kamasz, czyli obrażone dziecko z wolskiej piaskownicy". Albo „Doktor Kamysz z Partii Snopków Leżących na poziomie czterech procent". Teraz najśmieszniejsze: wiecie z kim PeŁo ma w województwie lubuskim koalicję? Tak, zgadliście. Z Peezelem.

Podobno w prokuraturze wiatr zmian. Boguś, czyli sam krajowy, odgraża się, że odchodzi. Nawet się do tego przyzwyczailiśmy. Pamiętacie tego papieża, który co i rusz udawał, że umiera, by obserwować układy między koteriami, które się wówczas tworzyły, a następnie cudownie zdrowiał i rządził jeszcze wiele lat? No właśnie.

Ale i tak w kontekście nowego najważniejszego po Ziobrze prokuratora padają najczęściej dwa nazwiska. Oba z tzw. frakcji łódzkiej. Pierwsze to Beata Marczak, drugie to Dariusz Barski. Ten drugi, który raz już pełnił funkcję prokuratura krajowego, zażegnuje się, że nie czyha na stanowisko Święczkowskiego. I my mu wierzymy. Człowiek, który prowadząc najtrudniejsze śledztwa, słuchał wybitnych dzieł muzycznych na sprzęcie audiofilskim, musi odznaczać się tak wysoką kulturą, że kłamstwo mu obce.

Prokuratury u nas zapracowane, ale są sprawy, które im uchodzą. Może dlatego, że nikt o nich nie mówi. Na przykład źli ludzie opowiadają, że została naruszona nietykalność europosła PeŁo Andrzeja Halickiego. W dodatku przez kibica Legii Warszawa. Do incydentu miało dojść przy okazji wyjazdowego meczu z Florą Tallin. Kibice Legii, widzicie, bardzo nie lubią PeŁo. I dają temu wyraz. A kiedy Halicki zaczął im tłumaczyć, że on jest dobrym, prokibicowskim platformersem, to w odpowiedzi naruszyli mu nietykalność. Jak? No, zwyczajnie. W papę.

Jeszcze o dochodzeniach. Policja przyszła do zielonogórskiego dziennikarza „GazWybu" po laptopa, co uznane zostało przez Eine Totalopposition za atak na wolne media. Niestety, policję do tego pana doprowadził numer IP, a nie nazwa redakcji. Otóż z tego numeru wypisywano w Internecie groźby karalne pod adresem posła PiS. A także – uwaga! – pod adresem posła Lewicy, Krzysztofa Śmiszka. Więc w związku z oburzeniem „GazWybu" i PeŁo zastanawiamy się, czy naprawdę tak źle życzą Śmiszkowi.

Tymczasem Hanka Gronkiewicz-Waltz dopytywana o to, kiedy będzie można poznać nowy program PeŁo, odparła, że „programu nie można poznawać na długo przed wyborami". Słusznie. Jeszcze ktoś zdążyłby go przeczytać – i wtedy klops!

Na koniec kultura. Wyrażamy zadowolenie z faktu, że Literacką Nagrodę Nobla otrzymał tanzański pisarz Abdulrazak Gurnah. Niestety, pobudki, z jakich wyrażamy to zadowolenie, są podłe. Otóż bardzo podobna nam się, że w swojej ostatniej powieści „Afterlives" Gurnah opisuje z detalami afrykańską działalność Schutztruppe, czyli takiego pre-SS przeznaczonego do mordowania tubylców w niemieckich koloniach. Zawsze wspieramy dobrą literaturę, zwłaszcza gdy opowiada o dokonaniach naszych dobrych sąsiadów. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Miauk

Jak wiadomo, nasze salony uwielbiają rzucać mięsem. Więc kiedy zebrało się tak dystyngowane grono jak jury i nominowani do Nagrody Literackiej Nike, nie mogło się obyć bez bluzgów.

Problem polega na tym, że te ich bluzgi to nie są bluzgi, że tak powiem, „lepperowskie" – ciężkie, groźne, uderzające z siłą pięści. To są piskliwe bluzgi Adasia Miauczyńskiego, znanego Państwu z filmu „Dzień świra" (będącego zresztą doskonałą wiwisekcją sfrustrowanego inteligenta, typowego czytelnika gazety, która wspomnianej nagrodzie patronuje). Kiedy pan Grzegorz Piątek, jeden z nominowanych literatów, przelicytował pozostałych słowami o „faszystowskim g.....", w którym jakoby tkwimy, a pani Torbicka podziękowała mu za to, co powiedział, to bynajmniej nie zrobiło się groźnie, tylko jeszcze bardziej groteskowo i żenująco. Obecni na sali wymachiwali kartkami z napisami: „Gdzie są dzieci?" (wielu mogło to uznać za protest antyaborcyjny), eksponowali koszulki „Refugees welcome", licytowali się w duszoszczypatielnych apelach i „klaskaniem mieli obrzękłe prawice", a na końcu wyszedł Adam Michnik i powiedział, że te kartki, którymi jego pisarze wymachują, więcej są warte niż ich książki. Bez wątpienia trafił w sedno, choć zapewne przypadkiem i niechcący.

Były czasy, kiedy dwuzdaniowy list przeciwko ograniczeniu przydziałów papieru podpisany przez 34 pisarzy wstrząsał podstawami ustroju, zbierały się z jego powodu w trybie nadzwyczajnym politbiuro i rząd, wytaczano przeciwko sygnatariuszom najcięższe armaty... Michnikowe salony zdają się żyć wiarą, że ich głos wciąż zachował coś z tego dawnego znaczenia. Tymczasem, wbrew fizyce, głos, który był słyszany i ważny, kiedy był tłumiony, teraz, kiedy jest maksymalnie nagłaśniany (w końcu Gala Nike szła na żywo w TVN) – wręcz przeciwnie. No, rzecz oczywiście nie tylko w nagłośnieniu, lecz także w tym, że również pisarze, najdelikatniej mówiąc, nie tacy.

Nie wiem, czy poza mną ktokolwiek ten spektakl PR-owskiego samobójstwa ze szczególnym udręczeniem oglądał – jeśli tak, to pewnie zgodzi się, że transmitując ich, TVN bardzo literatów skrzywdziła. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nieznośna konstytucja

Trybunał Konstytucyjny potwierdził, że ciągle obowiązuje art. 8 konstytucji, że nadal „konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej". Może ta konstytucyjna zasada jest sprzeczna z demokracją europejską, ale do tej pory władze UE nigdy nas nie informowały, że należy ten artykuł skreślić w ramach „obowiązków dostosowawczych".

Komisja Europejska, choć twierdzi, że rząd polski nie może naruszać przepisów konstytucji, sama zakłada, że Unii polską konstytucję naruszać wolno. Proponuję Komisji proste uzgodnienie tych dwóch kolizyjnych sądów: polskiej konstytucji w ogóle nie wolno naruszać – ani w kraju, ani tym bardziej za granicą.

Warto też zauważyć, jak prawo europejskie i konstytucję traktują opozycja i opozycyjne media z „Gazetą Wyborczą" na czele. Gorszy ich przywołanie przez TK „zasady przyznania" (czyli ograniczenia działania Unii do spraw delegowanych przez państwa), choć to po prostu norma art. 5 traktatu UE. Rzadko przypominana, bo – jak się okazuje – w ogóle jej przypominać nie należy. Tym bardziej jeśli robi to Trybunał szczególnie – jak pisze w „Wyborczej" redaktor Woźnicki – „skonstruowany". Owa szczególna „konstrukcja" polegać ma na tym, że zasiada w nim grono sędziów wybranych przez Sejm poprzedniej i obecnej kadencji.

Doktryna Woźnickiego ma źródła w decyzjach Sejmu z czasów marszałek Kidawy-Błońskiej, który postanowił na zapas „wybrać" jako „antycypantów" panów Sitka i Sokalę na miejsca sędziów, których kadencja kończyła się już po nadchodzących wyborach parlamentarnych. Ze względu bowiem na najpierw spodziewane, a potem potwierdzone niewłaściwe wyniki wyborów od końca 2015 r. Sejm w ogóle powinien zawiesić powoływanie sędziów TK, a Trybunał powinien przestać wydawać orzeczenia. Do czasu, aż nie zostanie wybrany parlament zdolny powoływać sędziów lojalnych wobec Unii Europejskiej i szanujących dyspozycje demokracji, czyli „Gazety Wyborczej". ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Światełko w tunelu

Zanosi się na to, że w USA pierwszy raz szalonym wyznawcom „kultury unieważniania" i nieustraszonym łowcom rasistów przyjdzie w sądzie zapłacić za głupotę i tchórzostwo.

Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles wykładający od lat tajniki zarządzania prof. Gordon Klein w ubiegłym roku otrzymał e-maila od jednego ze swoich białych studentów, w którym ten domagał się, by wykładowca na egzaminie końcowym pozytywnie oceniał wszystkich czarnoskórych studentów, bo przeżywają traumę związaną z tragedią w Minneapolis, gdzie biały policjant udusił Murzyna George'a Floyda.

Profesor odpisał studentowi, że w swoim liściku popełnił grzech paternalizmu wobec czarnych kolegów, a poza tym bezpodstawnie założył, że śmierć Floyda nie dotknęła białych ani nieczarnych mniejszości. Kilka dni później uniwersytet otrzymał petycję z 20 tys. podpisów, domagającą się wyrzucenia prof. Kleina z pracy za rasizm. Został zawieszony i padł ofiarą haniebnej kampanii nienawiści.

Jeden z bojowników walki z rasizmem napisał do profesora: „Jesteś parszywym, aroganckim Żydem. Szkoda, że nie ma już Hitlera i nazistów, którzy mogliby potraktować cię cyklonem B, na co zasługujesz".

W związku z licznymi groźbami profesor otrzymał ochronę policyjną, ale wszędzie traktowany był jak zadżumiony. Zerwały z nim współpracę firmy, w których był konsultantem, a to ta praca, a nie uniwersytet, zapewniała mu główną cześć dochodów.

W końcu pod wpływem innej petycji, z 76 tys. podpisów, domagającej się przywrócenia prof. Kleina do pracy, został odwieszony. Zdecydował o tym senat uniwersytecki, a Biuro Zapobiegania Dyskryminacji doszło do wniosku, że jednak profesor nie jest rasistą i nikogo nie dyskryminował.

Problem w tym, że to profesor był dyskryminowany i nikt nawet nie raczył go przeprosić. Wobec tego Klein, który skończył również prawo, wszystkich tych idiotów podał do sądu. Domaga się też zwrotu utraconych zarobków. I wszystko wskazuje na to, że bezprecedensowy proces wygra. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. PAWEŁ GROMADA

ŁADNĄ BYĆ

Młoda aktorka i celebrytka, 22-letnia Julia Wróblewska, pochwaliła się na Instagramie, że oto dokonała pierwszego w życiu zabiegu medycyny estetycznej, a mianowicie powiększyła sobie usta. Cały zabieg, łącznie z przygotowaniami, relacjonowała w Internecie. Później była też relacja z tego, jak dochodzi do siebie, jak się czuje i jak wygląda każdy kolejny etap schodzenia z jej nowych ust opuchlizny. – Są opuchnięte, więc efekt zobaczę za jakiś czas, ale już widzę, że będzie pięknie – cieszyła się Wróblewska. Na koniec odpowiedziała na pytania fanów, czy nie żałuje i czy bolało. – Czy bolało? Nie będę kłamać – owszem, ale uważam, że jest to i tak 100 razy przyjemniejsze niż wizyta u dentysty. Trzymałam piłeczki antystresowe. Wkłucia krótko trwają i można zrobić chwilkę przerwy. Znieczulenie około pół godziny się wchłaniało, a sam zabieg trwał może 15 minut i po sprawie – ujawniła. I oczywiście zastrzegła, że robi to tylko po to, by sobie spróbować, bo „to nie jest przecież na całe życie". – To nie dlatego, że nie czuję się ładna „bez modyfikacji" – zastrzegła. Ależ oczywiście! Poprawianie sobie urody świadczy o pełnej akceptacji i przekonaniu o własnym pięknie.

SZKODA CONTENTU

Blogerka modowa Jessica Mercedes opowiedziała w „Faktach" o swoich dramatycznych przeżyciach, związanych z awarią Facebooka i Instagrama. To straszne wydarzenie miało miejsce akurat, gdy Jessica przebywała w Paryżu. – Na początku dzwoniłam do operatorów i mówiłam, że proszę mi włączyć Internet za granicą. Ja wczoraj byłam w Paryżu na Fashion Week, więc dla mnie to była idealna okazja, żeby publikować fajne treści, content związany z modą, a tu Instagram się załamał… – żaliła się celebrytka. – Nie wierzę, że akurat, kiedy byłam na Paris Fashion Week, wyłączyli Instagrama! Wrócę do was z relacją, bo szkoda supercontentu… – napisała. My też nie wiemy, jak ten okrutny Zuckerberg mógł coś takiego zrobić Jessice Mercedes! Musiała czymś mu zaleźć za skórę. Dobrze, że chociaż content uratowany!

GDZIE TE ZMARSZCZKI?

Aktorka Agnieszka Dygant postanowiła odnieść się do licznych uwag komentujących jej urodę oraz do spekulacji, że musiała ją sobie mocno poprawić. Zdaniem niektórych fanów Dygant ingerowała w rysy twarzy, a usta potraktowała wypełniaczem. Aktorka nie odniosła się wprost do tych plotek. – Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Bo co ja mogę powiedzieć? Wydaje mi się, że nie ma sensu czegoś takiego komentować – stwierdziła. – To wszystko jest burza w nocniku, czy, jak mówią może mniej kolokwialnie, w szklance wody. Ja myślę, że naprawdę trzeba się zająć swoimi sprawami – powiedziała. Dodała też, że „nie miała zbyt

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

wielkiej świadomości", iż taka burza dotycząca jej wyglądu przetacza się przez Internet. – No cóż, starość nie radość, człowiek się też trochę zmienia. Mam 50 lat, wyglądam, jak wyglądam, mam zmarszczki, to chyba widać, więc ja sobie specjalnie jakichś operacji nie robię – stwierdziła. No właśnie, gdyby było je widać, to problemu by nie było!

DUSZA ARTYSTKI

Maja Sablewska, celebrytka od ubierania innych, wcześniej menedżerka gwiazd, a niebawem także jeszcze twarz rajstop własnej produkcji, opowiedziała, dlaczego całkiem zniknęła z telewizyjnego ekranu. Przyznaje, że czuła się zawodowo wypalona. – Prowadziłam program sześć lat. Zrobiłam wiele edycji. Nie dawałam w pewnym momencie z siebie 100 proc. i postanowiłam na jakiś czas zniknąć z telewizji – oznajmiła. Wytłumaczyła się też z tego, dlaczego ostatnimi czasy często zamieszcza na Instagramie swoje roznegliżowane zdjęcia. Okazuje się, że to wszystko przez artystyczne zapędy, które gdzieś w niej siedzą! – Głęboko w środku mam ukrytą duszę artysty. Uważam, że nie przekraczam granicy dobrego smaku. Jestem w zgodzie ze sobą – ujawniła Maja. Nie wiedzieliśmy, że jak się ma duszę artysty, to ma się też pilną potrzebę pokazywania ciała! Może Maja jest w zgodzie ze sobą, ale z logiką to już chyba niekoniecznie. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PGNiG
PGNiG Mecenasem Teatru
...w Twoim domu
To ważne, żeby dbać o tradycję, kulturę i sztukę.
Dlatego bycie mecenasem, obecnego od lat
w Waszych domach Teatru Telewizji,
to dla nas zaszczyt.

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie interesujemy się of kors prymitywnym kinem akcji dla wąsatych januszów, ale jesteśmy jednak na tyle obyci kulturalnie, iżby wiedzieć, że angielska osoba aktorska Daniel Craig po raz ostatni zagrała agenta Jamesa Bonda.

Jest to niepowtarzalna okazja do dekonstrukcji tej popkulturowo szkodliwej postaci. Nie chodzi nam jednak o tak proste i przewidywalne w gruncie rzeczy metody jak np. obsadzenie w roli Bonda osoby identyfikującej się jako kobieta, osoby pigmentalnie uposażonej czy choćby nawet Macieja Stuhra.

Chodzi o to, iżby Bond przestał się kojarzyć na całym świecie z tym, czym kojarzy się obecnie – z siłą fizyczną, ze sprytem, z bronią, drogimi samochodami i dziwnym alkoholem. Już nie mówimy nawet o tym, jak skrajnie seksistowsko ta postać jest napisana.

Nowy Bond powinien odpowiadać na współczesne wyzwania. Powinien więc na przykład nie być już więcej agentem wywiadu, ale np. działaczem na rzecz ochrony klimatu i zrównoważonego rolnictwa, który jeździ po całej Unii Europejskiej z serią odczytów i prelekcji na temat ograniczenia podaży żywca wieprzowego do roku 2035.

Albo bohaterskim unijnym komisarzem, który musi nakładać sankcje na Zły Ten Kraj na wschodzie Europy i mierzy się z tego powodu z kampanią nienawiści.

W ten sposób możemy odzyskać postać Bonda dla współczesnej młodzieży i sprawić, że zainteresowanie tą wcześniej na wskroś seksistowską i prymitywną postacią znów wzrośnie wśród pokolenia wrażliwych Europejczyków.

Dobra, żarty na bok. Ostatnia awaria mediów społecznościowych pokazała, jak bardzo kruche może być nasze życie. Of kors chodzi nam o życie w cyberprzestrzeni, które w jednej chwili zostało brutalnie zatrzymane.

Jak w ogóle poradziliście sobie z kilkugodzinnym brakiem insta? Nie mogąc obserwować nowych zdjęć waszych idoli. Albo z brakiem fejsika, nowych memów? Zresztą po co nam memy, skoro padły komunikatory i nie było ich komu wysyłać.

Nie wiemy, prawdę mówiąc, jak przepracować tę traumę, iżby z niej wyjść i przekuć ją na nasze mocne strony. To było doświadczenie graniczne dla naszego pokolenia. Zobaczycie, że będą o tym kiedyś uczyć w szkołach jako o dniu, w którym zatrzymał się świat.

No nie możemy, do tej pory na myśl o tym nam się ręce trzęsą.

Właśnie zauważyliśmy, iż w XXI w. w Europie, w czasach, nad którymi wciąż wisi widmo faszyzmu i nacjonalizmu, a brunatny potwór wzdycha przez sen, rozgrywane są mecze w ramach turnieju nazwanego Ligą Narodów.

No przecież to ręce opadają. Nie chcemy na razie traktować tego inaczej niż jak niedopatrzenie, ale nie ma co ukrywać, naprawdę, ale to naprawdę bardzo źle wygląda.

W ogóle drużyny narodowe to jest okropny przeżytek. Drużyny klubowe zresztą też, iż bazują na najpaskudniejszym obliczu kapitalizmu, który w piłkarzu widzi towar.

Dlatego warto byłoby organizować różnego rodzaju turnieje bez stawek, iżby nie dzielić na wygranych i przegranych, w których startowałyby zespoły spółdzielcze, reprezentacje skłotów, związki poliamoryczne, artyści czy dekonstruktorzy.

Nie może tak być, iż cały świat idzie do przodu, a piłka nożna jest traktowana za powszechną zgodą jako skansen średniowiecznych tradycji. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Ma być!

Pani poseł, mamy problem.

Nie, panie marszałku, już nie ma żadnego problemu.
Ja już wszystko wykasowałam.
Wszystkie te błyskawice, hasła na „w" i takie tam.
Już nic nie ma.
Przeglądałam trzy razy swojego fejsbunia i tłyterka.

Ale ja właśnie o tym mówię. Bo mnie tu pismaki zaczepiają na korytarzu, że jak pani przyszła do nas, to pani to pokasowała. No i tam teraz takie dziury są. Nie można by tego jakoś uzupełnić?

Jak uzupełnić? Czym?

No, na przykład hasłami w obronie życia. Albo bardziej neutralnie, coś o CPK na przykład.
Że to świetny projekt. Ja mogę pani nawet podrzucić kilka grafik. Taką z panem prezesem i kotem też mam.

Ale... bo problem w tym, że na fejsika czy tłyterka nie da się nic wstawić wstecz.

Dlaczego?

Tak to jest zrobione po prostu.
Jak coś skasowałam, to nie ma i koniec.

Nie, to tak być nie może. Ja porozmawiam z Adamem Andruszkiewiczem. Niech on tam jakoś temu Cukierbergowi pogrozi. Ma być i koniec! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zdrajcy ojczyzny niech dalej maszerują na wschód. My zostajemy w Unii".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze, po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego o wyższości polskiego prawa nad prawem UE*

eprasa.pl 57b2f5d2e1

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Transformacja energetyczna

nie może być wymierzona w polskie rodziny i przemysł

Dekarbonizacja Polski i oparcie się naszego kraju na zielonej energii jest procesem nieuchronnym, ale nie może on być wymierzony ani w polskich konsumentów, ani w przemysł i biznes, które potrzebują energii do rozwoju – zgodzili się uczestnicy VII Kongresu Energetycznego DISE Energy we Wrocławiu

We Wrocławiu o transformacji energetycznej Polski dyskutowało kilkuset specjalistów: naukowców i ekspertów od energii, a także menedżerów z najważniejszych polskich firm odpowiedzialnych za transformację energetyczną, w tym PGNiG, Orlenu i Tauronu. Uczestnikami VII Kongresu Energetycznego DISE Energy byli również decydenci, czyli przedstawiciele administracji rządowej i samorządowcy.

Nikt nie stawiał konieczności transformacji pod znakiem zapytania. Rozmawiano o tym, jak ją przeprowadzić w taki sposób, by była korzystna zarówno dla polskich rodzin, jak i biznesu. Chodzi bowiem o to, by w procesie transformacji nie pozbawić się źródeł energii ani nie sprawić, by stała się ona bardzo droga. Nie byłoby to w interesie ani indywidualnych konsumentów, ani przemysłu, dla którego dostępna i niedroga energia jest podstawą konkurencyjności.

Podczas dyskusji ścierało się wiele poglądów. Byli tacy, którzy zachęcali do wyhamowania tempa zmian, byli też tacy, którym doskwierała chaotyczność regulacji, głównie unijnych. Inni z kolei przekonywali, że działania zostały już podjęte, a jedyne, czego potrzeba, to poprawka do planu, konsekwencja i przemyślana współpraca wielu podmiotów (ośrodków naukowych, przedsiębiorstw, administracji rządowej i samorządów). Sukces, którym jest radykalne ograniczenie emisji, przy zachowaniu bezpieczeństwa (także cenowego) energii nie jest indywidualną sprawą, ale wspólną, wszystkich – mówiono.

Podczas panelu „Europejski Zielony Ład receptą na wyjście gospodarek z kryzysu wywołanego COVID-19” swoje pomysły przedstawili urzędnicy, szefowie największych polskich firm energetycz-

eprasa.pl 57b2f5d2e1

nych i europarlamentarzyści. Mówiono o „atomie", czyli reaktorach SMR, roli gazu w procesie transformacji, OZE oraz tempie dekarbonizacji Polski. Także o regulacjach i funduszach europejskich w ramach Zielonego Ładu.

CO TO ZNACZY SKUTECZNIE PRZEPROWADZANA TRANSFORMACJA?

– Taka, żeby skorzystała na tym nasza gospodarka – powiedział Ireneusz Zyska, wiceminister klimatu i środowiska. – My już dokonaliśmy ogromnego postępu, ale konieczne są korekty tego planu. Ponieważ polityka UE wyrażona w pakiecie „Fit for 55" przyspieszyła, postawieni zostaliśmy w nowej sytuacji. Musimy tak kształtować poziom cen energii, by nasza gospodarka wciąż była konkurencyjna – mówił wiceminister.

Grzegorz Tobiszowski, europarlamentarzysta, były sekretarz stanu w Ministerstwie Energii, podkreślał, że z uwagi na wzrost ekonomiczny potrzebujemy coraz więcej energii, a będziemy potrzebować jeszcze więcej. – Zielony Ład i „Fit for 55" będą pomocne w wyjściu z pocovidowego kryzysu? Tylko pod warunkiem, że pokażemy Europie, że jak każdy i my mamy swoje problemy. A za węgiel musimy dostać alternatywę. Bo kopalni nie da się zamknąć jak piekarni.

Z kolei zdaniem Anny Korneckiej, byłej podsekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju i Technologii, najważniejsze są bezpieczeństwo energetyczne, poprawa systemu energetycznego i stworzenie planu technicznego. – Bez wątpienia polska transformacja musi iść własną drogą – powiedziała Kornecka.

REDUKCJA TU I TERAZ

Gaz ziemny ma być paliwem transformacji. Czy stanie się tak przy rosnących cenach uprawnień ETS? Mówił o tym Robert Perkowski, wiceprezes zarządu PGNiG. – Gaz jako paliwo transformacji musi zostać wykorzystany, bo daje nam energię. Na inne projekty potrzeba czasu, a redukcja emisji konieczna jest tu i teraz. Podczas transformacji energetycznej musimy się oprzeć na tym, co mamy. A gaz spełnia warunki brzegowe jako paliwo niskoemisyjne – mówił Robert Perkowski. – Jako PGNiG mamy klientów biznesowych na Dolnym Śląsku, którzy przestawiają się na gaz, bo dzięki niemu mogą realizować rozwój swoich przedsięwzięć i ich strategie. My w PGNiG wybieramy realne cele. Nasz gaz będzie coraz bardziej zielony. Dlatego m.in. stawiamy wraz z Orlenem na technologię biometanową.

Przemysław Mandelt, wiceprezes Tauronu Ekoenergii, mówił o systemach dotacyjnych w transformacji: – Ponieważ dynamicznie rozwija się segment prosumenta, mam nadzieję, że pomogą nam systemy dotacyjne. Naszym fundamentem funkcjonowania jest zabezpieczenie dostaw do odbiorców. A nowe przyłącza i rozwój sieci są najważniejsze dla Tauronu.

Do wzrostu liczby prosumentów nawiązał prof. dr hab. inż. Maciej Chorowski, prezes zarządu NFOŚiGW. – W ostatnim czasie system został poddany stresowi. Odpowiada za to fotowoltaika – mówił, informując, że bez decyzji środowiskowej panelami pokryto 600 tys. dachów.

WIĘCEJ GAZU!

Jaka będzie rola paliw gazowych w procesie transformacji energetycznej – zastanawiali się uczestnicy innego panelu podczas VII Kongresu Energetycznego DISE Energy. Zdaniem Roberta Perkowskiego sami mamy prawo do określenia własnej drogi do realizacji założeń Zielonego Ładu. Zapotrzebowanie na gaz ziemny wzrośnie w kraju o 50 proc. – To ogromne wyzwanie dla nas wszystkich. Gaz ziemny będzie podstawowym paliwem pozwalającym właśnie na tę transformację – powiedział wiceprezes PGNiG, który zwrócił również uwagę na to, że Europa Zachodnia korzysta z gazu w wielkiej skali i że również tam będzie on nadal odgrywał istotną rolę w najbliższych latach.

Jak gaz ziemny jest wykorzystywany już dziś jako paliwo niskoemisyjne? – Budowane w Polsce nowe elektrownie, te zastępujące węglowe, będą zasilane gazem. W zeszłym roku uruchomiliśmy 112 tys. przyłączy do sieci gazowej, ale wiemy już, że w tym roku będzie ich jeszcze więcej – wyjaśniał wiceprezes PGNiG.

Przemawiając w stolicy Dolnego Śląska, wiceprezes Perkowski mówił o gazyfikacji tego regionu, w którym 80 proc. gmin jest podłączonych do sieci gazowej. Pod tym względem Dolny Śląsk jest jednym z liderów w Polsce. – I między innymi z tego wynika dynamika rozwoju i wzrostu gospodarczego regionu. Im więcej gazu, im łatwiejszy dostęp do stabilnej i czystszej niż węglowa energii, tym szybszy rozwój. Zależność jest oczywista. Na gaz przestawiają się elektrociepłownie miejskie. A my dywersyfikujemy dostawy i wydobycie – tłumaczył wiceprezes zarządu PGNiG SA.

Jak wygląda dywersyfikacja źródeł gazu? PGNiG korzysta z terminalu LNG w Świnoujściu; importuje skroplony gaz ziemny z kierunku katarskiego. – Podpisaliśmy trzy umowy z dostawcami amerykańskimi. PGNiG ma zakontraktowane z tych źródeł 12 mld m sześc. gazu rocznie – mówił wiceprezes Perkowski. Jak dodał, budowany gazociąg Baltic Pipe będzie miał przepustowość ok. 10 mld m sześc. gazu rocznie, z czego PGNiG zarezerwowało zdecydowaną większość. Popłynie nim gaz m.in. z własnego wydobycia PGNiG na koncesjach w Norwegii. Do tego Polska nadal korzystać będzie z gazu z własnego krajowego wydobycia.

Gaz dostarczany przez PGNIG stanie się też bardziej „zielony". W jaki sposób? PGNiG wraz z Orlenem Południe pracują nad rozwojem rynku biometanu. Powołały wspólną spółkę, która ma wspierać rozwój biometanowni w formule franczyzy. – Chcemy też w przyszłości magazynować wodór w solnych kawernach i wykorzystywać nasze branżowe know-how, by transformacja oparta na gazie była też transformacją opartą na lokalnym polskim potencjale – zakończył wiceprezes PGNiG.

Piotr Zawistowski, prezes zarządu Towarowej Giełdy Energii, zauważył, że decyzje podejmowane w energetyce mają długotrwałą perspektywę. „Tymczasem decyzje unijne są zbyt szybkie. One wyprzedzają plany. Dlatego musimy obserwować megatrendy, także dotyczące redukcji emisji, i reagować na nie z wyprzedzeniem".

O roli gazu w transformacji mówili też przedstawiciele firm korzystających z tego paliwa. Zgadzali się, że transformacja energetyczna, także oparta na gazie, jest nieunikniona. – Od dekarbonizacji nie uciekniemy. My w Polsce mamy dwie elektrownie, ale korzystamy z węgla. Musimy mieć stałe źródło energii. I będzie nim w przyszłości gaz – powiedział Mirosław Skowron, członek zarządu Ciechu.

Filip Grzegorczyk z Grupy Azoty podkreślał, że dla jego firmy gaz jest źródłem energii, ale także produktem potrzebnym do procesów chemicznych, a obecnie wysokie ceny przekładają się na ceny produktów jego firmy. – Gaz jednak traktujemy jako paliwo przejściowe. Nie budujemy na gazie naszej strategii, która zostanie wkrótce ogłoszona – dodał Filip Grzegorczyk.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

TRYBUNAŁ WYDAŁ WYROK: KONSTYTUCJA MA PRYMAT NAD PRAWEM UNIJNYM

Trybunał Konstytucyjny w pełnym składzie wydał w czwartek wyrok w sprawie wniosku złożonego przez premiera Mateusza Morawieckiego po wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE z 2 marca w sprawie wynikającej z pytania prejudycjalnego, które zadał Naczelny Sąd Administracyjny.
– Część przepisów unijnych objętych wnioskiem Prezesa Rady Ministrów jest niezgodna z Konstytucją RP – orzekli sędziowie.

„W wyroku z 7 października 2021 r., sygn. K 3/21, Trybunał Konstytucyjny, po rozpoznaniu wniosku Prezesa Rady Ministrów, uznał, że próba ingerencji Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w polski wymiar sprawiedliwości narusza zasadę praworządności, zasadę nadrzędności konstytucji oraz zasadę zachowania suwerenności w procesie integracji europejskiej" – czytamy w komunikacie. Trybunał Konstytucyjny ocenił, że przepisy UE w zakresie, w jakim organy UE działają poza granicami kompetencji przekazanych przez Polskę, są niezgodne z konstytucją. Uzasadniając wyrok, Trybunał stwierdził, że w przypadku uznania wyższości prawa unijnego nad krajowym państwo polskie nie mogłoby mieć statusu państwa suwerennego. – Wyłączną właściwością TSUE pozostaje wykładnia prawa unijnego – mówił sędzia sprawozdawca Bartłomiej Sochański.

Trybunał Konstytucyjny orzekł również, że przepis prawa unijnego uprawniający sądy krajowe do pomijania przepisów konstytucji jest niezgodny z ustawą zasadniczą.

Przewodniczącym składu orzekającego była prezes TK Julia Przyłębska. Zdania odrębne od wyroku zgłosili sędziowie Piotr Pszczółkowski oraz Jarosław Wyrembak. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

epresa.pl 57b2f5d2e1

FOT. YOUTUBE/RAFAŁ ZIEMKIEWICZ

Zniesławienie

Rafał A. Ziemkiewicz

W Wielkiej Brytanii wystarczą nieprawdziwe oskarżenia lokalnej deputowanej, by uznać człowieka za winnego wymyślonych zbrodni. Nikt nawet mnie nie zapytał, czy naprawdę powiedziałem rzeczy, które mi przypisała

W tej sprawie tak naprawdę nie chodzi wcale o niewpuszczenie mnie do Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy mają oczywiście prawo wpuszczać do swego kraju bądź nie wpuszczać do niego kogokolwiek, nawet w sposób bardzo przykry dla jego rodziny. Inna sprawa, że mają prawo robić to z każdego innego powodu albo nawet nie podając w ogóle żadnego powodu, ale nie z powodu czyichś poglądów politycznych. Wielka Brytania jest bowiem sygnatariuszem międzynarodowych konwencji, które stanowią jasno, że nikt nie może być traktowany inaczej od innych z powodu swoich przekonań, szczególnie politycznych. Pismo, które dostałem od brytyjskiego Immigration Office, jest więc, jak sądzę, deliktem dla Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Ale to nie byłoby warte Państwa uwagi. Prawdziwym problemem jest zniesławienie. Zniesławienie nie tylko mnie, konkretnego pisarza i dziennikarza z Polski, lecz także tej części Polski i polskiej sceny politycznej, z którą moja działalność jest kojarzona.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Zostałem przez brytyjskie czynniki oficjalne opluty, obrzucony najgrubszymi obelgami i oszczerstwami. Zostałem nazwany rasistą, antysemitą i islamofobem (choć nie bardzo wiem, jak można być jednym i drugim naraz) – a także, co jest oszczerstwem najgrubszym i kolejnym oczywistym deliktem, „negacjonistą Holokaustu".

STALINOWSKIE METODY

Odbyło się to w trybie kojarzącym się ze stalinowskim rytuałem „demaskowania wroga klasowego": mechanizmem „szeptanki" i sądu kapturowego. Nikt nie silił się przedstawić mi konkretnych zarzutów co do moich poglądów ani nawet wyjaśnić, skąd brytyjskie czynniki je znają, skoro żadna z moich książek nie była, o ile wiem, tłumaczona na angielski. Urzędnik, z którym rozmawiałem, odmówił jakiejkolwiek rozmowy o meritum sprawy, ograniczając się tylko do „dobrej rady", bym sam zawrócił z granicy pierwszym samolotem, sugerując, że inaczej mogą mnie spotkać nieprzyjemności znacznie większe niż te, na których się ostatecznie skończyło. Trybu odwoławczego od tak wydanego wyroku nie przewidziano. Sama decyzja angielskich pograniczników zaś stała się natychmiast piętnem, którym od pierwszych informacji o sprawie z zamiłowaniem wywijają działacze i medialni funkcjonariusze polskiej liberalnej lewicy.

W jaki sposób się to stało? Kluczową rolę, czym zresztą wszem wobec przechwala się sama, odegrała lewicowa posłanka do brytyjskiego parlamentu z podlondyńskiego okręgu Ealing Rupa Huq. Zawziętość w napaści na mnie i moje dobre imię okazała ona już w roku 2018, kiedy to uniemożliwiła moje spotkania, które miały się odbyć na zaproszenie londyńskiej Polonii.

W wywiadzie dla „Guardiana" opowiadała potem, że „przekazała sprawę policji" i ta „udaremniła" moje plany. Udaremnienie polegało – jak wiem od organizatorów tej niedoszłej trasy – na wizytach smutnych panów, którzy udzielali „dobrej rady" właścicielom sal i lokali, by wymówili rezerwacje dla uniknięcia bliżej nieokreślonych kłopotów. Fakt, że tak kompromitująca panujące w Zjednoczonym Królestwie stosunki akcja została publicznie przedstawiona jako przykład skuteczności władz w zapewnianiu bezpieczeństwa, jest chyba wystarczająco wymowny.

Mimo wszystko nie było wtedy mowy o próbie uniemożliwienia mi wjazdu na teren UK. We wspomnianym wywiadzie Rupa Huq wręcz wyraziła żal, że ostatecznie z przyjazdu zrezygnowałem, gdyż jakoby wyzwała mnie na publiczną dyskusję w lokalnej telewizji, przed czym miałem rzekomo stchórzyć (żadne wyzwanie do mnie nie dotarło, a z przyjazdu zrezygnowałem, bo zwyczajnie stracił on sens, skoro w przededniu wymówiono nawet rezerwację stolika w restauracji, gdzie mieliśmy zjeść z polonijnymi działaczami kolację). Ponieważ tym razem nie wybierałem się do Anglii z żadną działalnością publiczną, nie spodziewałem się zupełnie kolejnego ataku, tym bardziej tak silnego. Jeszcze siedząc w areszcie deportacyjnym, sądziłem, że skończy się to tak samo jak w wypadku Wojciecha Sumlińskiego, Stanisława Michalkiewicza czy Korwin-Mikkego i innych przedstawicieli polskiej prawicy, ściganych donosami tzw. organizacji antyfaszystowskich. To znaczy po całym upokarzającym rytuale rewizji, pobierania odcisków palców i fotografowania urzędnik odczyta mi z kartki pouczenie, że na terenie UK nie wolno wzywać do nienawiści z przyczyn etnicznych, religijnych etc., i zostanę puszczony wolno.

Ciekawe, że w roku 2018 w ogóle nie padło pod moim adresem oskarżenie nie tylko o „negacjonizm Holokaustu", lecz także w ogóle o antysemityzm. Pani Huq mówiła wtedy, że grupa polskich działaczy, która poprosiła ją o uniemożliwienie przyjazdu „Polish hate preacher", ostrzegła ją, że miejscowi „polscy nacjonaliści" sprowadzają do Londynu człowieka wzywającego do walki z imigrantami i że może to zantagonizować polskich mieszkańców Londynu z miejscowymi muzułmanami. To właśnie rozsnuta przez nich sprytnie wizja jakichś muzułmańskich pikiet przeciwko moim wieczorom autorskim i ewentualnych zamieszek, czego brytyjskie władze boją się panicznie, poderwała do tak ruskiego w stylu przeciwdziałania miejscową policję.

OPŁACALNE MANIPULACJE

I tu dotykamy sedna sprawy. Jest dla mnie oczywiste, dlaczego Rupa Huq wybrała mnie sobie na cel swojej kampanii – jej antysemickie zachowania i wypowiedzi, opłacalne na poziomie muzułmańskiego w większości okręgu wyborczego, na poziomie krajowym są przyczyną pewnych problemów. Jest to zresztą problem wielu jej partyjnych towarzyszy – Labour Party nieustannie robi szpagaty między ważnym dla niej, a premiującym antysemityzm elektoratem imigranckim, a polityczną poprawnością, zabraniającą zaspakajać oczekiwania tego elektoratu nazbyt otwarcie. Pani Huq znalazła rozwiązanie właśnie w demonstracyjnym i histerycznym atakowaniu jakiegoś innego „antysemity", najlepiej polskiego, bo Polaków ma w okręgu niewielu i tak głosują oni w większości na jej konserwatywnego konkurenta, a poza tym Polaków nikt nie lubi, gdyż dzięki działaniom takich właśnie organizacji jak ta, która zwróciła się do Rupy Huq, mają urobioną paskudną opinię.

Bez wątpienia pani Huq nie zna ani słowa po polsku i wszystko, co wydaje się jej, że o mnie wie, wie od owych polskojęzycznych „antyfaszystów". Najgrubsze

eprasa.pl 57b2f5d2e1

kłamstwo w zestawie – o zaprzeczanie Holokaustu – to pokłosie kampanii stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita i specjalizującego się w oszczerstwach i fake newsach portaliku jewish.pl, mającej na celu zakaz rozpowszechniania „Chama niezbuntowanego". Przekręcili oni wyrwane z mojej książki zdanie: „Izrael umieścił mit Holokaustu w centrum swej narracji historycznej" do formy: „Ta książka mówi, że Holokaust to tylko mit".

Podobnych manipulacji dokonywano z moimi wypowiedziami wielokrotnie. Gdy powiedziałem w programie „W tyle wizji", że nazywać niemieckie obozy zagłady polskimi, bo tu były zlokalizowane, to tak, jakby nazywać je żydowskimi, bo to Żydów w nich więziono, lewicowo-liberalne media ogłosiły: „Ziemkiewicz nazywa Auschwitz żydowskim obozem i twierdzi, że to Żydzi sami sobie go zbudowali".

Gdy, przyznaję, w stanie emocjonalnego wzburzenia po ataku Izraela na „Polish holokaust law", napisałem na Twitterze o Netanjahu i Lapidzie, że dwóch głupich parchów w jednej chwili zrujnowało wieloletnie wysiłki wielu osób, by ustanowić dobre relacje między Polską a Izraelem, ogłoszono, że określam tym obelżywym słowem wszystkich Żydów jako nację.

W innym twitterowym wpisie, o człowieku, który, prawdopodobnie dla szantażu, został fałszywie oskarżony o gwałt i z tego tytułu sponiewierany w licznych mediach, a ostatecznie okazało się, że jego jedyną „winą" (poza sprawami kościelnymi, gdyż chodziło o obłudnego zakonnika na „lewiźnie") było uprawianie po pijanemu seksu z równie pijaną kobietą, za jej niewątpliwą zgodą, skomentowałem sytuację stwierdzeniem w tym duchu, iż jeśli to „gwałt", to takim „gwałcicielem" jest prawie każdy mężczyzna w moim pokoleniu. Posłużyło to do rozsnucia przez środowiska lewicowe dyfamacyjnego smrodu, jakobym pochwalał przemoc seksualną, kpił z jej ofiar, a nawet sam zwykł wykorzystywać seksualnie odurzone kobiety.

Takich przykładów mógłbym podać znacznie więcej. Nie przepadam za marszałkiem Piłsudskim i nigdy nie lubiłem jego sławnych słów o podążającym za nim zaplutym z nienawiści karle, który podchwytuje każde jego słowo, by je przekręcić, splugawić i użyć do zniesławienia, ale przyznają chyba Państwo, że nic lepiej nie pasuje do uważnych obserwatorów mej aktywności z liberalno-lewicowych mediów, „antyfaszystowskich" organizacji i muzeum Polin.

Na podwórku krajowym jestem w stanie sobie z tymi nieustającymi próbami zniesławienia radzić. Ostatnio – gdy wrócą np. w mediach społecznościowych, nie muszę nawet przypominać, jak je sprokurowano – wystarczająco sprawnie robią to sami z siebie moi sympatycy – tak że poza skrajnie lewicowymi „bańkami informacyjnymi" nikt już chyba tego nie próbuje.

Zupełnie inaczej jest poza strefą polskiego języka, gdzie wszystkie te kłamstwa były wielokrotnie kolportowane w tekstach, wpisach i materiałach produkowanych przez lewicowych działaczy i dziennikarzy z Polski. Samo tylko kłamstwo o rzekomym „negowaniu Holokaustu" powtórzono za jewish.pl i Otwartą Rzeczpospolitą w co najmniej 42 obcojęzycznych żydowskich portalach i internetowych wydaniach gazet, włącznie z najbardziej wpływowymi. Media te, ochoczo wpuszczające na swe łamy oszczerców z „Gazety Wyborczej", „Krytyki Politycznej" czy mediów Axela Springera, nie uznają instytucji sprostowania prasowego i żadne prawo ich do tego nie zmusza, a wytaczanie im procesów jest opcją czysto teoretyczną.

JAK ZATRZYMAĆ TO OCZERNIANIE

Być może, zamiast na malowanie łódek, pieniądze na walkę o dobre imię Polski lepiej by było zużyć na stworzenie jakiejś instytucji przeciwdziałającej bezkarnej aktywności lewicowych przegrywów, od lat rekompensujących swe frustracje pluciem na Polskę w obcych językach (Marcin Palade przedstawił kiedyś bardzo dobry projekt, ale ponieważ zrobił to człowiek związany z Kukiz'15, a nie ktoś z PiS, zignorowano go). Rzecz przecież dotyczy nie tylko mnie. Sam fakt, że polskie władze zapowiedziały (mam nadzieję, iż na zapowiedziach się nie skończy) działania w obronie mojego dobrego imienia, już stał się pretekstem do zamieszczania w anglojęzycznych mediach publikacji, niewątpliwie inspirowanych z Polski, w duchu: „Jakże otwarcie faszystowskim państwem jest PiS-owska Polska, skoro jej rząd staje po stronie negacjonisty Holokaustu, rasisty i islamofoba!".

Oczywiście fakt, że źródłem oszczerstw i inspiratorem hejtu jest – by użyć słów Poety – „rodzima kanalia", nie powinien zdejmować odpowiedzialności z Wielkiej Brytanii. Ani w roku 2018, ani teraz, ANI JEDNA osoba, czy to z personelu pani Huq, czy z brytyjskich mediów, nie wpadła na pomysł, by się ze mną skontaktować i zwyczajnie zapytać, czy naprawdę napisałem lub powiedziałem wszystkie te obrzydliwe rzeczy, które przypisali mi polskojęzyczni hejterzy. Pierwszym (!), który to zrobił, był dziennikarz Reutersa, któremu, już po przymusowym powrocie do kraju, długo i cierpliwie tłumaczyłem przez telefon punkt po punkcie kolejne „fejki" i sposób, w jaki je wyprodukowano. Do chwili, gdy piszę te słowa, rozmowy tej jednak nie opublikował.

WOLNOŚĆ SŁOWA?

Jeśli nikt w jednej z najstarszych demokracji świata nie poczuwa się do obowiązku przed opluciem i zniesławieniem człowieka wysłuchać jego racji – to trudno o bardziej dobitny znak, jak źle jest dziś na Wyspach z demokracją, wolnością słowa i innymi deklarowanymi przez Wielką Brytanię „fundamentalnymi wartościami", którym mój dwudniowy, prywatny pobyt miał jakoby według urzędników Immigration Office zagrozić.

Jeśli zwykła posłanka z podmiejskiego okręgu traktuje policję i straż graniczną jak swoich prywatnych hajduków, wydaje im polecenia (tak przynajmniej się przechwala) i nikt nie odważa się jej przeciwstawić, jak się domyślam, dlatego że jako muzułmance i egerii skrajnej lewicy wolno jej w dzisiejszej Anglii wszystko, nawet otwarcie okazywać pogardę Żydom – to doprawdy „źle się dzieje w państwie Brytów".

I dlatego sprawa Ziemkiewicza powinna być przez Brytyjczyków potraktowana poważnie. Dlatego brytyjskie władze – wciąż zresztą, co dodaje sprawie szczególnej ironii, nazywające się „konserwatywnymi" – powinny ją przeanalizować, przeprosić mnie i zadośćuczynić za doznane szkody moim córkom i żonie.

Nie tylko z uwagi na mnie. Także z uwagi na dobro samej Wielkiej Brytanii, którą, tchórzliwie pozwalając na wszystko ludziom pokroju Rupy Huq i jej polskojęzycznych delatorów, sami popychają od lat ku lewicowemu zamordyzmowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Jak motyl
Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.[1]

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle".

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity" dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:

gsk

Patronat:

STOWARZYSZENIE NIEBIESKI MOTYL

POLSKIE TOWARZYSTWO GINEKOLOGII ONKOLOGICZNEJ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

NP-PL-OCU-ADVT-210001, 04.2021

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Na sprawę Rafała A. Ziemkiewicza i jego zatrzymania na Heathrow można spojrzeć jako na znamienny precedens. Decyzja o niewpuszczeniu do Wielkiej Brytanii znanego publicysty i autora książek jest czymś, z czym nie mieliśmy do czynienia po 1989 r. Prawo państw europejskich do uznawania kogoś za persona non grata było dotąd stosowane głównie wobec ludzi, którzy akceptują przemoc lub są powiązani z organizacjami terrorystycznymi. W wypadku Ziemkiewicza nie ma najmniejszych podstaw do zrównywania go np. z muzułmańskimi duchownymi wzywającymi do dżihadu. Jedyna podobna sprawa dotyczyła Davida Irvinga, brytyjskiego negacjonisty Holokaustu, któremu odmówiono wjazdu do paru państw europejskich. Być może dlatego posłanka Partii Pracy Rupa Huq użyła właśnie określenia „Holocaust denial" do atakowania Ziemkiewicza.

Jest to zarzut całkowicie nieprawdziwy. Nie wszystkie wypowiedzi Rafała mnie zachwycają, ale to, co tak bulwersuje lewicę, można znaleźć w wielu równie ostrych figurach retorycznych publicystów z ich środowiska. Tyle że lewicowe gwiazdy uprzywilejowane są wyjątkowo hojną dystrybucją szacunku. Co więcej, bardzo często w liberalnych mediach właśnie po drastycznej wypowiedzi sympatyzującej z lewicą gwiazdy literatury czy filmu specjalnie ociepla się jej wizerunek za pomocą wywiadów czy np. prestiżowych nagród.

Sprawa Rafała A. Ziemkiewicza wywołała bardzo liczne echa i komentarze. Spróbujmy zanalizować typy reakcji na tę bezprecedensową decyzję brytyjskich władz emigracyjnych.

FASZYSTA I TYLE...

Najbardziej serio należy traktować komentarze polityków opozycji, bo ich wypowiedzi dziś mogą zapowiadać politykę przyszłego rządu w razie wygranej Platformy Obywatelskiej czy Lewicy. Jeden z frontmanów PO, Borys Budka, podzielił się na Twitterze opinią: „Smutny to czas, gdy bardziej niż setki milionów złotych rozkradanych przez ludzi władzy opinię publiczną – od prawa do lewa – zajmuje sprawa ksenofoba zawróconego z granicy. Prezes może z radości zacierać rączki". Jeszcze dalej poszedł senator PO Marcin Bosacki, który ogłosił: „Ziemkiewicz to

wyborcza.pl

Rafał Ziemkiewicz

Senator Bosacki: Ziemkiewicz to kryptofaszystowski happener. Wstyd mi, że polski rząd się tym zajmuje

NAJCZĘŚCIEJ CZYTANE

Oni "występują w obronie" Ziemkiewicza tylko po to, żeby jakieś punkty zdobyć wśród skrajnie prawicowej publiczności u nas w kraju. Nie występują natomiast przeciwko Łukaszence czy w innych sprawach przeciwko Putinowi, bo po prostu nie są w stanie - mówi senator PO, były ambasador RP w Kanadzie Marcin Bosacki.

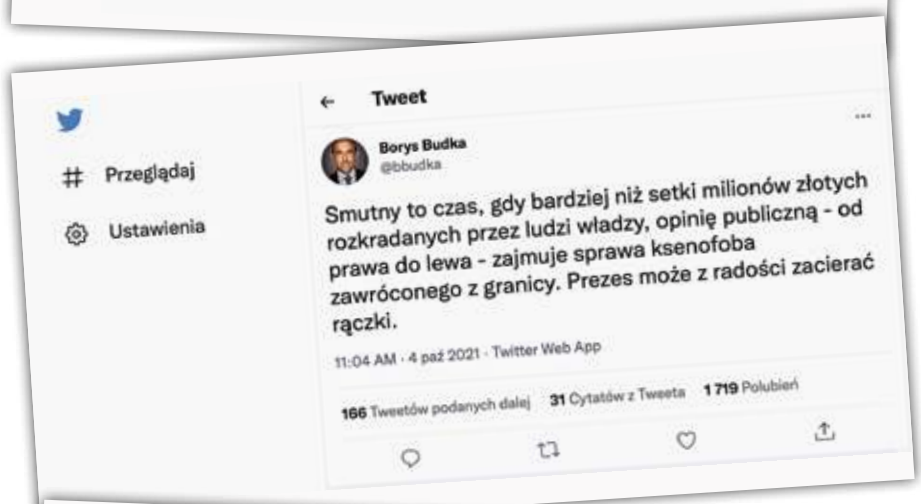
Przeglądaj

Ustawienia

Tweet

Borys Budka
@bbudka

Smutny to czas, gdy bardziej niż setki milionów złotych rozkradanych przez ludzi władzy, opinię publiczną - od prawa do lewa - zajmuje sprawa ksenofoba zawróconego z granicy. Prezes może z radości zacierać rączki.

11:04 AM · 4 paź 2021 · Twitter Web App

166 Tweetów podanych dalej 31 Cytatów z Tweeta 1 719 Polubień

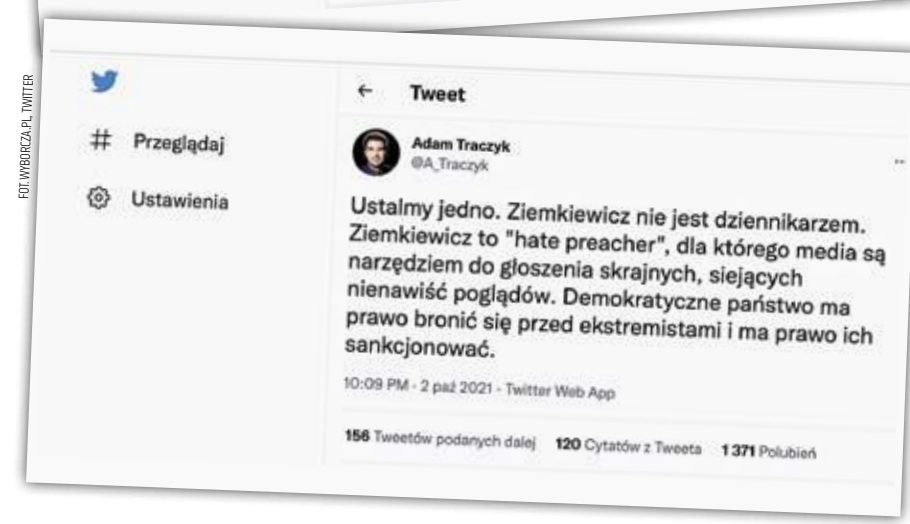
Przeglądaj

Ustawienia

Tweet

Adam Traczyk
@A_Traczyk

Ustalmy jedno. Ziemkiewicz nie jest dziennikarzem. Ziemkiewicz to "hate preacher", dla którego media są narzędziem do głoszenia skrajnych, siejących nienawiść poglądów. Demokratyczne państwo ma prawo bronić się przed ekstremistami i ma prawo ich sankcjonować.

10:09 PM · 2 paź 2021 · Twitter Web App

156 Tweetów podanych dalej 120 Cytatów z Tweeta 1 371 Polubień

FOT. WYBORCZA.PL, TWITTER

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Mianujemy cię ekstremistą

Piotr Semka

Postępowcy dlatego z takim zapałem wspierają działanie władz brytyjskich wobec Rafała A. Ziemkiewicza, gdyż są przekonani, że to oni decydują, kto jest ekstremistą, a kto nie. I to oni będą mieli decydujący wpływ na wydawanie wyroków infamii na politycznych przeciwników

kryptofaszystowski happener. Wstyd mi, że polski rząd się tym zajmuje". Z kolei Maciej Gdula, lewicowy poseł, oznajmił, że są „trzy poziomy śmieszności sprawy Ziemkiewicza: nacjonalistyczny publicysta wywozi córkę na liberalny uniwersytet; jest zdziwiony, że zamknięto przed nim granice, choć sam zachęca do zamykania granic; prawica popierająca stan wyjątkowy nagle broni wolności słowa". Gdula wyraźnie sugeruje, że publicyści z prawej strony powinni mieć ograniczone prawa w odróżnieniu od większości obywateli Europy. Wyjątkowo ostro wypowiedział się Adam Traczyk, były doradca lidera partii Wiosna Roberta Biedronia ds. polityki zagranicznej, który – jak można przewidywać – może trafić do MSZ w przypadku wygrania wyborów przez koalicję, w której skład wejdzie Lewica. Traczyk ogłosił: „Ustalmy jedno. Ziemkiewicz nie jest dziennikarzem. Ziemkiewicz to »hate preacher«, dla którego media są narzędziem do głoszenia skrajnych, siejących nienawiść poglądów. Demokratyczne państwo ma prawo bronić się przed ekstremistami i ma prawo ich sankcjonować". Zdanie Traczyka jest dosyć istotne, bo może oznaczać, że jeśli polska lewica dojdzie do władzy, to rozciągnie prawo do sankcjonowania nielubianych publicystów na stosunki wewnątrzpolskie. A to już nie są żarty.

DOBRZE MU TAK...

Reakcje wielu dziennikarzy pokazują, że taki ewentualny proces spotkałby się ze zrozumieniem dużej liczby publicystów ze strony liberalnej i lewicowej. Publicysta „Gazety Wyborczej" Stanisław Skarżyński bardzo wyraźnie zademonstrował tego typu tendencję. Jak napisał: „Wielka Brytania wprost powiedziała: Ziemkiewicz i jemu podobni to naprawdę niebezpieczni ludzie. Polska to dzisiaj państwo upadłe. O jej kondycji świadczy fakt, że osobnicy w rodzaju Ziemkiewicza uznawani w cywilizowanych krajach za zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego tu stanowią część elity państwowej". Wydawało się, przynajmniej do niedawna, że po tamtej stronie za stosowne uważa się powtarzanie dewizy Woltera: „Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale oddam życie, żebyś mógł swobodnie je głosić". Wygłaszanie takich sentencji było od dłuższego czasu demonstracją pro forma, ale w tym konkretnym wypadku zostało porzucone przez tuzy publicystyki liberalnej. Tomasz Lis komentował wydarzenia w Londynie tak: „W sumie jest podnoszące na duchu, że są kraje, które nie promują faszyzmu, ale go zwalczają". Publicysta „Gazety Wyborczej" Wojciech Karpieszuk argumentował: „[Ziemkiewicz] miał zakaz wjazdu. Każdy kraj ma prawo bronić się przed ekstremizmem. Mowa nienawiści jest w UK zakazana". Karpieszuk nie wskazał, że w Wielkiej Brytanii Ziemkiewicz nie odbył żadnego spotkania ani w 2018 r., kiedy po raz pierwszy mu to tam utrudniono, a teraz nie promował żadnych spotkań. Na tym tle, spoza prawej strony, jedynym publicystą, który bez dodatkowych dygresji sprzeciwił się praktyce, która dotknęła Ziemkiewicza, był Jacek Nizinkiewicz z „Rzeczpospolitej". „Nie zgadzam się z Rafałem A. Ziemkiewiczem w większości kwestii, ale zatrzymanie polskiego obywatela na brytyjskim lotnisku bez podania powodu i odebranie mu leków musi budzić sprzeciw".

Dwa inne głosy odnośnie do wydarzeń na Heathrow – w wykonaniu Bogusława Chraboty, redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej", i związanego z TVN24 Konrada Piaseckiego – zdradzały zaniepokojenie z powodu precedensu, ale okraszone były wstępem – czy to podkreślającym swój dystans wobec Ziemkiewicza, czy też ironizowaniem, że publicysta „Do Rzeczy" jako narodowiec zachwycony polską polityką graniczną sam zderzył się z logiką zamykania granic.

Ta ostatnia reakcja zbudowana jest na pozornym paradoksie. To, co spotkało Ziemkiewicza, było ograniczeniem praw obywateli wjeżdżających do Wielkiej Brytanii, którzy mieli wykupiony bilet, mieli ważny paszport i nie popełniali żadnego przestępstwa. W wypadku uchodźców z Afganistanu czy Iraku sytuacja jest zupełnie inna. Ludzie ci łamią prawo, nielegalnie przekraczając granice i są po części świadomymi, po części nieświadomymi uczestnikami obcego konfliktu granicznego dwóch sąsiadujących ze sobą państw.

Wszelako w największym stopniu ten spór o Ziemkiewicza to spór o prawo jednej części sceny politycznej do deprecjonowania przeciwników ideowych jako ekstremistów. Charakterystyczna była polemika Stefana Sękowskiego, publicysty „Nowej Konfederacji", z Jakubem Majmurkiem z „Krytyki Politycznej". Gdy Sękowski

eprasa.pl 57b2f5d2e1

zapytał, co by było, gdyby Polska nie wpuściła Petera Singera (australijskiego etyka, który lansuje eutanazję mocno upośledzonych niemowląt), Jakub Majmurek, publicysta „Krytyki Politycznej", zareagował na to świętym oburzeniem: „Singer nie jest ekstremistą. Jest wybitnym uczonym, jednym z czołowych globalnych, publicznych intelektualistów".

W ramach narastającej maniery używania przez osoby publiczne ordynarnego języka, całą sprawę najmocniej skomentował publicysta „Wyborczej" Andrzej Saramonowicz: „Dziś sobie uświadomiłem, jak bardzo jestem brytyjski. Też bym ch… do domu nie wpuścił". Co charakterystyczne, w całej sprawie – nawet u publicystów, wydawało się, poważnych mediów dominowały ironia albo złośliwa satysfakcja. Nikt nie zadał sobie np. pytania, na jakiej zasadzie brytyjskie władze wyrabiały sobie opinię o poglądach Ziemkiewicza. Nikt nie zwrócił uwagi, że pismo władz emigracyjnych oznajmiające zakaz wjazdu do Wielkiej Brytanii zostało sygnowane niewyraźnym podpisem bez nazwiska urzędnika, który podejmował decyzję. Nikt nie zainteresował się też tym, że zablokowanie wjazdu Ziemkiewicza to złamanie przez urzędników brytyjskich art. 19 Międzynarodowego paktu praw obywatelskich i politycznych przyjętego przez Zjednoczone Królestwo w 1976 r. Pakt ten głosi: „Każdy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażania opinii; prawo to obejmuje swobodę poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania wszelkich informacji i poglądów bez względu na granice państwowe". Żadne z mediów nie zadzwoniło do brytyjskiej posłanki Rupy Huq, która zaangażowała się w atak na Ziemkiewicza, i nie zapytało, czy zna jego książki, na jakiej podstawie ogłosiła, że neguje on Holokaust, i wreszcie czy podejmowała ona inicjatywę zatrzymania Ziemkiewicza w czasie obecnej wizyty nad Tamizą.

CHAMSTWO PCHA SIĘ DO OXFORDU

I wreszcie ostatnia obserwacja przy wysypie opinii na temat skandalu z Heathrow. To oczywiście już rozmaite odmiany złośliwej satysfakcji. Bardzo popularną nutą było szyderstwo w stylu: tak kochaliście Brytanię za brexit, a oni wam taki numer wykręcają. Jest to oczywiście bardzo bałamutna kpina, gdyż niezależnie od brexitu Wielka Brytania jest krajem, w którym polityczna poprawność opanowała uczelnie i terroryzuje politykę wszystkich partii, w tym rządzących konserwatystów.

Bardzo charakterystyczna była też inna nuta, którą poruszył już we wspomnianym tweecie Maciej Gdula: „Nacjonalistyczny publicysta wywozi córkę na liberalny uniwersytet". Zauważmy, że rzekomy zwolennik feminizmu uznaje za coś oczywistego, iż pełnoletnia córka Rafała Ziemkiewicza jest bezwolnym narzędziem ambicji ojca. Nie jest ważne, że ta dzielna dziewczyna zdała jako jedna z sześciu osób w Unii Europejskiej egzamin do cieszącej się światową renomą uczelni.

Nikt nie zwrócił uwagi, że pismo oznajmiające zakaz wjazdu do Wielkiej Brytanii zostało sygnowane niewyraźnym podpisem bez nazwiska urzędnika

Ponadto wyrazisty był też motyw złośliwego przepowiadania, że córka będzie miała z powodu nazwiska ojca kłopoty. Andy Bilmon, lewicowy aktywista działający na rzecz emigrantów, związany z brytyjskim Radiem Diversity, już zasugerował szczucie przez lewicowych studentów na przyszłą studentkę Oxfordu: „Ziemkiewicz to ohydny typ. Tylko zasługuje na potępienie. Córce współczuję na Oxfordzie. Nie będzie miała łatwo. Studenci patrzą szczególnie na social media".

Kolejny styl kpin zaprezentował Łukasz Pawłowski, publicysta „Kultury Liberalnej", który napisał: „Dla was, wyborcy [prawicy – przyp. P.S.], wspaniałe placówki Czarnka i Rydzyka, ale my jednak dzieci poślemy do Oxfordu, bo nas ku… stać". Rafał A. Ziemkiewicz, jeśli pomagać będzie córce finansowo, to będzie to czynił z pieniędzy zarobionych swoją pracowitością, pomysłowością i wsparciem swoich czytelników. Wpis Pawłowskiego brzmi tak, jakby znanego liberała do głębi oburzał fakt, że „prawicowe chamstwo" pcha się tam, gdzie miejsce jest tylko dla oświeconych elit.

I wreszcie kolejny styl szyderstw oparty na żartach rzekomego męczeństwa Ziemkiewicza. Jedna z twitterowiczek kpinkowała: „Niektórym po jednej stronie zabraknie znaków na to święte oburzenie, że UK zatrzymuje krystalicznego publicystę". Pewien publicysta ironizował na temat użycia określenia „aresztowanie": „Zostałem wczoraj aresztowany przez ochronę budynku, do którego wchodziłem. Po wskazaniu, do kogo zmierzam, zostałem wypuszczony, a w zasadzie wpuszczony". Inny typ zamienienia całej sprawy w groteskę: „Dużym otwarciem dyplomatycznym ze strony Wielkiej Brytanii byłoby obsadzenie w roli kolejnego Bonda – Rafała A. Ziemkiewicza". I wreszcie największa satysfakcja. „Rzeczpospolita" poinformowała, że zapowiedzi wiceministra Szymona Szynkowskiego vel Sęka na temat rozmowy w sprawie zatrzymania Ziemkiewicza z ambasador Jej Królewskiej Mości w Warszawie nie zyskały akceptacji szefa MSZ. Po pewnym czasie okazało się, że informacja z „Rzeczpospolitej" była nieścisła, bo Szynkowski vel Sęk jednak spotkał się z przedstawicielką Londynu. Jednak zanim doszło do sprostowania, informacja o rzekomym odwróceniu się MSZ od Ziemkiewicza wzbudziła falę zadowolonego z siebie śmiechu po lewej stronie Internetu.

Rafał A. Ziemkiewicz, pisząc o swoim zatrzymaniu, wyraził opinię, że lewica nie powinna tak bezrefleksyjnie cieszyć się z jego przypadku. Wskazał, że oskarżenie o antysemityzm może być równie łatwo rzucone na tych polskich lewicowców, którym zdarzy się np. wspieranie racji Palestyńczyków w sporach z Izraelem. To chyba zbytnia naiwność. Postępowcy dlatego z takim zapałem wspierają działanie władz brytyjskich wobec Ziemkiewicza, że są przekonani, iż to oni decydują, kto jest ekstremistą, a kto nie. I to oni będą mieli decydujący wpływ na wydawanie wyroków infamii na politycznych przeciwników. A w razie jakichś kontrowersji dotyczących tego czy innego lewicowca i jego stosunku do Izraela cały spór załatwi się w „lewicowej" rodzinie. I na tym właśnie polega cała ta gra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PGE prowadzi w zielonej zmianie

Zeroemisyjny gigant elektroenergetyczny – czy to możliwe? Okazuje się, że tak. PGE Polska Grupa Energetyczna to jedna z pierwszych firm w regionie Europy Środkowej i Wschodniej, która podjęła wyzwanie osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r.

Zegar zmian klimatycznych tyka. Aby go zatrzymać, konieczne jest ograniczenie emisji CO_2 do atmosfery. Do tego potrzebna jest m.in. zmiana w sposobach wytwarzania energii elektrycznej. Aktywnym uczestnikiem nadającym tempo realizacji tych zmian jest PGE Polska Grupa Energetyczna.

LIDER ZIELONEJ ZMIANY

W ciągu dekady działalność PGE będzie się opierać na wytwarzaniu energii elektrycznej w morskich farmach wiatrowych, lądowych farmach wiatrowych i fotowoltaice, produkcji ciepła w oparciu o niskoemisyjny gaz, niezawodnej dystrybucji energii elektrycznej i przyjaznej klientowi obsłudze sprzedaży. PGE to już teraz lider produkcji energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych w Polsce.

Doskonale widać to w nowej kampanii koncernu, w której w logo PGE wpisane zostało nowe hasło marki: „PGE: Prowadzimy w zielonej zmianie". – Z jednej strony PGE to lider i najbardziej zaawansowana w dążeniu do neutralności klimatycznej grupa energetyczna w Polsce. Z drugiej – firma pomocna, opiekuńcza wobec klientów, służąca im wiedzą i profesjonalnym doradztwem na zmieniającym się rynku – wyjaśnił Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

W ubiegłym roku spółka ogłosiła strategię przedstawiającą plan transformacji zmierzający do neutralności klimatycznej Grupy w 2050 r. Zostanie to osiągnięte poprzez realizację inwestycji w nisko- i zeroemisyjne źródła energii oraz infrastrukturę sieciową. Priorytetem stały się alternatywne źródła energii. – Naszym długoterminowym celem strategicznym jest, aby w 2050 r. 100 proc. energii sprzedawanej przez PGE pochodziło ze źródeł odnawialnych – podkreślił prezes PGE.

INWESTYCJE NAPĘDZAJĄCE TRANSFORMACJĘ

Jako największy krajowy producent energii elektrycznej PGE od dłuższego czasu podejmuje działania na rzecz rozwoju morskiej energetyki wiatrowej w Polsce. Wspólnie z partnerem biznesowym – duńską firmą Ørsted – spółka zamierza wybudować pierwszą i największą na Morzu Bałtyckim Morską Farmę Wiatrową Baltica o mocy 2,5 GW, która dostarczy już w 2026 r. energię elektryczną do polskich domów. We wczesnych latach 30. do użytku zostanie oddany kolejny 1 GW mocy w tej technologii, a do 2040 r. osiągnie co najmniej 6,5 GW zainstalowanej mocy.

PGE nie poprzestaje jednak tylko na inwestycjach związanych z energetyką morską, już teraz jest również liderem w produkcji energii z wiatru na lądzie i chce tę pozycję utrzymać. W 2020 r. koncern zwiększył o 20 proc. moc zainstalowaną w lądowych farmach wiatrowych, osiągając już blisko 700 MW.

Obecnie PGE posiada 17 lądowych elektrowni wiatrowych. Do 2030 r. wybudowany ma zostać dodatkowy 1 GW mocy w tej technologii, osiągając ok. 1,7 GW mocy w lądowej energetyce wiatrowej.

Spółka w tym okresie będzie także intensywne rozwijać kierunek fotowoltaiczny. Ambicją PGE jest posiadanie do 2030 r. 3 GW w tej technologii. Aktualnie firma posiada pięć farm PV i dysponuje gruntami o powierzchni 2,5 tys. ha, pozwalającymi na realizację inwestycji o łącznej mocy blisko 2 GW.

W kręgu priorytetów koncernu znajduje się również ciepłownictwo. Nic dziwnego, w końcu w naszej szerokości geograficznej ciepło i ciepła woda użytkowa to absolutna podstawa funkcjonowania polskich rodzin. A trzeba podkreślić, że PGE jest obecnie największą firmą w branży ciepłowniczej w Polsce i naturalnym liderem integracji rynku. – W tym obszarze mamy przed sobą ambitny projekt konwersji źródeł węglowych na paliwo gazowe, którego realizacja przyspieszy osiągnięcie neutralności klimatycznej przez Polskę – podkreśla prezes PGE.

W latach 2023–2024 praktycznie we wszystkich lokalizacjach spółki zostaną oddane do eksploatacji instalacje, które spowodują całkowite lub znaczące odejście od paliwa węglowego. Zgodnie ze Strategią Ciepłownictwa Grupy Kapitałowej PGE do roku 2030 koncern planuje budowę 1000 MW nowych mocy elektrycznych.

Działaniom tym towarzyszyć będzie budowa elastycznych mocy gazowych oraz komplementarny do OZE program budowy magazynów energii, zapewniający elastyczną pracę systemu elektroenergetycznego i pozwalający na większe wykorzystanie mocy źródeł odnawialnych. Plan Grupy PGE w tym obszarze to 800 MW nowych magazynów energii w Polsce do 2030 r.

Transformacja energetyczna i łączące się z nią zmiany to olbrzymie wyzwanie dla Grupy PGE, która tylko do 2030 r. na inwestycje przeznaczy 75 mld zł. Koncern ma olbrzymie doświadczenie w rozwoju infrastruktury energetycznej związanej z mocami wytwórczymi, a także z siecią dystrybucyjną. Kompetencje te będą w Grupie PGE kluczowe, by nadać właściwy kierunek transformacji, wygrać w tym procesie i przeprowadzić skuteczne zmiany w polskiej energetyce.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Czy Rupa Huq atakami na polskiego dziennikarza chce odsunąć w cień własne kłopoty? FOT. ADRIAN DENNIS/AFP/EAST NEWS

Kim jest stalkerka Rafała A. Ziemkiewicza?

Tomasz Rowiński

Wiele wskazuje na to, że zatrzymanie Rafała A. Ziemkiewicza na londyńskim lotnisku Heathrow nie było przypadkiem, ale efektem działań brytyjskiej parlamentarzystki. Rupa Huq nie kryła satysfakcji w mediach społecznościowych z powodu akcji brytyjskich służb przeciwko publicyście naszego tygodnika

Jedną z pierwszych osób, które uaktywniły się w mediach społecznościowych w sprawie deportacji Rafała A. Ziemkiewicza, była deputowana z okręgu Ealing w Londynie. To ona przypisała swojej aktywności ten „sukces”, którym stało się zawrócenie już z bramek londyńskiego lotniska znanego polskiego dziennikarza. Za co? Za poglądy polityczne. Tyle że nie jego własne. Zresztą Rupie Huq przy okazji wyrażania radości udało się aż trzy razy pomówić Ziemkiewicza, przypisując mu wyznawanie naprawdę paskudnych ideologii. „Każdy, kto propaguje rasizm, w tym islamofobię i negowanie Holokaustu, nie jest mile widziany” – napisała poseł Partii Pracy. Do tego postu deputowana dodała także zdjęcie pisma potwierdzającego, że Rafał A. Ziemkiewicz nie został wpuszczony do Wielkiej Brytanii z powodu poglądów politycznych.

Skąd u pochodzącej z bangladeskiej rodziny parlamentarzystki, która – jak mogłoby się zdawać – nie ma żadnych związków z Polską, takie zainteresowanie pisarzem i publicystą z naszego kraju? W dodatku okraszone piramidalnymi oszczerstwami? Sprawa „relacji” pani Huq i Rafała A. Ziemkiewicza jest nieco starsza niż wydarzenia ostatniego tygodnia. W 2018 r. Ziemkiewicz został zaproszony do Anglii na trzy spotkania organizowane przez Polskę Niepodległą kierowaną przez Piotra Szlachtowicza. Wtedy to właśnie Rupa Huq objawiła się po raz pierwszy jako bojowniczka o multikulturalne społeczeństwo. Powołując się na rzekome skrajnie prawicowe (far-right) poglądy publicysty „Do Rzeczy”, zaapelowała do brytyjskiego resortu spraw wewnętrznych, by go na Wyspy Brytyjskie nie wpuszczać, ponieważ – jak pisała – „obecność Ziemkiewicza nie przyczyni się do polepszenia relacji międzyrasowych w Wielkiej Brytanii”.

PIERWSZY ATAK CENZURY

Co ciekawe, ta interwencja, która – jak się zdaje – nie miała żadnych podstaw formalnych, okazała się skuteczna. Lokale, w których miały się odbyć spotkania z Rafałem A. Ziemkiewiczem, zostały odwiedzone przez „smutnych panów”, którzy – jak relacjonuje to on sam na swoim vlogu – nakłonili ich właścicieli do odwołania wydarzeń. Wtedy autor „Do Rzeczy” deklarował w mediach społecznościowych, że sprawy nie zostawi. Zwłaszcza że wiązała się ona z przypisywaniem mu poglądów, które faktycznie wyznawane trzeba by uznać za kompromitujące. „Nie odpuszczę tego, zamierzam pozwać tę panią Huq i zmusić do przeprosin. Liczę na pomoc polskiej ambasady, bo bezkarność tego oskarżania każdego Polaka o faszyzm tylko dlatego, że jest Polakiem, powinna wreszcie spotkać się z należną odpowiedzią” – pisał Rafał A. Ziemkiewicz. Jednak jak sam przyznaje, nie był konsekwentny i sprawę niestety odpuścił, a pani Huq otrzymała drugą okazję do akcji „przeciwko rasizmowi”. Sam Ziemkiewicz, relacjonując sprawę,

eprasa.pl 57b2f5d2e1

zasygnalizował podejrzenie, że ktoś podsunął londyńskiej deputowanej zmanipulowane echa „skandalu”, który miał miejsce przy okazji wydania przez autora w 2020 r. książki „Chłop niezbuntowany”. Znalazło się w niej zdanie mówiące, że „mit Holokaustu jest w centralnym miejscu narracji historycznej państwa Izrael”. Wokół wyrwanego z kontekstu cytatu próbowano zbudować przekonanie, że oto Rafał A. Ziemkiewicz został negacjonistą Holokaustu. Rzecz jasna, w zadaniu tym nie chodziło o „mit” w znaczeniu nieprawdziwej opowieści, ale w znaczeniu wydarzenia i opowieści założycielskiej – w tym wypadku dla Izraela. Pomówienie to zostało zmultiplikowane w światowym Internecie.

W roku 2018 Ziemkiewicz został także umieszczony na liście „polskich faszystów” przez pewną lewicową organizację, ponieważ zaangażował się w projekt Endecja.pl. Na liście byli też działacze… Kukiz’15. Gdy we wrześniu tego roku Rupa Huq była w Warszawie i miała publiczne wystąpienie na temat relacji polsko-brytyjskich, także wspomniała o Rafale A. Ziemkiewiczu, używając słów „Holocaust denier”. Powiedziała również, że w roku 2018 – gdy nasz redakcyjny kolega szykował się na spotkania autorskie w Anglii – dostawała e-maile ostrzegające przed tym „kaznodzieją nienawiści” (hate preacher), a ponieważ ma dwie synagogi w okręgu, musiała zareagować.

Rupa Huq to córka imigratnów. Jej rodzice przybyli do Anglii w roku 1962 z Pakistanu Wschodniego, który z czasem stał się Bangladeszem, jednym z najbiedniejszych państw świata. Ona sama urodziła się w roku 1972. Jest absolwentką politologii i nauk społecznych w Newnham College w Oksfordzie, potem doktoryzowała się na Uniwersytecie Wschodniego Londynu (UEL). Studiowała także na Uniwersytecie Marca Blocha w Strasburgu (UMB). W tym czasie związała się z Partią Pracy, dla której pracowała w Parlamencie Europejskim. W latach 1998–2004 wykładała nauki społeczne na Uniwersytecie Manchesterskim. Od roku 2004 prowadziła zajęcia z socjologii, kryminologii oraz nauk o mediach na londyńskim Kingston University. Współpracowała jako publicystka z „Tribune”, „The Guardian” czy „New Statemant”, gdzie pisała głównie o kulturze młodzieżowej. W swojej pracy socjologicznej zajmowała się badaniem popkultury, jej wpływu na tożsamość młodych ludzi w różnych specyficznych kontekstach, np. postkolonialnym, czy na terenach tzw. suburbiów.

Jej kariera polityczna początkowo nie rozwijała się dynamicznie. Przyspieszyła dopiero wtedy, gdy w roku 2013 Huq została nominowana na kandydatkę Partii Pracy we wspomnianej już londyńskiej dzielnicy Ealing, gdzie dwa lata później pokonała kandydatkę Partii Konserwatywnej, wtedy deputowaną, Angelę Bray. Jako parlamentarzystka należała do głównego nurtu swojej partii: wspierała przeciwników brexitu, podnosiła kwestie polityki klimatycznej, jest członkiem zespołu ministerstwa spraw wewnętrznych w gabinecie cieni Partii Pracy. W 2016 r. poparła Owena Smitha w nieudanej próbie zastąpienia Jeremy’ego Corbina na fotelu szefa laburzystów.

WSPIERAŁA KOLEŻANKĘ ANTYSEMITKĘ

Rupa Huq ma też jednak od kilku lat kłopoty, i to paradoksalne, jeśli wziąć pod uwagę, że oskarża Rafała A. Ziemkiewicza o rasizm czy negowanie Holokaustu. Od 2016 r. ciągną się za nią oskarżenia o antysemityzm. Pierwszą sprawą, która zwróciła uwagę brytyjskiej opinii publicznej na antysemityzm Huq, było wsparcie, którego udzieliła partyjnej koleżance udostępniającej treści szkalujące Żydów. Naz Shah – bo tak nazywa się ta koleżanka – została zawieszona w Partii. Mimo tego Huq w wywiadzie dla BBC bagatelizowała całą sytuację, mówiąc, że w Internecie różne rzeczy się klika, a jeśli jeden udostępniony tweet ma komuś złamać karierę, to znaczy, że znaleźliśmy się w epoce „procesów na Twitterze”. Trzeba przyznać, że to dość kuriozalne i lekceważące tłumaczenie. Szczególnie w czasach, gdy media społecznościowe są narzędziem oficjalnej komunikacji polityków ze społeczeństwem i nikt znany jako osoba publiczna czy członek poważnej partii nie może sobie tak po prostu „klikać”. Od Rupy Huq odcięła się wtedy inna koleżanka partyjna Luciana Berger, pisząc: „Czy jeżeli ja bym udostępniła rasistowski post, to byłoby to w porządku? Nie. Nigdy”. Opinia publiczna była przeciwko Huq. Przywódca konserwatystów z Ealing, Gregory Stafford, napisał do przywódcy Partii Pracy Jeremy’ego Corbyna z wezwaniem, by ten zawiesił Huq.

Trzy lata później w roku 2019 „The Times” napisał o oskarżeniach skierowanych już bezpośrednio w kierunku Rupy Huq. Pracownicy deputowanej mieli skarżyć się, że są zmuszani do wysłuchiwania teorii spiskowych, w których główne role odgrywali Żydzi. Jeden z podwładnych powiedział, że był przepytywany, dlaczego nosi torbę z flagą Izraela – te interrogacje miały nie ustać pomimo wyjaśnienia, że znak na torbie wiąże się z wyznaniem tej osoby. Pracownicy zeznali, że deputowana kazała zdjąć ze ściany biura plakat „NIE dla antysemityzmu”, oświadczając, że nie jest już potrzebny. Żydowski pracownik poinformował także, że plakat ten został rzucony na ziemię.

Po tych incydentach Jewish Labour Movement, działająca w Partii Pracy organizacja żydowska, nawoływała do zawieszenia poseł Huq w prawach członka partii. Przeprowadzono w tej sprawie formalne dochodzenie. Oznacza to, że temat był postrzegany jako poważny. Niedługo przed wybuchem antysemickiego skandalu Rupa Huq opuściła także Labour Friends of Israel, grupę parlamentarną, która zabiega o dobre relacje Wielkiej Brytanii i Izraela. Dlaczego to zrobiła?

Rok 2016 nie był dobry dla naszej antybohaterki. Niedługo po tym, jak broniła antysemickich wybryków Naz Shah, znów o niej usłyszano, gdy podczas spotkania Palestyńskiej Kampanii Solidarności wygłosiła kuriozalną opinię, że Wielka Brytania powinna przeprosić za utworzenie Izraela.

Rupa Huq, jeśli chodzi o multikulturalizm, obowiązkowy temat brytyjskiej polityki, jest skoncentrowana na tropieniu „islamofobii”. W Zjednoczonym Królestwie stanowi to stosunkowo łatwą metodę zbijania politycznego kapitału. Zdaje się jednak, że deputowana bardzo potrzebuje zatrzeć złe wrażenie po swoich własnych antysemickich wyskokach i znalazła na to sposób. Wystarczy wziąć anonimowego dla Brytyjczyków publicystę z Europy Środkowej, przypisać mu – częściowo przynajmniej – osobiste grzechy i rozpętać skandal będący okazją do ogłoszenia własnej chwały. Dość sprytne. Tak to wygląda. A może była to nieudolna gra na zdobycie popularności wśród dość licznej polskiej kolonii mieszkającej w Ealing, a może chodziło o lokalnych wyznawców? W każdym razie ktoś te oszczercze e-maile, o których wspomniała w Warszawie, wypełniał kłamstwami i wysyłał, licząc na polityczny efekt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Krew, kobalt i dwutlenek węgla

Rafał A. Ziemkiewicz

Kobalt stał się ropą naftową i węglem XXI w., podstawą ukierunkowanego ideologicznie rozwoju gospodarczego i źródłem zysków największych międzynarodowych koncernów. Surowiec ten mógłby być błogosławieństwem Afryki, a stał się jej przekleństwem

Z cywilizacji Zachodu, mimo długiej kolonialnej tradycji, żaden impuls do modernizowania Afryki ani innych biednych obszarów nie wyszedł i nie wyjdzie – bo Zachodowi opłaca się, by były one właśnie takie. Systemowo zacofane, skorumpowane i skrajnie biedne. Konkretnie potrzebują tego zachodnie koncerny, przeciwko którym polityka zachodnich polityków prowadzona być nie może.

Skąd płynie strumień zdesperowanych ludzi, którzy próbują dostać się – i czasami się dostają, zapłaciwszy, komu trzeba – do Europy? Z centralnej części kontynentu. Z okolic, gdzie Joseph Conrad umieścił swoje „Serce mroku”, przerobione przez polską tłumaczkę na „Jądro ciemności”.

W gruncie rzeczy odbywa się tam – nieco tylko głębiej, niż dopłynął rzeką Kongo wielki polsko-angielski pisarz, u samych jej źródeł – powtórka z tamtej historii zapomnianego ludobójstwa, firmowanego przez króla Belgów Leopolda II i nazwanego Wolnym Państwem Kongo. Tym razem tym surowcem, który mógłby być błogosławieństwem Afryki, a stał się jej przekleństwem, nie jest kauczuk ani kość słoniowa, ale kobalt.

PIEKŁO NA ZIEMI

Kobalt stał się ropą naftową i węglem XXI w., podstawą ukierunkowanego ideologicznie rozwoju gospodarczego i źródłem zysków największych międzynarodowych koncernów. Bez kobaltu nie ma wydajnych baterii elektrycznych. Bez kobaltu nie ma elektromobilności, fotowoltaiki, smartfonów, notebooków i wszelkich innych nośników elektronicznych. Bez kobaltu Mark Zuckerberg, Bill Gates czy Jack Dorsey byliby pozbawionymi jakichkolwiek wpływów nędzarzami, a wartość Google’a, Facebooka, Apple’a i Microsoftu skurczyłaby się do ceny budynków, krzeseł i biurek.

A większość światowych rud kobaltu, nie licząc tych pod dnem oceanów, znajduje się w „pasie miedzionośnym”, w środkowej Afryce, w państwie zwanym – równie ironicznie jak niegdysiejszy twór Leopolda II – Demokratyczną Republiką Konga oraz w sąsiedniej Zambii. Więk-

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Górnik rzemieślniczy rozpoczynający swoją zmianę w kopalni kobaltu i miedzi w Afryce FOT. MEINRAD SCHADE/LAIF/FORUM

szość w tym pierwszym. Kongo posiada 49 proc. wszystkich światowych zasobów pierwiastka, który w ostatnich latach stał się niewiarygodnie ważny. Zarazem Kongo tak naprawdę nie istnieje. Jest państwem fikcyjnym, „dzikimi polami”, przy których powieściowe Zangaroo z „Psów wojny” Forsytha można uznać za Kanadę.

Można o tym od czasu do czasu przeczytać, można nawet zobaczyć któryś z kilku dokumentalnych filmów – nie są zbyt często pokazywane ani zbyt chętnie nagradzane. Bo to nie są opowieści o operetkowych prześladowaniach „dyskryminowanych mniejszości”, narażonych na „misgenderowanie” niepoprawnymi politycznie zaimkami i „dednejmami” – to są opowieści z prawdziwego piekła na ziemi, gdzie małe dzieci kopią rudę gołymi rękami i nie dożywają dorosłości, gdzie panuje w najczystszej formie niewolnictwo, gdzie rządzi brutalna przemoc, a lokalni watażkowie stojący na czele swych zbrojnych po zęby gwardii są panami życia i śmierci – częściej śmierci – każdego, kto znajdzie się w zasięgu ich wzroku. Od czasu, gdy wybitny student francuskiej Sorbony i uczeń samego Jeana-Paula Sartre’a, niejaki Pol Pot, zdechł ze starości w kambodżańskiej dżungli, nie ma na świecie miejsca – może poza Koreą Północną – gdzie życie ludzkie byłoby mniej warte, a pogarda dla niego większa.

Połowa światowych zasobów to dużo, ale przecież to tylko połowa. Można ten kobalt kupować gdzie indziej, nie sponsorować gangsterów z afrykańskich dzikich pól, wykorzystujących zmuszanych do pracy w nieludzkich warunkach niewolników. Można by, oczywiście. Ale po co? Przecież nikt nie dostarczy kobaltowej rudy taniej niż oni!

JAKIE KONGO, JAKI KOBALT?

Nie w tym nawet problem, że wiara zachodnich liberalnych demokracji w swą lepszość oparta jest na tym, że po cichu zleca brudną robotę zwykłym gangsterom i płaci im, tak jak płaci mafiom śmieciowym za dyskretne palenie albo wywalanie do azjatyckich i afrykańskich rzek produkowanych przez Zachód odpadów, albo berberyjskim strażnikom za trzymanie Murzynów z dala od „humanitarnie” strzeżonych granic Ceuty i Melilli. Problem prawdziwy jest taki, że nikt nie ma z powodu krwi na całej naszej elektronice najmniejszego bólu głowy.

Lewicowej dzieciarni, przyklejającej się w proteście przed „zagładą planety” do szyb albo blokującej ulice, do głowy nie przyjdzie, że mogłaby nie mieć najnowszego smartfona. Tak samo jak nie przyjdzie im do głowy zastanawiać się, kto i w jakich warunkach szyje za bezcen markowe ciuszki, które przecież również muszą mieć i na których koncerny modowe zarabiają tyle, że jeszcze na wyprzedaży z obniżką ceny o 90 proc. wciąż biorą za taki ciuszek więcej, niż je kosztował wraz z transportem.

Postępowe pańcie z uniwersytetów, zanoszące się nienawiścią do „białych suprematystów”, takich jak Waszyngton, Franklin czy Lincoln, i właściwie wszystkich bohaterów historycznych, bo używali oni cukru czy kawy, wytwarzanych dzięki wyzyskowi czarnych niewolników, gotowe są do upadłego krytykować „rasizm” polegający na postawieniu pały czarnemu studentowi na egzaminie, bo jest leniwym matołem, który na uczelnię dostał się w ramach „akcji afirmatywnej”. Ale o prawdziwym niewolnictwie, skrajnie zbrodniczym, dzisiejszym, z którego owoców korzystają, ani nie wiedzą, ani nie chcą wiedzieć. Dokładnie tak samo, jak pobożni brytyjscy mieszczanie w XVIII w. opędzali się przed wiedzą, jak transportuje się heban, na którym wyrastał dobrobyt ich dumnych ze swych praw i cywilizacji krajów.

Jakie Kongo, jaki kobalt? Biały policjant, zgodnie z obowiązującymi procedurami, przydusił kolanem podczas zatrzymania drobnego złodziejaszka, dilera i performera z podrzędnych pornosów, karanego za napady z bronią w ręku, w tym na ciężarną kobietę – a osłabione narkotykami serce złodziejaszka nie wytrzymało i niefortunnie pod kolanem policjanta zmarł. Oto jest sprawa dla rewolucji! Oto prawdziwe męczeństwo! Oto bohater, symbol rasizmu, prześladowania i wyzysku – na niego patrzcie, a nie na jakichś anonimowych niewolników, tyrających w dalekiej Afryce, żebyście mogli kupować tanio wasze elektroniczne gadżety.

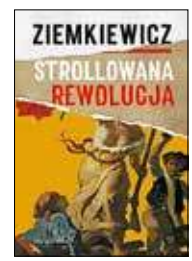

Tekst jest fragmentem książki „STROLLOWANA REWOLUCJA” RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Tak ze wszystkim.

I ma to swój sens.

W każdym człowieku zaszczepił Stwórca głód dobra, potrzebę zaangażowania się w szlachetną sprawę. Ale tak, jak głód można zamiast wartościowym, zdrowym jedzeniem zaspokoić jakimś tłusto-mącznym glutem z fast foodu, tak ten głód dobra też można spokojnie skierować w taką stronę, żeby został zaspokojony w sposób dla władców tego świata i dla prawdziwego zła całkowicie bezpieczny.

Można jeszcze lepiej: tak ludzką chęć naprawiania świata ukierunkować, żeby czyniła władców świata jeszcze potężniejszymi, napędzała im więcej zysków, pozwalała wyzyskiwać ludzi, niszczyć ich i wyrządzać wszelkie możliwe zło jeszcze skuteczniej.

Tu właśnie korporacyjni magnaci spotkali się z neojakobinami, pilnie potrzebującymi nowych sponsorów po upadku ZSRS i pozbawieniu KGB funduszy operacyjnych – a jedni i drudzy z roszczeniowością rozmiękczonego dobrobytem i postracjonalnego społeczeństwa

eprasa.pl 57b2f5d2e1

wychowanego w duchu „zero problemów, wyzwań i wysiłku”.

SPONSORING LEWICOWEGO BADZIEWIA

Lewicowi idioci, patrząc na działalność takiego na przykład George’a Sorosa, cieszyli się jak nie przymierzając nasz Michnik, że znalazł się taki wielki przyjaciel lewicy, hojny przyjaciel, sypiący milionami na „społeczeństwo otwarte”. Mniejsza, że nie przeszkadzało im, iż te miliony pochodziły ze spekulacji, dla dawnej lewicy będącej kwintesencją krwiopijczego zła „klas próżniaczych” – punkt widzenia, jak uczy fizyka, zależy zawsze od punktu siedzenia; skoro spekulant to, co ukradł frajerom, przeznacza na rewolucję, to już jest nasz przyjaciel, nasz Izrael Łazarewicz Parvus, będziemy zachwalać jego i jego spekulacje, wręczać mu medale i tytuły honorowe i skwapliwie się od jego pieniędzy uzależniać.

Ale że oni naprawdę uwierzyli, że cwanemu rekinowi finansjery, ot tak, odbiło i zupełnie bezinteresownie chce promować siły obiecujące masom, że takich jak on upasionych ludzką krzywdą próżniaków raz na zawsze zniszczą?

Nie chcę przeceniać wpływu tego człowieka, zwanego przez jego wdzięczne ofiary „filantropem” – po prostu jego nazwisko jest najbardziej znane, więc używam go jako symbolu. Poprzez fundacje Sorosa światowa lewica zasilona została grubymi milionami, być może już nawet miliardami dolarów, ale nie wiem wcale, czy nie są to drobne kwoty wobec tego, co wielkie globale, choćby te z listy amerykańskiej „koalicji biznesu na rzecz LGBT”, włożyły bezpośrednio we wspieranie feminizmu i genderu, „ruchów emancypacyjnych” i postmodernistycznych „teorii roszczeniowych”, Black Lives Matters i innych ruchów zwalczających „biały suprematyzm”, i całej reszty lewicowego badziewia.

„Po owocach ich poznacie” – uczy Pismo. Jakie są więc owoce tego sponsoringu?

Światowy ruch antyglobalistyczny, atakujący wielkie korporacje, krytykujący służące ich interesom działania rządów mocarstw, przeciwstawiający się rozmaitym rodzajom rozboju w biały dzień, uprawianego wspólnie przez rządy i banki, tudzież imperialistycznym zapędom państw bogatych wobec biedniejszych – zniknął. Nikt tego ruchu nie rozpędził policyjnymi pałkami, nie aresztował przywódców, nie zakazał rozpowszechniania „No Logo” i innych wykładających antyglobalistyczną filozofię książek. Po prostu rozpłynął się on, stracił adeptów, bo przestał być modny.

Nikt już nie chce opodatkowywać globalnych przepływów finansowych „podatkiem Tobina” – nie ma tematu. Nikt już nie zamierza „okupować Wall Street” ani „zjadać bogatych”. Pretensje, że gdzieś tam jeden czy drugi koncern zatruł morze, wylewając ropę czy jakieś chemikalia, skończyły się, jak nożem uciął. Wystarczy, że „kapitaliści” wrzucą raz na rok swoje logo w kolory tęczy, poślą pracowników na „paradę dumy” i już są równie kochani jak Soros. Z agendy „ekologów” zniknęły zupełnie pretensje o wszelkiego rodzaju ścieki, trucizny – cała „ekologia” skupiła się bez reszty na emisji dwutlenku węgla. Dwutlenek węgla, sprawca nadchodzącej „katastrofy klimatycznej”, okazał się być gorszy od dwutlenku siarki, od wszelkich „pyłów zawieszonych”, fluorków, o freonie już nawet nie wspominając, bo humbug z „dziurą ozonową”, w jakiś sposób antycypujący dzisiejszy klimatyczny szwindel, został już na śmierć zapomniany.

HANDLOWANIE POWIETRZEM

Szwindel klimatyczny jest jednym z największych oszustw, jakie kiedykolwiek wymyślono, i prawdopodobnie będzie w przyszłych podręcznikach konkurować z histerią wokół COVID-19 o pozycję symbolicznego końca Zachodu i systemu demokracji liberalnej – w podobny sposób, w jaki o miano „końca średniowiecza” rywalizują daty upadku Konstantynopola, odkrycia Ameryki i wystąpienia Marcina Lutra.

Nie wiem, kto pierwszy wpadł na ten genialny pomysł, że można – dosłownie – wypłukiwać złoto z powietrza, opodatkować je i uczynić gaz obecny w nim od zawsze postrachem ludzkości, uzasadniającym nakładanie jej kolejnych jarzm. W XVIII-wiecznej angielszczyźnie funkcjonował wprawdzie idiom „to trade the air” jako określenie wyjątkowo bezczelnego oszustwa – ale używający go uważali zapewne „handlowanie powietrzem” za tak oczywisty absurd, że do głowy by im nie przyszło, iż za kilkaset lat stanie się ono największym biznesem świata.

W ogóle nie będę się tu zajmował problemem, czy teoria, jakoby sztuczna emisja dwutlenku węgla powodowała globalne ocieplenie, które doprowadzi do katastrofy ludzkości, podobnie jak miała doprowadzić do niej dziura ozonowa, ma solidne naukowe podstawy czy jest humbugiem, wygenerowanym dzięki korupcji i konformizmowi środowisk naukowych, tak jak generowano kiedyś odpowiednio wspartym „zamówieniem społecznym” naukowe teorie o wyższości jednych ras nad drugimi. Po profesorach ekonomii udowadniających na zlecenie banków, że piramida długów nigdy nie runie, profesorach medycyny jawnie utrzymywanych przez koncerny BIG PHARMA, po całych profesorskich konferencjach i instytutach, utrzymywanych przez koncerny żywnościowe, żeby udowadniały, że cukier jest zdrowy i im więcej się go je od dziecka, tym lepiej, a już gazowane napoje z izoglukozą to samo najlepsze – zwyczajnie nie umiem wykrzesać z siebie wiary, że wbijane nam w głowę klimatyczne dogmaty są tylko przypadkiem zbieżne z interesami największych magnatów tego świata i nikt wcale nie fałszował żadnych danych ani ich nie „fryzował”, ani nie wpływał na proces dochodzenia naukowców do prawdy, nagradzając grantami i innymi beneficjami tych badaczy i te ośrodki, które stawały po stronie „słuszności”, a cenzurując i wyciszając opornych.

Jak każdego człowieka, sceptycznego wobec rosnących zysków i potęgi szwindlarzy od handlu powietrzem, łatwo zarzucić mnie świętymi tekstami klimatyzmu, liczbami, nazwami renomowanych ośrodków i nazwiskami autorytetów nawzajem zaświadczających o swoim autorytecie. Nie będę zanudzał siebie i czytelników przegryzaniem się przez to wszystko, tym bardziej że nie warto. Dobrze, na użytek naszej rozmowy zgódźmy się z góry na wszystko. Powiedzmy, że Ziemia się ociepla jak nigdy dotąd, i to nie wskutek zmian aktywności słonecznej, nie wskutek jakichś swoich wewnętrznych przemian (co wiemy tak naprawdę o wnętrzu tej kuli, na której siedzimy?), nie wskutek innych gazów cieplarnianych, z parą wodną na czele, tylko właśnie wskutek CO_2, odpowiadającego ponoć za aż kilka procent „efektu cieplarnianego”, i to nie CO_2 ze źródeł naturalnych, wybuchów wulkanów, planktonu morskiego – nie, o ociepleniu decyduje tylko ten CO_2, który powstał w wyniku spalania różnych paliw przez człowieka.

A teraz, dla świętego pokoju przyjąwszy to założenie, zobaczmy, czy motywowane paniką klimatyczną i walką z CO_2 działania rzeczywiście skutkują zmniejszeniem globalnej emisji tego gazu – a jeśli nie, to jakie są ich skutki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

ZAPRASZAMY JUŻ W PAŹDZIERNIKU

KONFERENCJA

Ideologia LGBT – prawna ochrona rodziny

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW WKRÓTCE

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Imigranci w lesie koło Michałowa (Podlaskie). Zostali zabrani przez Straż Graniczną, 6 października 2021 r.

FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Najazd na Podlasie

Maciej Pieczyński

Przybysze z Bliskiego Wschodu i Afryki niszczą ogrodzenia, zaśmiecają lasy, włamują się do domów, czasem grzecznie proszą, a czasem agresywnie żądają pomocy. Tak wygląda życie w strefie objętej stanem wyjątkowym

Wieś Górny Gród w powiecie hajnowskim położona jest przy samej granicy z Białorusią. Od tygodni przez tę okolicę przedzierają się na zachód nielegalni imigranci z Bliskiego Wschodu, którym udało się sforsować polską granicę. Przechodzą przez wieś pod osłoną nocy. Starają się nie rzucać w oczy, żeby uniknąć zatrzymania. Nie oznacza to jednak, że nie są uciążliwi dla mieszkańców. Wręcz przeciwnie.

– Moja posesja ogrodzona jest siatką. Mieszkam prawie przy samej granicy. Dosłownie kawałek od mojego ogrodzenia jest już płot, a dalej Białoruś. Migranci prawie co noc mi przez podwórko przechodzą. Rano patrzę, a tam dziura w siatce! Przecinają nożycami, które chyba u Łukaszenki kupują, i przechodzą! A ja później muszę reperować, to są duże koszty – mówi „Do Rzeczy" Wiktor Kendyś, sołtys wsi Górny Gród.

Imigranci zostawiają też liczne śmieci w okolicznych lasach. – Chleb, cukierki, konserwy z napisami po białorusku… – wylicza Wiktor Kendyś. – To wszystko całe, niezjedzone! Niech pan nie wierzy w tę propagandę, że to głodni i biedni ludzie. Głodny by jedzenia w lesie nie zostawił. Poza tym biedny człowiek nie ucieknie na Zachód, bo nie ma pieniędzy.

Sołtys przygranicznej wsi nie przebiera w słowach. – Dla nas, dla mieszkańców, to jak bydło, które przechodzi i niszczy wszystko. Może i są wśród nich uczciwi, normalni ludzie, tego nie wiem. Wiem tylko, że niszczą wszystko po drodze – denerwuje się. Jednocześnie zapewnia, że dzięki obecności Straży Granicznej on i inni mieszkańcy w zasadzie czują się bezpiecznie. – Niby na razie ci imigranci nie są agresywni, bo się spieszą dalej na Zachód, ale na 100 proc. to pewnym być nie można.

WYDOILI JEJ KROWĘ

Szczelność granicy na tym odcinku pozostawia wiele do życzenia. Jednak zdaniem sołtysa jest to odcinek wyjątkowo trudny do upilnowania. – Żołnierze strzegą granicy 24 godziny na dobę. Ale przecież nie stoją jeden przy drugim. Żeby nikt się nie prześlizgnął, to chyba co pięć metrów musiałby stać żołnierz. Imigranci idą w nocy. A przecież toż to las, gęsta puszcza! Nic nie widać – mówi Kendyś.

Jeszcze większe problemy z napływem nielegalnych imigrantów mają mieszkańcy gminy Michałowo

eprasa.pl 57b2f5d2e1

w powiecie białostockim. To właśnie w tutejszej placówce Straży Granicznej zatrzymano dwie irackie rodziny, które następnie cofnięto na Białoruś. Lewicowo-liberalna część polskiej sceny polityczno-medialnej podniosła wówczas alarm, dramatycznym tonem pytając, co się stało z dziećmi. Tymczasem obie rodziny odmówiły złożenia wniosku o azyl w Polsce. W tej sytuacji jedynym legalnym rozwiązaniem było odesłanie Irakijczyków tam, skąd przybyli. To jednak nie przeszkodziło wielu komentatorom w rozpętaniu histerii, a dziennikarka „Gazety Wyborczej" posunęła się nawet do sugestii, że dzieci z Michałowa zostały przez funkcjonariuszy SG zamordowane.

Tak czy inaczej, na tym terenie o wiele częściej niż w okolicach Górnego Grodu dochodzi do bezpośrednich kontaktów z przybyszami z Bliskiego Wschodu czy Afryki. Kontakty te rzadko należą do przyjemnych.

– Przyszli do mnie 27 września. Pamiętam tę datę, bo wtedy było bardzo dużo przypadków przekroczenia granicy. Straż Graniczna miała pełno roboty – opowiada „Do Rzeczy" prosząca o anonimowość pani Maria (imię zmienione), sołtys jednej z przygranicznych wsi. – Wraz z sąsiadami wyliczyliśmy, że na siedmiokilometrowym odcinku było aż 130 takich przypadków. Przyszli do mnie na podwórko o godz. 4 nad ranem. Nie zapukali do drzwi, tylko świecili latarkami po budynkach. Potem posiedzieli jakiś czas koło garażu i poszli na sąsiednią działkę. Tam się rozsiedli i rozpalili ognisko z takich choineczek, które sąsiad miał na podwórku. Zadzwoniliśmy po Straż Graniczną. Jakoś niezbyt im się spieszyło. Przyjechali dopiero po 40 minutach. Pokazałam im, gdzie siedzą imigranci. Zaczęli ich sprawdzać, przesłuchiwać. Trwało to tak z osiem godzin. Aż do godz. 13 trzymali ich na podwórku. Tych imigrantów było 14, w tym tylko dwie kobiety i dwoje trochę starszych dzieci. Reszta to mężczyźni – wspomina.

Podobnych opowieści ze wsi w gminie Michałowo nasza rozmówczyni przytacza więcej. Prawie za każdym razem imigranci nie pytają grzecznie o pozwolenie, tylko zwyczajnie wchodzą na czyjeś podwórko. Nie zawsze pod nieobecność domowników. Gdy wychodzi gospodarz, czasem nie tyle proszą, ile żądają pomocy. W Mostowlanach-Kolonii próbowali włamać się do domku letniskowego. Właściciele mieszkają na co dzień w Warszawie, przyjeżdżają tylko na weekendy. Nie było ich na miejscu. Imigranci weszli na posesję. Do samego domku nie udało im się wedrzeć. Włamali się więc do pomieszczenia pełniącego funkcję letniej kuchni. Wybili szyby. Powyrywali klamki w drzwiach. Napalili w piecu, ogrzali się i ugotowali sobie obiad. Zobaczył ich mieszkający dwa domy dalej sąsiad.

Imigranci czasem włamują się np. do domku letniskowego, czasem grzecznie proszą o pomoc mieszkańców

– Koleżanka ma gospodarstwo na kolonii, na obrzeżach wsi. Idzie raz do obory, patrzy, a tam imigranci jej krowę doją. Byli ponoć agresywni. Krzyczeli na nią, że musi im telefony naładować. Odmówiła. Bała się, że coś jej zrobią, więc uciekła do domu, zamknęła się i po Straż Graniczną zadzwoniła. Przyjechali strażnicy i ich zabrali. Potem mówili, że ci imigranci to akurat wyjątkowo agresywni byli – opowiada pani Maria.

WIECZOREM ZAMYKAMY SIĘ W DOMU

W okolicach Michałowa przybysze nieszczególnie się kryją przed mieszkańcami. Znajomy pani Marii wracał samochodem ze sklepu w sąsiedniej wiosce, kiedy nagle na drogę wyskoczyło pięcioro czarnoskórych migrantów. Trzech mężczyzn i dwie kobiety. Zatrzymali samochód. Poprosili o picie i jedzenie. Znajomy naszej rozmówczyni nie odmówił. Dał im mleko, coś do jedzenia i piwo. Wszystko, co kupił w sklepie. Rozmawiali z nim po rosyjsku. Chcieli pójść do cerkwi, ale on im odradził. Ostrzegł, że batiuszka najpewniej wezwie Straż Graniczną. To ich przekonało. Bo, jak sami przyznali, musieliby wtedy poprosić o azyl w Polsce. A tego by nie chcieli. – Mówili, że chcą na Zachód wyjechać. Prosili mojego znajomego, żeby on dla nich pomógł i ich tam zawiózł. Ale on im tłumaczył, że nie może, bo to bezprawne, a on nie chce za to do więzienia pójść – mówi pani Maria.

Kiedy indziej dwóch imigrantów z Afganistanu przyszło do sklepu w jednej z wiosek w gminie Michałowo. Mieli porozdzierane kurtki. Najwidoczniej przedzierali się przez drut kolczasty. Przyszli kupić wodę i naładować telefony. Po chwili przyjechała Straż Graniczna, powiadomiona przez jednego z mieszkańców. Jak się okazało, Afgańczycy mieli przy sobie dokumenty. Akcja przebiegła więc dość sprawnie.

Z opowieści pani Marii wynika, że imigranci nie zawsze włamują się komuś do domu. Czasem nawet grzecznie proszą o pomoc. Zazwyczaj wysyłają wtedy dwie osoby, tak aby gospodarz się nie wystraszył. Reszta czeka w lesie. Zdarza się, że pukają do drzwi późnym wieczorem. – W dzień czujemy się bezpiecznie, wszystko widać z daleka. Ale wieczorami to nieciekawie jest. Wokół cisza, jak to zwykle u nas, a tu nagle pies zaczyna ujadać. Pewnie dlatego, że oni przechodzą. Wojska jest wokół mało, więc zawsze jakaś grupa się prześlizgnie – mówi.

Z migrantami często mają do czynienia również mieszkańcy Litwinowicz w powiecie siemiatyckim. – Raz policja musiała ich zabierać z bocznej drogi. Ośmiu ich było. Sami mężczyźni. Schowali się w krzakach za stodołą – opowiada sołtys Litwinowicz, Zinaida Owłasiuk. – Zwykle chodzą po polach, wzdłuż drogi. Tak, żeby się nie zgubić, ale i żeby ich nie złapali. Ale czasem też idą środkiem drogi, tak jakby chcieli być złapani. Mało tam kobiet i dzieci. Głównie młodzi mężczyźni. Chociaż raz się zdarzyło w Piszczatce, niedaleko Litwinowicz, że była z nimi jedna kobieta. Była wycieńczona, nie mogła dalej iść. Przyjechała Straż Graniczna, ale wezwali też pogotowie, pomogli jej.

Zinaida Owłasiuk zapewnia, że dzięki obecności służb czują się bezpieczniej. – Jest dużo policji, Straż Graniczna, terytorialsi… Wiadomo, że często nas kontrolują, trzeba mieć przy sobie dowód, nawet jak się na pole idzie. Ale to nie jest aż tak uciążliwe. Ważne, że wyłapują tych imigrantów, bo to jednak strach. Wieczorem na wszelki wypadek zamykamy się w domu i nigdzie nie wychodzimy. Na razie imigranci nie są agresywni, ale nigdy nic nie wiadomo.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Poza tym po co mają nam się obcy kręcić po wsi?! Dlatego zawsze dzwonimy na straż – opowiada.

„STRASZNIE SIĘ WYSTRASZYŁEM"

Dziennikarze, jak wiadomo, nie mają wstępu do strefy objętej stanem wyjątkowym. W ich rolę wcielają się jednak nierzadko okoliczni mieszkańcy, opisując sytuację w mediach społecznościowych. Na Twitterze sporą popularność zdobył Mateusz Wodziński, znany pod pseudonimem Exen. Mieszkaniec Łapicz z okolic Krynek. Światopoglądowo zdaje się sympatyzować z lewicowo-liberalną stroną sporu. Jednak jego relacje wymykają się ideologicznym schematom. Z jednej strony krytykuje „drakońską praktykę" push back, z drugiej strony potwierdza informacje o zorganizowanym charakterze sterowanej przez Mińsk migracji i nie ulega łatwo pseudohumanitarnej histerii. Przedstawia też dowody na nieszczelność granicy, publikując zdjęcia koczujących w lesie przybyszów z Bliskiego Wschodu i Afryki. Dobrym przykładem jego symetrystycznej postawy był wpis, w którym z wielkim żalem przyznał się, że w obawie o własne bezpieczeństwo wezwał Straż Graniczną, aby zabrała z jego podwórka grupę imigrantów. „Uwierzcie, to nie była łatwa decyzja. Ale strasznie się wystraszyłem. Byłem sam, a ich nie wiadomo ilu. To tylko kilkaset metrów od domu. Cała rodzina przerażona. Rozważyłem za i przeciw. Nic innego nie dało się zrobić. Nikt tu nie może wjechać im pomóc. Oni nie mogą wyjechać [...]. Z jednej strony, no OK, okazałem się nie być bohaterem. Z drugiej strony niech ktoś zaproponuje jakąkolwiek sensowną alternatywę. Z trzeciej strony, dlaczego ten rząd nie może po prostu zachować się z godnością i pomóc ludziom w potrzebie? (potem niech ich deportuje)" – tłumaczył się Exen. Jednocześnie dodał, że jeśli okaże się, iż polski rząd, wbrew obietnicom, nie pomaga uchodźcom, to więcej już funkcjonariuszom SG nie pomoże.

Na YouTube o sytuacji na granicy informuje też Klaudiusz Wesołek. Mieszkaniec wsi Zubacze w gminie Czeremcha, w powiecie hajnowskim. Do niedawna hodowca kóz, obecnie bezrobotny. Prowadzi kanał pod nazwą TVG-9 Sieć Niezależnych TV. Początkowo chwalił działania polskich służb. W kolejnym nagraniu jednak skrytykował policję za to, że w środku wsi przez całą noc stał radiowóz z włączonym sygnałem świetlnym. „Świecą po oczach mi, batiuszce prawosławnemu, mojej sąsiadce staruszce" – relacjonował Klaudiusz Wesołek. – Prosiłem ich, żeby wyłączyli koguta, bo inaczej złożę na nich skargę. Tłumaczyli, że taki mają rozkaz. Ale na szczęście to się zmieniło. Teraz włączają koguta tylko, jak widzą, że nadjeżdża jakiś samochód – mówi „Do Rzeczy" youtuber ze wsi Zubacze. Jego zdaniem granica nie jest należycie pilnowana. – Na 20-kilometrowej drodze z Czeremchy do Klukowicz średnio trzy razy mnie kontrolują. A przecież uchodźcy, jak chcą przejść niezauważeni, to nie idą tamtędy. Wybierają mniej uczęszczane drogi leśne. A tam z reguły nie ma takich stałych patroli. Straż Graniczna częściej pilnuje głównych dróg. Bez sensu – uważa.

Lewicowo-liberalny youtuber z okolic Krynek sam wezwał Straż Graniczną, gdy na jego podwórko przyszła grupa imigrantów. Bał się

Podporucznik Anna Michalska, rzecznik prasowa Straży Granicznej, zapewnia: – Kierujemy na granicę coraz więcej sprzętu potrzebnego do zatrzymywania napływu nielegalnych imigrantów. Będziemy intensyfikować patrole. Ochraniamy i monitorujemy granicę 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Gdyby imigranci przedzierali się do Polski wyłącznie na własną rękę, nie byłoby problemu z całkowitym zatrzymaniem ich napływu. Przypominam jednak, że pomagają im białoruskie służby. Ich funkcjonariusze są doskonale zorientowani w terenie, dlatego wskazują imigrantom, którędy mogą przejść niezauważeni. Płot i zasieki nie obejmują jeszcze całej długości granicy. Z pomocą białoruskich pograniczników nawet ogrodzenie nie zawsze jest wystarczającą przeszkodą dla imigrantów. Samodzielnie nie byliby w stanie sforsować wszystkich zapór. Białoruskie służby ułatwiają im przejście przez płot i zasieki za pomocą infrastruktury, która teoretycznie powinna służyć do obrony granicy, a obecnie jest używana do jej naruszania – mówi ppor. Michalska.

Według statystyk tylko ok. 44 proc. imigrantów składa wniosek o azyl w Polsce. Reszta chce jechać do Niemiec lub do innych krajów Europy Zachodniej. – Lepiej usytuowani Irakijczycy opowiadają nam, że z powodów ekonomicznych nie chcą zostać w Polsce. Nie mając możliwości wyjazdu dalej na Zachód, wracają do Iraku – mówi ppor. Michalska. Dlatego też imigranci przekraczają granicę nielegalnie – azyl w Polsce wyklucza bowiem ochronę międzynarodową w innym kraju. Nawet gdyby chcieli legalnie udać się na przejście graniczne i poprosić o pomoc, najprawdopodobniej Białorusini by na to nie pozwolili. – Z rozmów z cudzoziemcami wynika, że służby białoruskie nie tylko im pomagają, lecz także czasem wręcz zmuszają ich, by przekraczali granicę w konkretnym miejscu – mówi ppor. Michalska.

Na pojawiające się w przestrzeni publicznej pytanie, gdzie są dzieci cudzoziemców zatrzymanych w Michałowie, rzecznik SG wielokrotnie odpowiadała, że wraz z rodzicami, zgodnie z prawem, zostały zawrócone do linii granicy, ponieważ odmówiły złożenia wniosku o ochronę międzynarodową. Ich celem był bowiem wyjazd do Niemiec. A zadaniem polskich służb nie jest przewóz nielegalnych imigrantów do Berlina. SG ze względów bezpieczeństwa nie informuje, dokąd dokładnie na granicę wywożeni są cudzoziemcy. – Na podstawie umowy o readmisji Białoruś powinna przyjmować z powrotem imigrantów, którzy z jej terytorium nielegalnie przedostają się do Polski. Umowy tej jednak nie realizowała, a w ubiegłym tygodniu ją zawiesiła. Twierdzili, że nie ma śladów żadnej nielegalnej imigracji z ich strony – mówi ppor. Michalska. Zapewnia jednak: – Rozpatrujemy wnioski wszystkich cudzoziemców, którzy deklarują chęć otrzymania azylu w Polsce. Jeśli ktoś odmawia takiej możliwości, a jednocześnie nie wymaga pomocy medycznej, to zgodnie z prawem zostaje zawrócony do linii granicy i poinformowany o konieczności opuszczenia kraju – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. MACIEJ GOCLON/FOTONEWS/FORUM

Z Jackiem Kotulą, radnym Prawa i Sprawiedliwości Sejmiku Województwa Podkarpackiego, działaczem pro-life
rozmawia Ryszard Gromadzki

Wszystko na sprzedaż

RYSZARD GROMADZKI: Sejmik Województwa Podkarpackiego przyjął ostatnio uchwałę, w której zmienił treść innej uchwały sprzed dwóch lat wyrażającej sprzeciw wobec promocji ideologii LGBT. W nowej uchwale podkreślono, że Podkarpacie jest teraz regionem „otwartym na tolerancję". Pan był jednym z kilku radnych, którzy głosowali przeciw tej uchwale. Uzyskała ona większość dzięki gremialnemu poparciu radnych PiS. Czy to głosowanie oznacza, że w imię politycznego pragmatyzmu można wyrzec się wartości fundamentalnych?

JACEK KOTULA: Po tym, co się stało, niestety można tak sądzić. Radni, którzy poparli tę uchwałę, nie mają mocnego kręgosłupa moralnego. To tchórze, którzy za stołki i miejsca na listach wyborczych zapominają o swoich korzeniach, o tym, kto ich wybierał. Moim zdaniem ci ludzie są obłudnikami, którzy zajmują pierwsze ławki w kościołach, chodzą na spotkania Akcji Katolickiej czy Stowarzyszenia Rodzin Katolickich, a później uchylają uchwałę zakazującą promocji ideologii LGBT i mówią, że nic się nie stało. Jest podobnie jak wtedy, gdy kończył się czas rządów Platformy – ci, którzy są przy władzy, patrzą tylko na to, jaką dywidendę z tego wyciągnąć. A po nas choćby potop... Nie spodziewałem się, że po dwóch latach od jednogłośnego przyjęcia przez nasz sejmik tej uchwały ci sami radni ją uchylą. Po cichu mówią mi, że mnie popierają, że mam rację, ale nie stać ich na to, żeby publicznie wyrazić swoje stanowisko. Ale jak może być inaczej, skoro połowa z tych radnych ma jakieś stołki związane z urzędem marszałkowskim i jest od tego uzależniona.

Samorządowcy, którzy teraz rakiem wycofują się z uchwał przeciw promocji ideologii LGBT, na swoim terenie argumentują, że gdyby tego nie zrobili, straciliby pieniądze na drogi, ścieżki rowerowe i inne ważne inwestycje, a z tego później rozliczą ich wyborcy. Dlatego trzeba zrobić krok w tył. Jak pan odpowie na taki argument?

To bzdurny argument. Cofnęli się o krok, cofną się o kolejne. Za chwilę Unia powie im, że nie da pieniędzy, na które mają chrapkę, bo nie ma u was jeszcze homomałżeństw czy zgody na adopcję dzieci przez te homomałżeństwa. PiS cały czas powołuje się na patriotyzm, konserwatyzm, tradycję itd. Sto lat temu nasi dziadowie szli do Legionów, oddawali życie za wolną Polskę, niczego nie domagając się w zamian. A my co? Oddajemy swoje ideały za parę

eprasa.pl 57b2f5d2e1

kilometrów asfaltu czy kostki brukowej? Jaki przykład dajemy młodzieży? Jakie moralne prawo mamy, by domagać się od nich, żeby się nie rozwodzili, żeby byli zawsze gotowi do obrony ojczyzny? To antyprzykład.

Czy zmiana treści uchwały dotyczącej ideologii LGBT była inicjatywą własną sejmiku, czy impuls przyszedł z centrali? W imię niekomplikowania i tak trudnych relacji z Unią?

Tak myślę. Dwa lata temu byłem inicjatorem tej uchwały w sejmiku podkarpackim. To była reakcja na politykę, którą podjął w Warszawie prezydent Trzaskowski. Powiedziałem wtedy na klubie PiS: „Słuchajcie, zróbmy coś w drugą stronę. Pokażmy, że jesteśmy za normalnością, za małżeństwem jako związkiem mężczyzny i kobiety, za wartościami". Wtedy w ciągu miesiąca taka uchwała została przygotowana, a następnie jednogłośnie przyjęta. Myślę, że teraz decydującym momentem, który wpłynął na zmianę stanowiska sejmiku Podkarpacia, było pismo wiceministra Budy od funduszy i polityki regionalnej. Podejrzewam, że miały też miejsce zakulisowe naciski na marszałka województwa. Zwróciłem się do wicemarszałek województwa Anny Huk, żeby pokazała mi dokumenty z Brukseli domagające się zmiany uchwały w sprawie ideologii LGBT. Chciałem się dowiedzieć, czego dokładnie od nas żądali, jak im odpowiadaliśmy, czy były jakieś negocjacje. Odpowiedziała mi, że nic takiego nie ma poza pismem Hołowni i wnioskiem radnego Platformy, którzy domagali się uchylenia poprzedniej uchwały. Wszystko zostało załatwione ponad głowami radnych.

Radni byli poddawani jakimś naciskom ze strony zarządu województwa w tej sprawie?

Z tego, co mi wiadomo, podczas posiedzenia klubu PiS jeden z radnych wyszedł, trzaskając drzwiami, kiedy dowiedział się, że ta uchwała będzie głosowana. Jak powiedziałem wcześniej, połowa radnych PiS ma jakieś synekury w urzędzie marszałkowskim. Oni gwarantują większość.

Pan formalnie wciąż należy do PiS czy jest poza partią? Kto chce pana usunąć z Prawa i Sprawiedliwości?

Inspiratorem jest marszałek Ortyl. Myślę, że to odwet za nagłośnienie przeze mnie niewygodnych faktów związanych z realizowaną przez niego prywatyzacją klinicznego szpitala wojewódzkiego w Rzeszowie przy ul. Chopina. Chodzi o usuwanie ze szpitala najlepszych profesorów, zawieranie niekorzystnych dla szpitala umów. Na ich podstawie zabiegi wykonują firmy zewnętrzne, np. z Krakowa. Jest m.in. firma, która przeprowadza operacje robotem. W myśl zawartej przez tę firmę umowy otrzymuje ona co miesiąc pieniądze za wykonanie 16 operacji, a w rzeczywistości wykonuje ich od 9 do 11. Kiedy dopytywałem się na komisji zdrowia sejmiku, kto przygotowywał tę umowę, to dyrektor szpitala odpowiedział, że pan, który teraz operuje. Czyli przedstawiciel firmy. Zacząłem drążyć tę sprawę, wtedy marszałek głosami radnych z PiS próbował mnie wykluczyć z partii, ale przegrał dwa głosowania. W tej sytuacji marszałek Ortyl zwołał zdalne zebranie zarządu regionu i poinformował tam, że wyrzuca mnie z PiS. Do mnie ta decyzja dotarła po tygodniu. Ze statutu partii wynika, że takie działanie jest niezgodne z nim. Dlatego odwołałem się do sądu koleżeńskiego w Warszawie. Od pół roku czekam na decyzję w swojej sprawie.

Drażni mnie ten psychiczny terror uprawiany przez rząd, który chce wymuszać szczepienia przeciw COVID. Ta nachalna propaganda

Jest pan znanym na Podkarpaciu obrońcą życia. Dzięki batalii, którą prowadził pan przez kilka lat, prywatny szpital Pro-Familia, gdzie przeprowadzano aborcje, zaprzestał ich...

Miałem trzy procesy z tym szpitalem. Skończyły się one dla mnie pozytywnie. Lekarze, właściciele tego szpitala, podpisali klauzulę sumienia i zaprzestali przeprowadzania aborcji. Podobną klauzulę podpisali później również lekarze ze szpitala wojewódzkiego, gdzie także przeprowadzano aborcje. Od tej pory, tzn. od 2016 r., nie ma w szpitalach województwa podkarpackiego legalnych aborcji, które byłyby przeprowadzane za pieniądze nas, podatników. Słyszałem, że lekarze się boją, że jak Kotula się dowie, to znowu zrobi aferę, a ich zdjęcia będą znów pokazywane na ulicach. Rzeczywiście przez dwa lata z moimi ludźmi z grupy pro-life przeprowadziłem 32 pikiet pod szpitalem i na ulicach Rzeszowa, żeby pokazać, że dyrektor szpitala czy główny ordynator jest za zabijaniem chorych dzieci. Pozwali mnie za to, że mówiłem, że oni zabijają dzieci. Oni twierdzili, że nie zabijają, tylko terminują. Sąd w końcu uznał moje argumenty.

Firmuje pan teraz inicjatywę obywatelską „STOP NIEDZIELSKI". Czym się panu naraził minister zdrowia?

Generalnie drażni mnie ten psychiczny terror uprawiany przez rząd, który chce wymuszać na ludziach szczepienia przeciw COVID. Ta nachalna propaganda z tym związana. Moja żona jest pielęgniarką i opowiada mi, „jak na chama" próbuje się szczepić ludzi. Co do Niedzielskiego, to oburzyło mnie to, co zrobił miesiąc temu, kiedy przyjechał do malutkiej wioski Jeżowe. Ta wieś leży w gminie, w której w ostatnich wyborach padło najwięcej głosów na PiS. Niedzielski wybrał sobie tę gminę i tę wioskę, żeby zbeształ jej mieszkańców, nazywając ich antyszczepionkowcami itd. A ci ludzie są zaszczepieni na wszystkie obowiązkowe szczepienia. Naobrażał ludzi, a sam ze swoją świtą siedział w urzędzie gminy bez maseczek, nam każe zakładać maski. Straszył ludzi, że jeśli nie będą się szczepić, to na Podkarpaciu będzie następny lockdown. W ten sposób sami sobie strzelają w kolano, mając ludzi za nic. Parę tygodni później Niedzielski przyjechał do Sanoka i znów zrobił pokazówkę. Oni nadużywają naszej gościnności. My do nich z chlebem i solą, a oni: „Jeśli nie założycie maseczek, to nie będę udzielał wam wywiadów". Za chwilę w Karpaczu ten sam człowiek przemawiał bez maski, a nasze dzieci mają w szkole zatykać usta i nos. On chce nam pokazać, kto tu jest panem, a kto niewolnikiem. Wkurzyło mnie to. Z kolegami z Sanoka postanowiliśmy, że napiszemy obywatelski projekt uchwały. Mamy taką możliwość prawną, że 1 tys. osób może podpisać własny projekt, wnieść go do sejmiku, gdzie będzie on głosowany. Inicjatywa nazywa się „STOP NIEDZIELSKI" i ma być sygnałem, że nie życzymy sobie jego oficjalnych wizyt na Podkarpaciu, bo nic dobrego z nich nie wynika. Niech przestanie nas obrażać, straszyć i wkurzać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Kamila Baranowska

Strażak Tusk

Coraz częściej słychać z Platformy, że Tusk jest coraz bardziej rozdrażniony tym, że odkąd wrócił, ciągle zajmuje się gaszeniem pożarów

Z pustego i Tusk nie naleje" – chciałoby się rzec, patrząc na to, jakich kłopotów w ostatnim czasie, mniej lub bardziej świadomie, przysparzają mu politycy z jego własnego środowiska. – W ostatnich dwóch miesiącach miałem wrażenie, że Platforma to zbiór kapitalnych ludzi, z których każdy ma własny pomysł na to, co Polakom jest potrzebne. Aż mi serce rosło, jak widziałem nasze koleżanki i naszych kolegów w różnych akcjach, ale my jesteśmy po to, żeby wygrać wybory, bo chodzi o śmiertelnie ważną sprawę. Tu nie chodzi o jednorazową nagrodę, że ktoś w przychylnej nam gazecie napisze artykuł, że ktoś jest zaangażowany – tak mówił Tusk podczas konwencji partyjnej w Płocku, upominając wprost swoich posłów, by byli bardziej zdyscyplinowani i nie działali na własną rękę, a już zwłaszcza nie kierowali się emocjami.

Największy problem w partii Tusk ma dziś ze swoją polityczną młodzieżą, parlamentarnymi świeżakami, u których nie ma tak bezdyskusyjnego autorytetu jak u pozostałych swoich polityków. Dla posłanki Klaudii Jachiry czy posła Franka Sterczewskiego od opinii Tuska ważniejsze są opinie followersów na Twitterze czy Facebooku. Młodzi wydają się też nie rozumieć, dlaczego w swoim działaniu mieliby się kierować jakimś długofalowym interesem partii, a nie swoim własnym. A w ich interesie jest to, by o nich mówiono.

Tusk jest w o tyle trudnej sytuacji, że z jednej strony ich potrzebuje jako argumentu i sygnału do młodych wyborców, że miejsce młodzieży jest przy Platformie, ale z drugiej wie, że politycznie mu szkodzą, zrażając wyborców umiarkowanych, którzy politykę postrzegają nie tylko w kategoriach skandalizujących happeningów. Tusk musi też zdawać sobie sprawę, że przymykając oko na postępującą niesubordynację młodych polityków, podkopuje własną pozycję lidera. Kim są ludzie, którzy przysparzają dziś Tuskowi największego bólu głowy w partii i klubie?

FRANEK STERCZEWSKI

Oficjalnie nie należy do Platformy Obywatelskiej, jednak do Sejmu kandydował z listy Koalicji Obywatelskiej i zasiada w parlamentarnym klubie KO. Nie dziwi więc, że wszystkie jego słowa i akcje idą na konto Platformy. Dotychczas młody poseł, wcześniej poznański aktywista zasłynął głównie tym, że po odbiór zaświadczenia o wyborze na posła przyszedł w znoszonych trampkach, z czego uczynił swój znak rozpoznawczy. – W tych butach robiłem kampanię, w nich przeszedłem wszystkie gminy powiatu poznańskiego. Dlatego są zużyte. Dzięki temu miałem tak dobry wynik. Jeśli jakiś poseł ma nieużywane lakierki, to znaczy, że w czasie kampanii wyborczej siedział w domu na kanapie. Zresztą ja kupuję jedną parę butów i używam do zajechania – tłumaczył potem w wywiadzie dla „Wyborczej".

O ile tamta historia jednych bawiła, innych żenowała, ale generalnie nikomu nie szkodziła, o tyle ostatni pomysł Sterczewskiego wzbudził w szeregach Platformy mocno mieszane uczucia. A Tuska ponoć rozwścieczył. Chodzi oczywiście o akcję na granicy polsko-białoruskiej, gdy w Usnarzu Górnym Sterczewski z charakterystyczną niebieską torbą z Ikei w ręku ganiał się ze Strażą Graniczną. Tłumaczył, że chciał dostarczyć koczującym imigrantom jedzenie i lekarstwa. Obrazki z jego bieganiny stały się hitem Internetu, a na niego samego posypała się krytyka za brak odpowiedzialności i narażanie siebie nie tylko na śmieszność, lecz także na realne niebezpieczeństwo. To Sterczewskiego szef MSWiA Mariusz Kamiński nazwał ostatnio w Sejmie „człowiekiem niemądrym i nieodpowiedzialnym".

O ile sam Sterczewski do dziś nie widzi nic złego w swoim zachowaniu, o tyle Tusk, polityk dużo bardziej doświadczony i lepiej rozumiejący polityczne mechanizmy, od razu wiedział, że dla Platformy to wizerunkowa katastrofa. Dlatego podczas konwencji w Płońsku nie owijał w bawełnę. – Polityka to jest odpowiedzialność za skutki swoich działań, a nie za intencje. Trzeba rozumieć wszystkie skutki, także te dalekosiężne, swoich działań, swoich manifestacji, swojej ekspresji – mówił, zwracając się m.in. do Sterczewskiego. Wezwał go także na dywanik, do dziś jednak do rozmowy nie doszło. – Ja na nią cały czas czekam, niestety po drodze wydarzyła się pewna imprezka urodzinowa, przez którą kolejka na dywanik się nieco wydłużyła. Niecierpliwie czekam na swoją kolej – drwił Sterczewski w TOK FM, nie kryjąc, że niespecjalnie się przejmuje uwagami Tuska. Zwłaszcza że już wcześniej Sterczewski komentując plany

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Od lewej: Klaudia Jachira, Urszula Zielińska, Franciszek Sterczewski FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

powrotu Tuska do polityki, powtarzał, że – owszem – były premier mógłby pomóc roznosić ulotki w kampanii, ale nie stawać na czele opozycji, bo – jak mówił – Platforma „potrzebuje gry zespołowej, a nie ojca, który wraca z długich wakacji".

KLAUDIA JACHIRA

To przypadek bardzo podobny do posła Sterczewskiego. Przypomnijmy, że Jachira, zanim została posłanką, była youtuberką zajmującą się polityczną satyrą nie najwyższych lotów. Ktoś w Platformie uznał, że taka internetowa celebrytka przysporzy popularności warszawskiej liście PO, choć nikt nie wierzył, że zdobędzie mandat z mało atrakcyjnego 13. miejsca. Jachira mandat jednak zdobyła i teraz Platforma ma za jej przyczyną więcej kłopotów, zwłaszcza tych wizerunkowych, niż zysków. Jachira bowiem politykę traktuje jako pretekst do budowania swojej popularności w sieci. Jej znak rozpoznawczy to przyklejony do ręki smartfon, którym robi sobie zdjęcia w każdej możliwej scenerii. Mało w tym powagi, więcej show na potrzeby mediów społecznościowych, gdzie oczywiście relacjonuje każdy swój krok. Aby zwiększyć atrakcyjność swoich przekazów, z każdego wydarzenia próbuje zrobić happening. Ona także zjawiła się na granicy z darami dla migrantów i telefonem w dłoni. – To są tortury. Wstydzę się za Polskę – komentowała na miejscu, krytykując też bezduszność strażników. Od tamtej pory Jachira mocno angażuje się w temat pomocy migrantom, nie przebierając w słowach i porównaniach. „Polacy tak samo pomagają uchodźcom, jak kiedyś Żydom w czasie wojny" – napisała na Twitterze. Po tych słowach musiała tłumaczyć się szefowi klubu Borysowi Budce. Kilka tygodni później, przemawiając w Sejmie, tak bardzo atakowała polski rząd za to, że nie pomaga migrantom, że zaczęła ją ochoczo cytować białoruska propaganda.

Zarówno Jachira, jak i Sterczewski albo nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo szkodzą nie tylko własnemu krajowi, lecz także własnemu środowisku politycznemu, albo wiedzą to, tylko nic ich to nie obchodzi dopóty, dopóki rosną im zasięgi i popularność w Internecie. Nie wiadomo, co gorsze, także z punktu widzenia Tuska, który tłumaczył im wprost. – Nazwę rzecz po imieniu, bo nie pozwolę, żebyśmy zmarnowali energię, którą budujemy. Polacy, kiedy padają słowa „granica, „terytorium", „państwo polskie", trzymają kciuki za Straż Graniczną i żołnierzy, zrozumcie to – podkreślał podczas przemówienia w Płońsku, zwracając się m.in. do Jachiry i Sterczewskiego. Owszem, Tusk nie ma nic przeciwko politycznym happeningom i nawet najbardziej ostremu językowi (to on przecież wymyślił Janusza Palikota i latami akceptował czy nawet wspierał jego wybryki), ale tylko dopóty, dopóki działa to na jego polityczną korzyść. W tym wypadku Tusk i jego otoczenie wiedzą, że ta działalność im zwyczajnie szkodzi.

SŁAWOMIR NITRAS

To także polityk, za którego Tusk musiał ostatnio mocno świecić oczami. Jego słowa o „opiłowywaniu przywilejów katolików" zostały uznane przez kierownictwo Platformy za wyjątkowo niebezpieczne. Do tego stopnia, że podczas konwencji w Płońsku Tusk wykonywał wiele gestów, by pokazać, jak bardzo szanuje katolików, począwszy od ucałowania chleba i uczynienia nad nim znaku krzyża.

– W mojej rodzinie większość osób jest katolikami, nie chcą być piłowani – powiedział, nawiązując do słów Nitrasa. – Sławek się nie pogniewa. To jest przykład, który dotyczy każdego z nas. Kiedy mówicie publicznie choćby jedno słowo, podejmujecie decyzje, pamiętajcie, że Polacy oczekują od was powagi, odpowiedzialności i czułości. Naszym przeciwnikiem nie są instytucje, tylko zła władza, która psuje te instytucje i służby. Naszym przeciwnikiem nie są katolicy, bo my jesteśmy w dużej większości katolikami – zaapelował do kolegów z partii.

Sławomir Nitras w Platformie postrzegany jest jako człowiek Rafała Trzaskowskiego, więc dyscyplinowanie go przez Tuska ma dodatkowy aspekt wewnętrznych porachunków. – Nitrasa czekają konsekwencje. Może pomarzyć o szefowaniu regionem zachodniopomorskim, a na to się szykował – mówił tygodnikowi „Wprost" polityk PO wspierający Tuska.

BARDZIEJ DOŚWIADCZENI, BARDZIEJ KARNI

Na granicy polsko-białoruskiej własny show mieli także dwaj inni, bardziej doświadczeni politycy Platformy – Michał Szczerba i Dariusz Joński. Oni też zawitali tam z pudełkami pizzy i innymi darami dla migrantów. Nie wyglądało to poważnie i również bardzo nie spodobało się Tuskowi. Oni także mieli zostać wezwani na dywanik, tak jak Jachira i Sterczewski. – Na pewno Donald Tusk nie ma zastrzeżeń do mnie i Dariusza Jońskiego – tłumaczył się w Interii Michał Szczerba. Obaj politycy, początkowo bardzo aktywni medialnie i zaangażowani w sprawę pomocy migrantom, dziwnie zamilkli po słowach Donalda Tuska o tym, że „polskie granice muszą być szczelne i dobrze chronione".

Podobnie szybko Tusk uporał się z politykami, którzy zawitali na urodzinową imprezę do dziennikarza Roberta Mazurka, gdzie bawili się razem z politykami PiS. Opublikowane przez „Fakt" zdjęcia m.in. Sławomira Neumanna, Tomasza Siemoniaka czy Borysa Budki stały się przyczynkiem do fali krytyki polityków opozycji, którym zarzucono hipokryzję. Tutaj reakcja Tuska była dużo bardziej skuteczna. Wszyscy przyznali mu rację i na wyścigi zaczęli kajać się za nieprzemyślany udział w imprezie, zapewniając, że z posłami PiS prawie nie rozmawiali. Tu wszystko zadziałało tak jak dawniej.

Co nie zmienia faktu, że coraz częściej słychać z Platformy, że Tusk jest coraz bardziej rozdrażniony tym, że odkąd wrócił, ciągle zajmuje się gaszeniem pożarów. A przecież wrócił do Polski, by pokonać Jarosława Kaczyńskiego, a nie użerać się z Frankiem Sterczewskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

Łukasz Zboralski

Budowany z trudem przez 30 lat wizerunek policji jako służby niosącej pomoc ludziom właśnie wali się na naszych oczach. I tym razem będzie dużo trudniej go odtworzyć

Czarny PR niebieskich

Po upadku komunistycznego systemu milicjanci gładko przeszli do nowej rzeczywistości. Napisy „MO" na radiowozach przemalowano na „Policja". Funkcjonariusze założyli nowe mundury. Jednak w ubraniach tkwili ci sami ludzie, do których nad Wisłą zwracano się „panie władzo" i którzy stanowili aparat represji. Wyzwanie było więc ogromne – tak pracować nad wizerunkiem służby, by ludzie zaczęli uważać ją za niosącą im pomoc.

Początki nie były łatwe. Dawni milicjanci nie wyzbyli się nawyków. W badaniu CBOS z 1994 r. policja była wymieniana jako trzecia sfera naszego życia, w której panuje największe łapownictwo (wyżej były tylko „wymiar sprawiedliwości" i „administracja, urzędy"). Aż 39 proc. badanych wskazywało, że największy problem z korupcją mamy w policji, a rok wcześniej na tę służbę wskazało tylko 13 proc. Dlaczego? Bo krajem wstrząsały wówczas afery wykrywane w policji. Przy okazji afer w Poznaniu i Łodzi-Bałutach pokazano statystyki. Inspektorat Komendy Głównej Policji odnotował ok. 15 tys. skarg na funkcjonariuszy. Oznaczało to, że obywatele skarżyli się na pracę co szóstego człowieka w mundurze. Pół tysiąca policjantów pożegnało się z pracą. Aż 115 spraw trafiło do prokuratury, z tego 30 dotyczyło kradzieży, 22 – przekroczeń uprawnień, 63 – korupcji. Gdy „Gazeta Wyborcza" ujawniła korupcyjne i mafijne powiązania w poznańskiej policji, ludzie pytani przez CBOS uznawali, że to nie jest zjawisko specyficzne dla służby tylko w tym mieście. 54 proc. uznawało, że w polskiej policji korupcja i łapownictwo to zjawiska częste, w tym 35 proc. uznawało to za bardzo częste. Co znamienne – najczęściej wskazywali na to mieszkańcy małych miast. Czyli miejsc, w których PRL-owski milicjant wcześniej znaczył naprawdę dużo i dużo mógł. Dodajmy, że najczęściej źle postrzegali policję ludzie o poglądach prawicowych.

POLICJA ODBUDOWANA

Konsekwentnie jednak policja budowała wizerunek nowej służby. Pomagało w tym nagłaśnianie sukcesów. Rozbity gang, przejęte narkotyki, zatrzymani złodzieje – policja do dziś tak informuje o swojej pracy. Nie ma miesiąca, by w policyjnych kronikach nie pojawiła się notka o dzielnym dzielnicowym, który po pracy (to jest podkreślane) zareagował i zatrzymał pijanego kierowcę. Nie ma miesiąca, by funkcjonariusze nie pisali, że eskortowali do szpitala rodzącą kobietę czy podwozili chore dziecko.

Czy to działało? Owszem. Policja z dumą co roku publikowała statystyki, z których wynikało, że społeczeństwo darzy ją zaufaniem. W latach 2002–2016 zdecydowana większość Polaków twierdziła, że ma zaufanie do ludzi w niebieskich mundurach, sięgało ono zwykle ponad 60 proc. Oczywiście ważną wskazówką powinien być fakt, że przez cały ten czas po upadku PRL ponad 30 proc., a więc prawie co trzeci obywatel kraju, nigdy zaufania do policji nie nabył. W innych krajach zaufanie do policji przekraczało w tym samym czasie 80 proc. Tak było w Niemczech, UK, USA, Szwecji, Kanadzie.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Ostatecznie naprawa wizerunku okazała się sukcesem. Z lat 90. w policji zostały może już tylko w niektórych komendach meble i komputery (choć dziś inaczej niż w latach 90. większość osób nie uważa, że policji nie powinno się dofinansowywać, to jednak warunki pracy funkcjonariuszy bardzo często jeszcze urągały wszelkim standardom) oraz potomkowie milicjantów – bo swego czasu praca w policji była łakomym kąskiem i „plecy" pomagały się załapać na etat.

POLICJA ZBURZONA

Paradoksalnie za rządów Zjednoczonej Prawicy, gdy np. trwa wielki projekt przywracający komisariaty w małych miejscowościach, policja w oczach społeczeństwa straciła wiele z tego, co wytrwale budowała przez 30 lat.

Najjaskrawiej widać to w Internecie. Wystarczy przeczytać dowolny artykuł o rzeczywiście dobrych działaniach policji, by odkryć pod nim stek obelg i pretensji. Nie pomagają działania PR-owskie. Gdy w maju tego roku Komenda Główna Policji na Twitterze ogłosiła konkurs „Policjant, który mi pomógł" (zachęca ludzi do informowania o funkcjonariuszach, którzy wykazali się wyjątkowym profesjonalizmem, empatią i postawą), w komentarzach czytać można było długi wątek, w którym punktowano skandale i nieprawidłowe zachowania funkcjonariuszy.

– Policjanci to na pewno odczuwają, jedni mniej inni bardziej – przyznaje „Do Rzeczy" Rafał Jankowski, szef NSZZ „Solidarność" Policjantów. – Wytworzenie takiej otoczki braku zaufania do policji jest niebezpieczne dla samych funkcjonariuszy, ale i dla ludzi. Codziennie w Polsce interwencji policji oczekuje kilkanaście tysięcy ludzi, a taka atmosfera nie pomaga w pracy. Przez to dostanie się niesłusznie jakiemuś dzielnicowemu w przysłowiowym Pcimiu. I nie mówię, że my jako policjanci nie popełniamy błędów. Jednak nie jest dobrze przekładać to na całą formację i każdego policjanta uznawać za metodycznie łamiącego prawo czy zachowującego się nieodpowiednio. Jesteśmy naprawdę w niebezpiecznym punkcie – przyznaje ze smutkiem.

Tylko dlaczego tak to dziś wygląda? Rujnowanie wizerunku policjanta ma wiele aspektów i niechybnie związane jest z silną wojną polsko-polską. Zaczęło się już od pamiętnych protestów przeciw „dyktaturze" przed Sejmem w grudniu 2016 r. Atmosfera była napięta, politycy opozycji mówili o drugim grudniu, nawiązując do komunistycznych opresji, a policjanci musieli bronić dostępu do Sejmu. Dodajmy do tego takie obrazki jak słynne kładzenie się na drodze męża znanej warszawskiej radnej Agaty Diduszko-Zyglewskiej, co próbowano przedstawiać jako ranienie demonstranta. Choć policjanci pilnowali zasad, to uznawano, że – jak podczas przewrotu dyktatorów – nie przyłączyli się do społeczeństwa, więc strzegą złego prawa i pomagają złej władzy.

Potem bywało już tylko trudniej. Atmosfera stawała się gorąca na wielu demonstracjach – protesty przeciw zmianom w sądownictwie, czarne marsze w sprawie aborcji. Tu policja według części społeczeństwa stała po niewłaściwej stronie barykady na wewnętrznych polskich wojnach.

Sondaże z ubiegłego roku pokazały, że zaufanie do policji spadło. Według jednego nawet o 20 punktów procentowych. To rzecz nienotowana od lat

A przy tym politycy systematycznie jeszcze na własną rękę odzierali policjantów z godności. Wystarczy wspomnieć byłego wiceszefa MSWiA Jarosława Zielińskiego i legendarną już uroczystość 11 listopada 2016 r., podczas której nad nim z helikoptera sypano konfetti, które – jak się okazało – wcześniej na zlecenie przełożonych cięli właśnie policjanci.

W dodatku, jak wynikało z nieoficjalnych doniesień, w pewnym momencie policjantom wręcz nakazano wręczać jak najmniej mandatów za wykroczenia na drogach i jak najwięcej pouczać – co nie budowało ich autorytetu ani poszanowania prawa.

COVIDOWY DODATEK

I gdy już od lat dla liberalnej części społeczeństwa policja jest skreślona jako ślepo służąca „dyktatorskiej" prawicowej władzy, nadeszła pandemia koronawirusa, w której policjanci znów musieli zapanować nad przestrzeganiem nowych i szerokich restrykcji dla ludzi. To oni musieli zwracać uwagę na to, czy ludzie zakładają maseczki, pojawiając się w sklepach czy najpierw nawet w ogóle na ulicach. To oni kontrolowali, czy ktoś rzeczywiście jest na kwarantannie. I przez to znów stracili w oczach ludzi – tych, którzy widzieli nadmierną reakcję na błahe wykroczenia, tych, którzy wskazywali na niemądre zakazy pandemiczne, i tych, którzy w ogóle w koronawirusa nie wierzyli. Tak się składa, że sporo z nich to przeciwna grupa do liberalnej części społeczeństwa, która już policji nie lubi, a więc ta prawicowa i skrajnie prawicowa.

Jakby tego było mało, wybuchły jeszcze skandale z interwencjami i zatrzymaniami, po których ludzie stracili życie. W najnowszej z tych spraw – śmierci Bartosza Sokołowskiego w Lubinie – będzie właśnie kolejne śledztwo. Policja została wezwana przez matkę 34-latka. Mówiła, że prawdopodobnie jest pod wpływem narkotyków i rzuca kamieniami w domu. Sokołowski zmarł po interwencji policjantów, którzy go obezwładnili. „Gazeta Wyborcza" właśnie ujawniła, że policjanci bez prokuratorskiego nakazu weszli potem do mieszkania matki i zabrali jej komórkę, na której sfilmowała interwencję. Do prokuratury nie dotarła też najpierw płyta z innym filmem z interwencji, który na komendę przyniósł inny ze świadków tych zdarzeń.

Na Dolnym Śląsku – na wrocławskim Psim Polu – podczas domowej interwencji podczas nocnej awantury zmarł też inny 29-letni mężczyzna. Okazało się, że tuż przed interwencją policjant wyłączył kamerę umocowaną na mundurze.

Efekty są widoczne nie tylko w internetowych komentarzach. Są też zmierzone. W 2019 r. CBOS notował rekordowe zaufanie Polaków do policji – 75 proc. Pod koniec ubiegłego roku tąpnęło i spadło do 71 proc.

Skalę obecnego problemu z wizerunkiem policji pokazał inny sondaż, przeprowadzony przez IBRiS. W 2017 r. badanie tej sondażowni zamówione przez „Rzeczpospolitą" wykazywało zaufanie do policji na poziomie 62,4 proc. (brak zaufania deklarowało 19 proc.). Pod koniec 2020 r. sondaż IBRiS w tej sprawie zamówił portal Interia. Okazało się, że poziom zaufania do policji obniżył się gigantycznie – do 44 proc. (33 proc. – nieufających, 19 proc. – obojętnych).

Tego spadku zaufania nie da się odrobić komunikatami o podwożeniu radiowozem ciężarnych do szpitala. Policja jest blisko momentu, w którym będzie musiała zacząć taką pracę, jaką wykonywała nad postrzeganiem swojej pracy od 1989 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Niebinarne Złote Lwy

Remigiusz Włast-Matuszak

Potraktujmy ten festiwal jako wypadek przy pracy. Wzmożenie neomarksizmu kulturowego odebrało zdrowy rozsądek komisji selekcyjnej i części jury

Antonio Gramsci, nie zważając na liczne obowiązki w socjalistycznej Hiszpanii i na uniwersytetach USA, przybył do Gdyni, by na Gali zamknięcia 46. Festiwalu osobiście asystować przy wręczeniu Platynowych Lwów naszej Agnieszce Holland.

Niestety Kamala Harris, wiceprezydent USA, nie odpowiedziała na lipcowy list Agnieszki Holland, informujący o „rozpaczliwym" stanie demokracji w Polsce. Szkoda, bo ze sceny festiwalu przemówienie Holland zabrzmiałoby znacznie mocniej jako oficjalne wsparcie USA dla totalnej opozycji w III RP. A tak Holland podzieliła się z nami tylko długimi przemyśleniami czytanymi ze smartfona. Pani Holland dalej czuje się wieziona w transporcie do (KL) obozu koncentracyjnego, jednak nie sprecyzowała, do którego obozu ani przez kogo. (Do obozu Zgoda w Świętochłowicach zawiadywanego przez komendanta Salomona Morela? Czy do „polskiego obozu koncentracyjnego" w Auschwitz?). Zaakcentowała to, twierdząc: „Szczepionka Holokaustu i GUŁagów przestała działać". Faktycznie Holokaust dla nowojorskich organizacji żydowskich jest już jedynie dochodowym biznesem, a GUŁagi w Rosji i na Białorusi działają w najlepsze – vide los Olega Sencowa! Rozwijając swoją myśl, stwierdziła, że polscy żołnierze Straży Granicznej to to samo co strażnicy z DDR.

138 ZASTRZELONYCH PRZY MURZE BERLIŃSKIM

Przypomnijmy, że byli to Niemcy, którzy zastrzelili 138 osób – w zdecydowanej większości Niemców – uciekających z komunistycznej DDR do Berlina Zachodniego. Strażnicy i ich polityczni szefowie z DDR byli sądzeni i skazani w zjednoczonych Niemczech według prawa – formuły ministra Gustava Radbrucha (lex iniustissima non est lex – w tłumaczeniu dla intelektualistek z totalnej opozycji znaczy to: „prawo rażąco niesłuszne nie jest prawem"). Regułę Radbrucha zastosowano jak dotąd dwa

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Laureaci tegorocznego festiwalu w Gdyni FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

z Gdyni

razy: pierwszy raz, przeprowadzając procesy norymberskie – od listopada 1945 r. do października 1946 r. – a drugi raz, sądząc „strzelców przy murze". No litości! Panie Holland, Szumowska, Suchanow i reszta – czas się douczać na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu – WUML. Przepraszam, tak mi się z rozpędu napisało, oczywiście na Wieczorowym Uniwersytecie Opozycji Totalnej – WUOT.

Wcześniej na Gali w ramach suportu Małgośka Szumowska, przebrana za brygadzistę z Magnitogorska czasów II Pięciolatki, domagała się wolności (co przeczy podstawom logiki – gdyby owej „wolności" w Polsce nie było, to ani ona, ani pani Holland nie wygłaszałyby podobnych „apeli" w „PiS-owskiej" telewizji).

Chwilę później ozdobą gali stał się jazzman Mikołaj Trzaska, lat 55, który w trzech podejściach do mikrofonu i nie mogąc się nachwalić przemówienia Holland, dramatycznie eksponował dłonie z umalowanymi na ciemną wiśnię długimi paznokciami (dostał „polskiego" Orła w 2019 r. za muzykę do filmu „Kler" Smarzowskiego). Berlinale i Vinale odpadają – to Gdynia stała się awangardą postępu kulturowego (ponoć dyrektor artystyczny festiwalu, Tomasz Kolankiewicz, witał gości gali też z umalowanymi na czerwono paznokciami – jestem pewien, że to wymysł złych języków, nie wierzę, by Tomasz Kolankiewicz „poszedł tą drogą").

Polskie filmy fabularne polecane w moim tekście z 35. numeru „Do Rzeczy" jako dobre i godne nagród w połowie pokryły się z filmami nagrodzonymi przez jury festiwalu:

„Mosquito State" – Filipa Jana Rymszy – to ciekawy, nowatorski w sposobie narracji, świetnie zagrany film w całości mówiony po angielsku, dziejący się w Nowym Jorku w czasie wybuchu śmiertelnej epidemii, którą Rymsza przewidział. A więc mamy film mający wszelkie zalety polskiego kandydata do Oscara. Film otrzymał Złoty Pazur oraz nagrodę za dźwięk.

„Moje wspaniałe życie" – Łukasza Grzegorzka dostało nagrodę za reżyserię. Film mógł dostać Srebrne Lwy, ale jakoś trzeba było uhonorować faworyta „Gazety Wyborczej" – film „Żeby nie było śladów" (2 h 45 min) Jana Pawła Matuszyńskiego.

„POCAŁUNEK ŚMIERCI" PREMIERA MORAWIECKIEGO

Skoro Matuszyński nie dostał zagwarantowanych Złotych Lwów, to przynajmniej musiał otrzymać nagrodę pocieszenia w postaci Srebrnych. Najlepszym oceniającym jest publiczność – film jest już w dystrybucji kinowej i na 352 ekranach zgromadził jedynie (jak dotąd) 26 193 widzów (przy głośnej reklamie medialnej) co daje 74 widzów na seans. Ze środowisk Agory i PO wycieka jadowita szeptanka, że film dlatego pada, bo premier Mateusz Morawiecki publicznie, w PiS-owskiej TVP, gorąco pochwalił film – przekazując tym samym reżyserowi „pocałunek śmierci". Oczywiście gdyby premier film zganił, też byłby winien klapie. Zawód był widoczny na twarzy Matuszyńskiego, tym bardziej że Złote Lwy (Niebinarne) dostał film o wiosce bezprawia w reżyserii Łukasza Rondudy i Łukasza Gutta (autora świetnych zdjęć ratujących film), z utlenionym Dawidem Ogrodnikiem, który zaserwował nam widok swoich jędrnych BIAŁYCH pośladków w trakcie seksu. Ależ to krzycząca ksenofobia (!): „Ogrodnik! Ty, białasie!".

„Bo we mnie jest seks" – reż. Katarzyna Klimkiewicz – w pełni zasłużona nagroda za główną rolę kobiecą dla Marii Dębskiej. Na ekranie oglądamy doskonałą Kalinę Jędrusik.

„Inni ludzie" – reż. Aleksandra Terpińska – nagroda za odważną obyczajowo główną rolę dla Jacka Belera, który spina i ratuje adaptację tekstu Doroty Masłowskiej.

„Lokatorka" – reż. Michał Otłowski – nagroda za drugoplanową rolę dla Sławomiry Łozińskiej wcielającej się w postać brutalnie zamordowanej Jolanty Brzeskiej.

Jury festiwalu kierujące się poprawnością polityczną, modą i częściowo sterroryzowane przez „czerwone paznokcie" nie zauważyło **„Zupy nic"** Kingi Dębskiej, **„Śmierci Zygielbojma"** Ryszarda Brylskiego, **„Powrotu do Legolandu"** Konrada Aksinowicza oraz filmów mikrobudżetowych – **„Po miłości/ Pour l'amour"** Andrzeja Mańkowskiego i **„1:11"** Mirona Wojdyły. To właśnie „Zupa nic" powinna otrzymać Złote lwy, a Srebrne Lwy ex aequo „Lokatorka" Otłowskiego i „Śmierć Zygielbojma" Brylskiego.

Potraktujmy ten 46. Festiwal jako wypadek przy pracy. Wzmożenie neomarksizmu kulturowego, który odebrał zdrowy rozsadek komisji selekcyjnej i części jury. (Nie dopuszczono filmu „Polot" w reżyserii Michała Wnuka – jedynego obrazu mówiącego o fatalnej prywatyzacji majątku państwowego w latach 90.!), a nawet pominięto **„Mistrza"** w reżyserii Tadeusza Barczeskiego, film o legendarnym bokserze z Auschwitz – Tadeuszu Pietrzykowskim. I parę innych filmów.

AGROUNIA NA 46. FESTIWALU

O ile w ubiegłym roku na 45. Festiwalu nagrodę główną w konkursie filmów mikrobudżetowych – oraz trzy inne nagrody – otrzymał film pt. „Ostatni komers" Dawida Nickla, przedstawiający kameralny melodramat LGBT o trójkącie dresiarskim, o tyle film „Wszystkie nasze strachy" jest filmem stricte politycznym. Propaguje ideologię LGBT w stanie

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Kadr z filmu „Bo we mnie jest seks. Kalina Jędrusik" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Agata Buzek i Jacek Braciak w filmie „Moje wspaniałe życie" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Wszystkie nasze strachy" w reżyserii Łukasza Rondudy FOT. MATERIAŁY PRASOWE

czystym oraz eksponuje mocny wątek o Agrounii. Reżyser dr Łukasz Ronduda nagłaśnia wątek rzekomej epidemii samobójstw wśród młodych lesbijek i gejów. „Rocznik Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej 2020" i „Rocznik Demograficzny 2020" GUS przeczą temu. Dane z 2012 r. z lat rządów PO/PSL w porównaniu z danymi z 2018 r. mówią w twardych liczbach, że rocznie ponad 200 osób mniej popełnia skuteczne samobójstwo! Dane tyczące śmiertelnych ofiar wypadków drogowych i zawałów serca są jeszcze bardziej wymowne i mówią jasno, że lata rządów PiS wpłynęły na spadek liczby samobójstw, ofiar wypadków drogowych i zawałów serca, i to w znaczącym stopniu. Bajdurzenie o prawicowej opresji powodującej samobójstwa wśród młodych przedstawicieli LGBT ma w sobie tyle samo prawdy co nieuprawnione wywody o paleniu na stosie czarownic w Polsce w XVII i XVIII w. (z wyłączeniem Pomorza i Śląska, które aż do 1918 r. należały do Niemiec i Prus, ale nawet wówczas stosy były rzadkością). Zachęcam też kinematograficzną opcję LGBT do zapoznania się z oficjalnymi danymi statystycznymi z USA – i tak np. średnia życia czarnoskórych lesbijek z nizin społecznych wynosi ok. 26–28 lat (wpływają na to samobójstwa, morderstwa i przedawkowanie). W Polsce na szczęście nie mamy tego problemu. W 38-milionowym społeczeństwie są oczywiście przypadki samobójstw wśród LGBT, ale propagandowe agitki polityczne na ten temat to już wojna kulturowa, w dodatku finansowana z naszych społecznych pieniędzy.

Szokiem dla wyznawców idei Agnieszki Holland musiał być też film „Po miłości/Pour l'amour", gdyż przez pierwszą połowę wzbudza zachwyt „Europejczyków", a potem reżyser daje w pysk i poprawia z drugiej strony. Ksenofobia? Ludowy wiejski nacjonalizm? Lepiej omijać takie niejednoznaczne filmy z daleka. Samodzielne myślenie to wielki wysiłek.

Przyszłoroczna formuła 47. Festiwalu powinna być rozszerzona: Polska powinna zorganizować Festiwal Filmów Międzymorza albo Festiwal Krajów Bałtyckich lub Festiwal Filmów Krajów Wyszehradzkich. Koniec z tym żenującym prowincjonalizmem czerwonego dywanika przed Teatrem Muzycznym w Gdyni.

Publiczność festiwalowa powinna mieć możność obejrzenia na pokazach towarzyszących całej produkcji fabularnej – wszystkich ok. 50 filmów. Niech ludzie zobaczą, na co wydaje się ich ciężkie miliony.

Formuła Platynowych Lwów powinna być koniecznie powiększona o Platynowe Lwy przyznawane aktorkom i aktorom za zawodowy dorobek życia. Rado programowa festiwalu, śpiesz się, aktorzy tak szybko odchodzą!

I ostatni ważny postulat – 47. Festiwal powinien być rozszerzony o polskie filmy dokumentalne. Co roku powstaje wiele wybitnych dokumentów, których nikt nie ogląda. Festiwal w Krakowie to nie to samo co Gdynia, gdzie są „wszyscy" – i w sekcji dokumentalnej czy sekcji towarzyszącej festiwalowi powinniśmy móc zobaczyć i nagradzać filmy dokumentalne.

46. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni mamy za sobą. Neomarksistowski marsz po instytucjach trwa. „Kinematografia najważniejszą ze sztuk" – W.I. Lenin. Zobaczymy, co nam przyniesie 47. FPFF w 2022 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PGNiG

FILM **BRACI SYKÓW**

WYSZYŃSKI

ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE

MECENASEM FILMU JEST

POLSKIE GÓRNICTWO NAFTOWE I GAZOWNICTWO

Premiera 17 września 2021 r.

FOT. ERIC THAYER/REUTERS/FORUM

Jutro koniec świata

Piotr Gociek

Los pisarza, los żydowski, los wygnańca, los Europy Środkowej – rozmowy Philipa Rotha przynoszą potężny materiał do przemyśleń

Czy koniec świata jest bliski?" – pyta Philip Roth czeskiego pisarza Milana Kunderę. „To zależy, jak rozumieć słowo »bliski«" – domaga się większej precyzji Kundera. „Jutro albo pojutrze" – precyzuje Roth. Na co autor „Księgi śmiechu i zapomnienia" odpowiada, że przekonanie o nieuchronnym samounicestwieniu świata jest tak stare jak sam świat. Ale skoro przez wieki utrzymuje się w naszych umysłach takie przekonanie, to znaczy, że „coś jest na rzeczy". „W mym początku jest mój kres" – chciałoby się zacytować Eliota. Skoro wszystko istnieć zaczęło, to kiedyś istnieć przestanie.

Zaczynam od wymiany zdań między wybitnymi pisarzami, bo pokazuje ona doskonale, jak bardzo aktualną książką są „Mistrzowie" Philipa Rotha (Wydawnictwo Austeria 2021). Aktualną, w sensie wciąż ważną i dotykającą spraw ponadczasowych, a nie goniącą za polityczną bieżączką. W oryginale ukazała się w roku 2001, zbiera jednak teksty, które powstawały na przestrzeni kilku wcześniejszych dekad. I w niczym to dziś lekturze nie przeszkadza, choć punktem wyjścia musiała czasem być gorąca rzeczywistość za oknem. Jak wtedy, gdy z Ivanem Klímą rozmawiał Roth w chwili końca komunizmu w Czechosłowacji, a na początku prezydentury Havla. Albo gdy z Kunderą toczył dyskusję w latach 70., gdy zdawało się, że komunizm będzie trwał wiecznie, sam rozmówca zaś borykał się z oskarżeniami o ucieczkę od czeskości – że zamiast zmagać się w swej literaturze z komunistyczną opresją, pisze na emigracji powieści modnie nakierowane na oczekiwania zachodnich czytelników.

DWA ŚWIATY PISARZA

Oryginalny tytuł książki jest zwodniczy: „Shop Talk: A Writer and His Colleagues and Their Work". Sugeruje bowiem pozycję specjalistyczną dla zaawansowanych, rozważania adeptów sztuki wysokiej nad zastosowaniem średniówki albo konstrukcją „Ulissesa". (Zauważcie, jak bardzo do tego tytułu nie pasuje polski, nijaki: „Mistrzowie. Spotkania z twórcami"). Na szczęście szybko się okazuje, że warsztatem pisarza jest cały świat, a nawet dwa światy: widzialny i niewidzialny, więc i o wszystkim się tu dyskutuje.

Najbliżej typowych rozważań krytycznych znajduje się tekst zamykający książkę: niewielki esej „Czytając na nowo Saula Bellowa". „Obrazy Malamuda" to osobista impresja, pożegnanie ze zmarłym w 1986 r. pisarzem. „Obrazy Gustona" prowadzą czytelnika ku ilustracjom wykonanym przez malarza do niewielkiej powieści Rotha „Pierś". Tajniki konstrukcji powieści i sensu takich, a nie innych pisarskich wyborów omówione są w krótkiej korespondencji Philip Roth – Mary McCarthy; przedmiotem dyskusji jest powieść Rotha „Przeciwżycie". Wszystkie te teksty są erudycyjne, pięknie napisane i ucieszą

eprasa.pl 57b2f5d2e1

każdego poważnego czytelnika. Nie zmienia to faktu, że daniem głównym i najważniejszym są w „Mistrzach" rozmowy przeprowadzane przez Rotha dla „The New York Times Book Review". Oto lista nazwisk: Primo Levi, Aharon Appelfeld, Icchok Baszewis Singer, Edna O'Brien, wreszcie wspomniani już Ivan Klíma i Milan Kundera.

Ze sposobu prowadzenia rozmowy, z drążenia tych, a nie innych zagadnień zawsze dowiadujemy się wiele nie tylko o tym, który odpowiada, lecz także o tym, który pyta. Bez wątpienia są wywiady Philipa Rotha okazją do prześledzenia jego własnej listy traum i obsesji. W swoich powieściach mierzył się z problemem żydowskości w Ameryce, z wyobcowaniem i asymilacją, pisał o życiu w diasporze poddanej ciśnieniu nowoczesności – tymi tropami idzie więc w rozmowach z Levim, Appelfeldem i Singerem. Nie może zabraknąć doświadczenia Holokaustu, kluczowego dla Żydów w XX stuleciu. Stąd otwarcie tomu poruszającą rozmową z Primo Levim, ocalałym z Auschwitz, który swoje doświadczenia zamknął w wybitnych książkach („Czy to jest człowiek", „Pogrążeni i ocaleni").

Spotkanie z Aharonem Appelfeldem jest jednocześnie spotkaniem autora ze swym bohaterem. Roth nie wymyślił Appelfelda, ale uczynił go jedną z drugoplanowych postaci powieści „Operacja Shylock", nie wyobrażając sobie bez niego panoramy współczesnego Izraela (właściwie: ówczesnego Izraela, powieść Rotha oryginalnie ukazała się w 1993 r.). Appelfeld dużo mówi o paradoksach. O złudzeniu asymilujących się przed wojną Żydów, którzy „wznieśli wieżę z wartości humanistycznych i z góry spoglądali na świat", a potem wobec Zagłady okazali się „ślepymi lub wpółślepymi stworzeniami". Porzuciwszy żydostwo, uważali, że ratuje ich to przed żydowskim losem; gorzko się pomylili. Dobry punkt wyjścia – pomyślałem, czytając ten fragment – do zastanowienia się nad tym, czy przed polskim losem uciekną ci, którzy dziś tak ochoczo dziedzictwo polskości, przeszłość, dylematy i świadomość zagrożenia porzucają, wznosząc wieżę z wartości… hm, no właśnie, jakich? Europejskich? Wartości postnowoczesnych? Ale nic przecież nie wstrzymuje żaren historii, więc ucieczki nie ma.

Appelfeld zwraca uwagę na kolejne paradoksy – jak często (w jego przypadku tak było) naturalne w obcym kraju i społeczeństwie porzucenie języka jidysz prowadzi potem do jego odkrycia i admiracji; wreszcie o tym, jak dzieci ocalonych z Zagłady odnajdywały pociechę w powrocie do Boga – tego samego, któremu tak wielu wygrażało pięściami, że do tego wszystkiego dopuścił. To, co mówią o relacjach Żydzi – goje, prowadzi nas natomiast wprost do świata rozterek literackich bohaterów Rotha. Stereotyp goja jako prymitywa, którego należy się bać, a jednocześnie goja, któremu się zazdrości, bo jest silny, wyzwolony, większy, piękniejszy. Co skutkuje internalizacją antysemityzmu – mówi Appelfeld – czyli tym, że Żydzi sami w sobie szukają winy za swój los. Wracając do gojów – skoro goje, to i Polacy. Tu bardzo ciekawy okazuje się wywiad z noblistą Singerem, który ma olbrzymie pretensje do żydowskich pisarzy tworzących po polsku, uważając, że np. Bruno Schulz był pisarzem dobrym, ale gdyby tworzył w jidysz, byłby pisarzem lepszym. Rozmaitym innym prominentnym figurom przedwojennego życia kulturalnego II RP zarzuca Appelfeld, że się asymilowali tylko ze strachu. Idzie więc na czołowe zderzenie z przekonaniem o polskości i polskiej kulturze jako wielkim magnesie przyciągającym swym bogactwem i atrakcyjnością.

REFLEKSJA I POLITYKA

W rozmowach Rotha z pisarzami czeskimi (naonczas czechosłowackimi) widzę ważne spostrzeżenia dla rozważań nad Polską i Polakami, choć nie są podane wprost. „Postrzegam obecnie Europę jako kruchą, śmiertelną" – mówi Rothowi Kundera, a jest to wypowiedź z czasów, kiedy żelazna kurtyna dzieliła jeszcze kontynent. Rysując obraz Rosji jako największego zagrożenia, dodawał Kundera: „Koniec Europy Środkowej oznacza początek końca Europy jako takiej". Żelazna kurtyna zniknęła, Europa ocalała, ale po dekadach szybkiego rozwoju stoi dziś przecież na rozdrożu (o co żadnego pisarza z naszych okolic Roth już nie zapyta, bo zmarł w 2018 r.). Czy ciśnienie, któremu ze strony Zachodu poddawana jest dziś Europa Środkowa, może skończyć się jej końcem? Końcem jej unikatowości, odmienności, tradycji? Jeśli tak, to czy ogarnięty ideologicznym amokiem Zachód, chcąc doprowadzić do końca Europy Środkowej, prowadzi samobójczo do własnego końca? A jak sama Europa Środkowa może przyspieszać swój koniec? W najciekawszej rozmowie tomu, wywiadzie z Ivanem Klímą, wolność dopiero się zaczyna, jest luty 1990 r., a Klíma już jest pesymistą. Zdaje sobie sprawę, że zachłyśnięcie się publiki wielotysięcznymi nakładami książek dysydentów jest chwilowe, że za chwilę poezja przestanie znowu być ważna, że telewizja zamieni się w rury do pompowania głupoty. Nie chodzi mu o obronę systemu, który przecież zaciekle go prześladował, ma jednak już wtedy odwagę pytać, czy z dobrodziejstwami zachodniego stylu życia nie nadchodzą aby zagrożenia. Silna już wtedy jest świadomość skali zagrożeń ekologicznych, komuniści potwornie zdewastowali środowisko naturalne, a Klíma stwierdza prowokacyjnie: „Nie miałoby najmniejszego sensu oczyszczanie środowiska przy jednoczesnym zanieczyszczaniu własnej kultury".

★★★★★☆

PHILIP ROTH „MISTRZOWIE. SPOTKANIA Z TWÓRCAMI" WYDAWNICTWO AUSTERIA 2021

Sam Roth dostrzega zaś: „Europa, do której dołączacie, podlega procesom gwałtownej homogenizacji, jest Europą, w której bardzo różne narody podlegają gwałtownej przemianie". Cieszy się autor „Kompleksu Portnoya" z tego, że „Praga wciąż jest zasadniczo Pragą, a nie częścią globalnej wioski". A jednocześnie – nie wiem, czy kolejne zdanie to wyraz pretensji czy zdumienia – wskazuje na zjawiska, których politycy dochodzący do władzy po 1989 r. nie widzieli: „Żyjecie tu w zasadniczo rajskim świecie rasowej niewinności, z zerową świadomością wielkich postkolonialnych migracji – wasze społeczeństwo wydaje mi się zaskakująco białe". Wszystko się zmienia, tak, wiemy. Ale czy mieszkańcy innych rajów nie budowali ich jednak na własnych warunkach? Dziś refleksję i politykę zastąpiły ideologia i hasła. „Ludzie mogą głosić dowolne hasła, ale to tylko hasła, a nas definiuje to, co robimy i czujemy" – mówi Rothowi w najkrótszej rozmowie tomu Edna O'Brien.

No właśnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

We władzy utopii

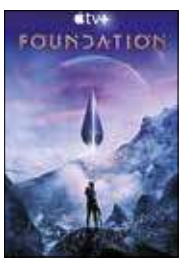

★★★☆☆☆

SEZON 1
„FUNDACJA" („FOUNDATION")
USA 2021

wyst. Jared Harris, Lee Pace, Lou Llobell

Głównym bohaterem cyklu „Fundacja" Isaaca Asmiova jest idea, a akcja książek rozciąga się na długie stulecia i tysiąclecia. Serię uznawano więc za niemożliwą do sfilmowania. Wyzwanie chciał początkowo podjąć Jonah Nolan, brat reżysera Christophera Nolana. Ostatecznie jednak stworzył dla HBO „Westworld", a „Fundacja" stała się projektem Apple TV+, za który odpowiada David S. Goyer (wzięty scenarzysta, napisał m.in. dla Nolana trylogię o Batmanie).

W odległej przyszłości matematyk Harri Seldon tworzy nową dziedzinę nauki – psychohistorię. Dzięki niej potrafi przewidzieć bieg wypadków – nadchodzi szybki kres Imperium Galaktycznego i wiele tysięcy lat mroków barbarzyństwa. Tenże Seldon ma pomysł, jak skrócić czas chaosu. Tworzy tytułową Fundację, której zadaniem jest opracowanie Encyklopedii Galaktycznej. Brzmi to wszystko wielce naiwnie i takie jest, bo seria Asimova okrutnie się zestarzała. Literatura to wątła, a główna metafora (Asimov wzorował się na Gibbonie i jego „Upadku cesarstwa rzymskiego") mało oryginalna. W dodatku wszystko pachnie tanim heglizmem i marksizmem: historia toczy się jednokierunkowo, można tylko korygować jej słuszny bieg.

Pierwszy odcinek serialu zachwyca warstwą wizualną, piękne są pejzaże dalekich planet, piękna jest stolica imperium Trantor (i winda orbitalna zwana gwiezdnym mostem). Ciekawym dodatkiem do oryginalnej fabuły jest rozmnożenie imperatorów (jednocześnie żyje ich troje: dziecko, mężczyzna dojrzały i starzec – wszystko dzięki klonowaniu). Potem, żeby dało się skonstruować w miarę normalną fabułę (powieść to sklejone nowele rozgrywające się w różnych stuleciach), scenarzyści inwestują w wątki obyczajowe. Żeby było nowocześnie i modnie, postacie męskie stały się żeńskie, a podczas dysput o dziedzictwie cywilizacji dostajemy pouczenia o wadze dokonań egzotycznych mniejszości. Ważna uwaga dla fanów – istotną rolę odgrywa w fabule pewien android, co oznacza, że serialowa „Fundacja" uwzględnia zmiany, które Asimov poczynił u kresu życia, łącząc uniwersum cyklu „Roboty" z uniwersum cyklu „Fundacja".

Wszystko to jednak jest zadziwiająco mało emocjonujące, choć często wygląda pięknie. Twórcy mówią o materiale na osiem sezonów. Ciekaw jestem, na ile cierpliwości wystarczy tym, którzy wykładają pieniądze. ©℗

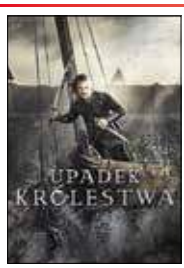

NOWE SERIALE: „UPADEK KRÓLESTWA"

Król Alfred nie żyje, tron objął jego syn Edward. Anglia daleka jest od zjednoczenia, Szkoci atakują granicę, wikingowie chcą podbić całą wyspę. Uthred Ragnarsson – dziecię dwóch światów, dwóch kultur – widzi w tym chaosie okazję, by odzyskać siedzibę rodu: Bebbanburg. Czwarty sezon „Upadku królestwa" pojawia się na Netflixie z ponad rocznym opóźnieniem w stosunku do zapowiedzi, ale warto było czekać. Serial oparty na bestsellerowych powieściach Bernarda Cornwella to najlepsza produkcja tego typu od czasu wczesnych sezonów „Wikingów". ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 4 „Upadek królestwa" („The Last Kingdom"), USA 2021, Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *reż. Baillie Walsh* ***„Być jak James Bond" („Being James Bond: The Daniel Craig Story"),*** *Wielka Brytania 2021*

• *reż. Antoine Fuqua* ***„Winni" („The Guilty"),*** *USA 2021*

• *sezon 3* ***„Szpital New Amsterdam"*** FOX

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Poprawiny

KINO

Wojciech Smarzowski wie, gdzie uderzyć, żeby zabolało. Tym razem jednak nie zdołał zapanować nad filmową materią. Pierwsze „Wesele" było paszkwilem na obyczajowość polskiej prowincji, w drugim reżyser wyznaczył sobie cel znacznie ambitniejszy: zamachnął się na mit o bezgrzesznym narodzie. To nie remake, choć punkt wyjścia jest identyczny. „Najpiękniejszy dzień życia" córki biznesmena spod Łomży zamienia się w koszmar, śniony na jawie. Płonąca stodoła z roku 1940 rzuca złowrogi blask na współczesnych. Smarzowski wchodzi w buty Wyspiańskiego: wśród weselników pojawiają się demony przeszłości, z Dmowskim i Piłsudskim na czele.

★★★☆☆☆

REŻ. WOJCIECH SMARZOWSKI
„WESELE"
POLSKA 2021

wyst. Robert Więckiewicz, Michalina Łabacz, Mateusz Więcławek

Gdyby twórca „Domu złego" oparł się pokusie dydaktyzmu tudzież mnożenia naciąganych paraleli do teraźniejszości, osiągnąłby lepszy efekt. Zbędne są szlagworty o „tęczowej zarazie" i „mordach zdradzieckich", ślubna rama momentami odstaje od obrazu, a dowcipy w stylu Patryka Vegi nie licują z powagą tematu. Film oburzy klerykałów, obrońców praw zwierząt, ideowych spadkobierców Pana Romana, tuszę również, że rozzłości Niemców i Żydów. O dziwo, na ekranie prym wiodą młodzi aktorzy. Kulesza, Jakubik i Chyra nie mają prawie nic do zagrania. „Wołyń" – tour de force Smarzowskiego – epatował okrucieństwem, nowe „Wesele" raczej melancholią. Czyżby przełom? ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRZAŁY AMORA

KINO

Niedyskretne historie są najciekawsze. Tak sądzą bohaterowie komediodramatu Emmanuela Moureta. Francuzi, w odróżnieniu od anglosaskich hipokrytów, uwielbiają i umieją opowiadać o złamanych sercach tudzież erotycznych wielokątach. Frywolny ton oraz szczerość graniczące z ekshibicjonizmem mile widziane. Daphné i Maxime, choć ich znajomość jest świeżej daty, nie mają skrupułów, by rozprawiać o swoich intymnych sekretach. W uroczych prowansalskich okolicznościach przyrody zastanawiają się, jak odróżnić miłość od pożądania. Wychodzi na to, że mężczyźni są tylko pionkami w tej odwiecznej grze. Kobiety, urodzone aktorki, robią z nimi, co chcą. A czego naprawdę chcą? Często same nie wiedzą. Zdezorientowani panowie tylko cierpią, tęsknią albo łudzą się, że to oni podejmują decyzje. Zupełnie jak w przebojach disco polo. Lepiej oglądać ten film z koleżanką lub kolegą niż z mężem czy żoną.

★★★★☆☆

REŻ. EMMANUEL MOURET
„DYSKRETNY UROK NIEBEZPIECZNYCH MYŚLI"
FRANCJA 2020

wyst. Camélia Jordana, Niels Schneider, Vincent Macaigne

BLOND BOND

HBO GO

Nie czas na szczerość. Taki tytuł idealnie pasowałby do wynurzeń Daniela Craiga – najlepszego z aktorów, którzy zbili majątek na wcielaniu się w brytyjskiego szpiega z licencją na zabijanie. Dokument jest elementem kampanii reklamowej 25. filmu o przygodach Bonda, występują w nim również właściciele franczyzy: Barbara Broccoli i jej przyszywany brat Michael G. Wilson. Craig, zamiast podsumować swoją 15-letnią kadencję, kokietuje („Myślałem, że sobie nie poradzę"), narzeka na internetowych hejterów oraz półgębkiem przyznaje, że sława trochę przewróciła mu w głowie. Można by pomyśleć, że jedynie kontuzje czy strajk scenarzystów sprawiły, iż cykl nie osiągnął doskonałości. Powód ambiwalentnych odczuć wydaje się prosty: rola agenta 007 uczyniła zeń gwiazdora, lecz pozbawiła prawdziwych aktorskich wyzwań. „Casino Royal" było nadzieją, która w dużej mierze pozostała niespełniona. Szkoda. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

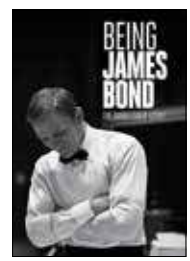

★★★★★☆

REŻ. BAILLIE WALSH
„BYĆ JAK JAMES BOND" („BEING JAMES BOND")
USA/WIELKA BRYTANIA 2020

GRA TYGODNIA: „FIFA 22"

★★★★★☆

Można mówić, że to tylko maszynka do zarabiania pieniędzy, można twierdzić, że różnice między odsłonami są zbyt małe. No można, ale to nie zmienia jednego – że „FIFA" to najlepsza piłka na PC i konsole, co dobitnie widać zwłaszcza na tle najnowszej odsłony jedynego w zasadzie jej konkurenta. Co się tym razem zmienia? Jest trochę wolniej, mniej zręcznościowo, większe znaczenie od czarowania lewym analogiem zdaje się mieć umiejętne rozgrywanie piłki. Jest też Tomasz Smokowski w roli głównego polskiego komentatora. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że zatęsknię za polskim komentarzem w „FIFIE"... Dariuszu Szpakowski, Ty jesteś jak zdrowie... ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Sportowa*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *EA Sports, Electronic Arts*

eprasa.pl 57b2f5d2e1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Tyle im zostało

Wyjątkowy temat podjęła Agnieszka Cubała w swojej najnowszej (bodaj ósmej) książce poświęconej powstaniu warszawskiemu. Drażliwy, bo choć sławną piosenkę „Warszawskie dzieci" do słów Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego z muzyką Andrzeja Panufnika zna każdy Polak i przynajmniej 1 sierpnia, w powstańczą rocznicę, wzrusza się na pierwszy jej dźwięk, to już udział dzieci i tzw. młodszej młodzieży w walkach oceniany jest różnie, a np. stołeczny pomnik Małego Powstańca ma swoich zdeklarowanych przeciwników.

W „Warszawskich dzieciach '44" Agnieszka Cubała przytacza znamienne słowa Roberta Kobryńskiego: „Intuicyjnie większość Polaków wyczuwa sympatię, współczucie i podziw wobec Małego Powstańca […]. Z drugiej jednak strony zdjęcie czarnoskórego nastolatka z AK-47 w ręku, stanowiące jedną z ponurych ikon XX-wiecznej Afryki, napawa strachem, dowodzi barbarzyństwa mieszkańców dżungli na południe od Sahary. Te dwa stereotypowe wizerunki – powstańca warszawskiego z butelką benzyny i dziecka afrykańskiego z kałasznikowem – to dwa przedstawienia dzieci-żołnierzy, biorących udział (dobrowolnie lub pod przymusem) w wojnach toczonych przez dorosłych. Ocena zaangażowania dzieci w konflikty zbrojne nie jest zatem jednoznaczna, wynika zarówno z sytuacji historycznej, uwarunkowań społeczno-kulturowych, jak i z polityki historycznej".

A zatem bohaterstwo czy barbarzyństwo? – stawia pytanie autorka „Warszawskich dzieci '44". Brakuje mi tu jednak kropki nad i, mianowicie ścisłego określenia, o czyje barbarzyństwo chodzi. Bo to nie dowództwo Armii Krajowej wysyłało dzieci na śmierć! I nie powstańcy zburzyli Warszawę, jak to sugerowali komunistyczni propagandyści,

FOT. AGNIESZKA CUBAŁA/FACEBOOK

ale Niemcy i to już po upadku powstania oraz wypędzeniu ludności miasta. Dlaczego? Naprawdę na wchodzenie w meandry myślenia zbrodniarzy nie mam ochoty.

Słusznie natomiast, że już na początku książki autorka przypomina, że tekstu słynnej pieśni powstańczej nie należy traktować dosłownie, lecz metaforycznie, gdyż Dobrowolski „identyfikował jej bohaterów przede wszystkim z walczącymi młodymi żołnierzami – nastoletnią młodzieżą".

Ale byli i młodsi. I jedni, i drudzy znajdowali się w powstaniu w sytuacjach ekstremalnych, trudnych nawet do wyobrażenia. Elżbieta Lesiak miała 14 lat, gdy 1 sierpnia wyszła na róg ulic Puławskiej i Dworkowej. Niemieccy żandarmi wygonili ją z bramy, gdzie szukała schronienia, i poprowadzili wraz z innymi osobami w stronę ogródków działkowych. Tam też dokonali egzekucji. Dziewczynkę przykryły ciała rozstrzelanych, dzięki czemu przeżyła. Dziś w tym miejscu, w parku Morskie Oko, znajduje się tablica z napisem: „Tu w czasie Powstania Warszawskiego w dniach od 1 VIII do 5 X 1944 r. męczeńską śmiercią poległy setki niewinnych ofiar. Wieczna Im Cześć i Chwała. Mieszkańcy Mokotowa".

Elżbieta Lesiak opowiadała po latach: „Leżąc pod tą kupą ludzi, widziałam taką scenę, że małe dziecko szukało matki, biegło drogą i wołało: »Mama! Mama!«. Podszedł Niemiec i strzelił mu w główkę. To obraz, którego nigdy w życiu nie zapomnę. To dziecko zalało się krwią i padło. Po prostu to było straszne, ale fotoreportera przy tym nie było, w związku z tym jest tabliczka, która w zasadzie nic nie oddaje, to znaczy oddaje, ale (tak) niewiele".

Jednego z tych niedorosłych żołnierzy, którzy w pierwszych dniach powstania trafili do batalionu „Zaremba-Piorun", gdzie zostali gońcami, nazwano Torba, od chlebaka noszonego stale na ramieniu. „Jednego wieczora – czytamy we wspomnieniach – kiedy siedzieliśmy koło centralki, ktoś spytał się Torby: »Co ty masz w tej torbie, że się z nią nie rozstajesz?«. Odpowiedział: »Wszystko«. »Jak to: wszystko?«. »Wszystko, co mi pozostało – ojca fotografia, co zginął na wojnie, mamy różaniec, co zginęła pod gruzami, i lalkę siostrzyczki, co zginęła razem z nią. To wszystko, co mi na świecie zostało«. Uśmiechnął się i dodał: »No i wy«. W schronie zrobiło się bardzo cicho".

W książce Cubały wśród autorów wielu wspomnień znajdziemy postaci znane z naszego życia kulturalnego i artystycznego, takie jak m.in. Beata Tyszkiewicz i Jan Kobuszewski, Krzysztof Zanussi i Jacek Fedorowicz, Krystyna Zachwatowicz i Jarosław Abramow-Newerly.

Przywołują oni bardzo ciekawe, nieznane szerzej fakty. Osobiście zainteresowałem się wydawanym w powstaniu pisemkiem dla dzieci „Jawnutka" (późniejszym „Dzienniku Dziecięcym") redagowanym przez Marię Kownacką, autorkę „Plastusiowego pamiętnika". O „Jawnutce" słyszałem wcześniej, ale że ilustrowała je m.in. 13-letnia wtedy Ania Trojanowska, później Trojanowska-Kaczmarska, malarka, matka Jacka Kaczmarskiego, dowiedziałem się dopiero teraz, choć Jacka znałem i wiele mi o swojej matce opowiedział, tyle że raczej jako o dziecku Holokaustu. A tu, proszę, mamy jeszcze jedną postać powstania warszawskiego. Chce się powiedzieć: my wszyscy z niego. ©℗

★★★★☆

AGNIESZKA CUBAŁA „WARSZAWSKIE DZIECI '44. PRAWDZIWE HISTORIE DZIECI W POWSTAŃCZEJ WARSZAWIE"
PRÓSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ulisses, czyli świat

Chociaż każdy mówi, że czytał, to nikt nie czytał. Jeśli czytał, to nie zrozumiał. Jeśli zrozumiał, to nie wie, jak się tym doświadczeniem podzielić. Tak sobie kiedyś na własny użytek sformułowałem „Trzy prawa dotyczące »Ulissesa«". Pamiętam, kiedy był to biały kruk tropiony na PRL-owskich bazarach, gdzie kosztował krocie. Teraz najsłynniejsza powieść Jamesa Joyce'a doczekała się wydania w nowym przekładzie, a ja znów staję wobec niej bezradny, jakby ktoś mi kazał opisać morze. No bo morze, widzicie, to morze.

Autorem tłumaczenia jest Maciej Świerkocki, dla którego arcydzieło Joyce'a stało się życiową obsesją – każdy pisarz mógłby tylko marzyć o tak życzliwym i pracowitym ambasadorze. Wierzę też, że przyjdzie i pora na „Finneganów tren" wedle Świerkockiego (na razie mamy wersję Krzysztofa Bartnickiego). Na razie smakujmy nowego „Ulissesa", zwłaszcza że równolegle z książką ukazuje się subiektywny przewodnik po słynnej powieści – „Łódź Ulissesa" – która jest zarówno pomocą w lekturze i odszyfrowywaniu znaczeń, jak i zapisem wyzwań, przed którymi stanął tłumacz.

Niewiele pamiętam z pierwszej lektury „Ulissesa" poza tym, że było to pożeranie z początku łapczywe (jak zawsze, gdy ma się lat mniej niż 20), a potem ta łapczywość z biegiem czasu grzęzła w rozlewnej frazie Joyce'a. Po latach czytam tę powieść całkiem inaczej, bo dla mnie, jako człowieka piszącego, jest świętem literatury, niezwykłym pokazem rozciągnięcia jej możliwości do granic. Nie chce mi się donikąd dopływać w tej podróży, wystarcza mi sam akt podróżowania, bo navigare necesse est. Co oczywiście jest bezczelną półprawdą, bo z drugiej strony fascynuje mnie niezmiernie fakt, że nad tym pozornym bezładem Joyce panuje po mistrzowsku. „Wszystko jest zaprogramowane, zarówno całość, jak i epizody, a nic w nim nie ujawnia wewnętrznego rygoru" – podziwiał Raymond Queneau. A zarazem w książce „mieszają się ustawicznie ze sobą rzeczywistość, osobowość, wewnętrzne ja, podświadomość, świat zewnętrzny i symbole. To był »sens« powieści; jej technika wniosła wyzwalającą siłę, stworzyła ferment. Dzięki niej Joyce w »Ulissesie« podszedł do człowieka bliżej niż Proust" – pisał o książce Sándor Márai. A i tak nikt nie napisał o niej wszystkiego. Więc zamiast pisać, będę sobie czytać. ©℗

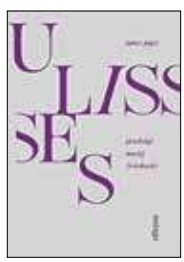

★★★★★★
JAMES JOYCE
„ULISSES"
OFFICYNA 2021

★★★★★☆
MACIEJ ŚWIERKOCKI
„ŁÓDŹ ULISSESA"
OFFICYNA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jak będzie wyglądał w przyszłości świat? – zastanawia się Tim Marshall, autor bestsellerowych „Więźniów geografii". Jego nowe rozważania są logicznym następstwem poprzednich: to geografia dyktuje mapę punktów zapalnych.

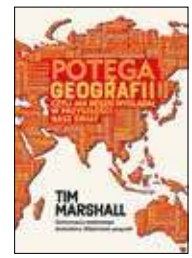

TIM MARSHALL
„POTĘGA GEOGRAFII"
ZYSK I S-KA

Autorka biografii bł. Stefana Wyszyńskiego tym razem w krótszej formie o postaci Prymasa Tysiąclecia i jego dokonaniach. W książce znalazła się też rozmowa z o. Zdzisławem Kijasem, relatorem w procesie beatyfikacyjnym.

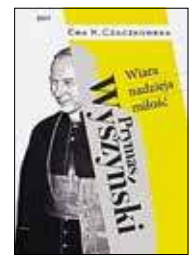

EWA K. CZACZKOWSKA
„PRYMAS WYSZYŃSKI. WIARA, NADZIEJA, MIŁOŚĆ"
ZNAK

Autor „Vaterlandu" i „Enigmy" wraca do swej fascynacji dziejami drugiej wojny światowej. Za temat bierze rozgrywkę wokół niemieckich rakiet V2 i snuje równolegle wątek niemieckiego inżyniera oraz brytyjskiej analityk wywiadu.

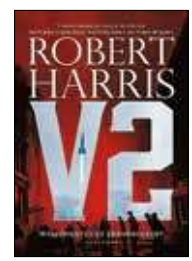

ROBERT HARRIS
„V2"
ALBATROS

Zachwycająca oprawą graficzną i drobiazgowym researchem albumowa publikacja. Korzenie projektu, historia wszystkich zmian, szkice, fotosy, relacje twórców, listy i wspomnienia. Wzorcowe książkowe „Making of...".

recenzuje Piotr Gociek

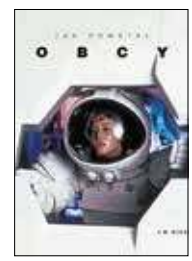

JONATHAN W. RINZLER
„JAK POWSTAWAŁ »OBCY«"
VESPER

KOMIKS TYGODNIA:
„WITEK SPRYTEK"

Zanim Papcio Chmiel zdobył sławę jako twórca serii o przygodach Tytusa, Romka i A'Tomka, zdążył stworzyć sporo historyjek komiksowych dla „Świata Przygód". Także później zdarzały mu się flirty z innymi bohaterami (choćby cykl „Roz i Bitek" znany dotąd jedynie z odcinkowej wersji drukowanej w „Świecie Młodych"). Tom przygotowany przez wydawnictwo Ongrys zbiera wszystkie nie-Tytusowe opowieści Chmielewskiego, wielkiego mistrza polskiego komiksu, którego niestety nie ma już z nami. Zmarł w styczniu tego roku. ©℗

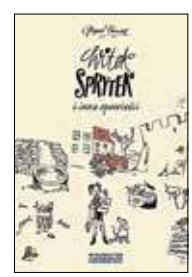

HENRYK JERZY CHMIELEWSKI
„WITEK SPRYTEK I INNE OPOWIEŚCI"
ONGRYS 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. SYLWESTER PALMAKA

Pierwsza trasa

Narodowa Orkiestra Dęta powstała w Lublinie z inicjatywy władz miasta w 2019 r., do czego przyczynkiem była 200. rocznica urodzin Stanisława Moniuszki. Uświetniać miała najważniejsze wydarzenia w mieście. Jak piszą o sobie, jest to „pierwsza w Polsce dęta filharmonia, orkiestra symfoniczna z repertuarem muzyki klasycznej, filmowej, rozrywkowej i popowej wykonywanej w aranżacjach na instrumenty dęte. To absolutna nowość wśród orkiestr w Polsce!".

Właśnie wyruszyła w swoją pierwszą symfoniczną trasę. Wystąpiła już w rodzinnym Lublinie, Łodzi, Gdańsku i we Wrocławiu, na trasie ma jeszcze Szczecin, Lublin, Rzeszów oraz Kraków. A w repertuarze bardzo dobrze znane, ale też niemal zapomniane dzieła muzyki klasycznej w aranżacji na instrumenty dęte, w wykonaniu niemal 70 muzyków pod batutą Mariusza Dziubka. To doświadczony muzyk, absolwent Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, Akademii Muzycznej we Wrocławiu i w Bydgoszczy, doktor sztuk muzycznych w dyscyplinie dyrygentura. Dziubek ma na koncie aranżacje ponad 150 utworów na big-band i orkiestrę dętą, z gatunku classic, jazz, pop music.

Wśród repertuaru, z którym Narodowa Orkiestra Dęta ruszyła w trasę, jest „Uwertura pittsburska" na orkiestrę dętą, fisharmonię, fortepian i perkusję, nieznana w Polsce kompozycja Krzysztofa Pendereckiego, jak dotąd wykonana w naszym kraju tylko raz, 45 lat po światowej premierze. „To jest paradoks, że utwór światowej sławy polskiego kompozytora jest w naszym kraju nieznany – mówi Mariusz Dziubek. – Nadszedł czas, aby – 54 lata po światowej premierze i dziewięć lat po polskiej – to w pełni sonorystyczne dzieło zaprezentować melomanom i na stałe włączyć do repertuaru Narodowej Orkiestry Dętej, a tym samym poszerzyć kanon najcenniejszych pozycji polskiej literatury muzycznej". ©℗

Radosław Wojtas

NA SŁUCH

Czar prawdziwych wzruszeń

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY „BUENAVISTA SOCIAL CLUB" WORLD CIRCUIT

Ćwierć wieku temu zaczęła się jedna z najwspanialszych przygód w historii muzyki popularnej. Z okazji jubileuszu ukazała się specjalna edycja albumu „Buenavista Social Club" poszerzona o 11 niepublikowanych dotąd nagrań oraz wzbogacona o 40-stronicową książkę.

W marcu 1996 r. Ry Cooder, amerykański wykonawca i wybitny kompozytor muzyki filmowej, wylądował w Hawanie, by uczestniczyć w sesji nagraniowej muzyków z Afryki Zachodniej i Kubańczyków. Afrykanie nie dolecieli, więc zaproszono weteranów przedrewolucyjnej sceny muzycznej: Orlando „Cachaito" Lopeza – 63 lata, Ibrahima Ferrerę – 69 lat, Rubena Gonzaleza – 77 lat, Compay'a Segundo – 88 lat – i wspaniałą Omarę Portuondo – 65 lat. W studiu EGREM zarejestrowano przeboje, które w latach 40. i 50. umilały pobyt na wyspie „amerykańskim gangsterom". Płyta ukazała się we wrześniu 1997 r., w marcu następnego roku dotarła na amerykańską listę przebojów, następnie zdobyła nagrodę Grammy, a dwa lata po premierze pojawił się filmowy dokument Wima Wendersa. Do dziś album rozszedł się w nakładzie 8 mln egzemplarzy.

Nie napisałem nic o muzyce utrzymanej w stylistykach son, criolla, guajira, danzon, tumbao oraz bolero, ponieważ zawarte w piosenkach emocje, wspaniałe rytmy i melodie oraz kunszt kubańskich gwiazd należy odkryć samemu. ©℗

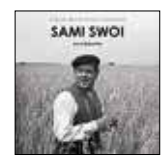

★★★★☆☆
WOJCIECH KILAR „SAMI SWOI" GAD

Po raz pierwszy dostajemy na płycie muzykę z pierwszej części trylogii o Kargulu i Pawlaku (1967). Minimalistyczne nagrania oparte na współbrzmieniu kilku instrumentów oscylują wokół tematu przewodniego i miłosnego. Dodatkowo ścieżka z filmu „Czerwone i złote" (1969).

★★★★☆☆
ORKIESTRA TANECZNA PR „WIECZOREM PO MARSZAŁKOWSKIEJ" GAD

Nostalgiczna muzyczna podróż z 1967 r. wraz ze swingującym big-bandem Polskiego Radia, którego nagrania ilustrowały felietony „Polskiej Kroniki Filmowej". Ten wysmakowany dancing w iście hollywoodzkim stylu idealnie sprawdzi się podczas jesiennych retropotańcówek. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. PAWEŁ FABJAŃSKI

Las jest ważny dla każdego z nas

Nie wyobrażamy sobie życia bez lasu – drzew, zwierząt, wspólnych wyjazdów na grzyby czy jagody. Las otacza nas jednak nie tylko w czasie wypraw za miasto, lecz także jest obecny w naszych domach. Jak to możliwe? W naszym otoczeniu jest przecież wiele przedmiotów wykonanych z drewna

Już od najmłodszych lat korzystamy z produktów pochodzących z lasu. To na papierze dzieci rysują portrety rodziców i uczą się stawiać pierwsze litery. Na kartkach są wydrukowane fantastyczne powieści, które czytamy dzieciom. Na drewnianych podłogach maluchy stawiają pierwsze kroki i wznoszą budowle z drewnianych klocków. Lubią chować się w szafie, która kiedyś była sosną czy dębem, a w czasie rodzinnych uroczystości siadamy przy drewnianym stole. Jednak aby przedmioty te trafiły do naszych domów, muszą najpierw zostać wyprodukowane. Las to także miejsce pracy wielu osób. Łącznie firmy związane z sektorem leśno-drzewnym dają utrzymanie ok. 460 tys. ludzi, a roczna wartość tej gałęzi gospodarki przekracza 160 mld zł.

Wiele osób pracuje w zakładach usług leśnych – firmach, które zajmują się sadzeniem drzew, pielęgnacją lasu i pozyskiwaniem drewna. Najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne prace wykonują coraz częściej z użyciem nowoczesnych maszyn. Las nadal wymaga tradycyjnej pracy rąk. W sumie na obszarze równym jednej trzeciej powierzchni Polski bezpośrednio w lesie pracuje ok. 100 tys. osób.

Leśno-drzewne gałęzie gospodarki stanowią ok. 2,3 proc. polskiego PKB. A to już niebagatelne liczby. Las jest więc dla sporej części polskiej gospodarki kołem zamachowym, wprawiającym w ruch wiele następnych trybów i trybików. Polskie meblarstwo ma wiodącą pozycję na europejskich i światowych rynkach. Gospodarcze tętno lasu daje napęd także przemysłowi celulozowemu, fabrykom płyt czy dużym tartakom. Od lasu zaczyna się też sukces tysięcy rodzinnych firm: warsztatów stolarskich, zespołów cieśli wznoszących drewniane konstrukcje, lutników czy producentów zabawek.

Mimo że cały czas korzystamy z lasu i jego produktów, to nie grozi ani nam, ani naszym dzieciom, że w przyszłości zabraknie drewna. Obecnie w Polsce nie pozyskuje się więcej drewna, niż las jest w stanie odtworzyć. To kwintesencja zrównoważonego użytkowania zielonych zasobów Polski. Wszystkie informacje o każdym fragmencie lasu są zapisane w planie urządzenia lasu, sporządzanym raz na 10 lat.

Zanim powstanie plan, las jest dokładnie opisywany i dzielony na jednorodne fragmenty, dzięki czemu można dobrać metody działania najbardziej odpowiednie do wieku drzew, ich gatunków i siedlisk, na których rosną. Drzewa w lesie są mierzone, dzięki czemu wiadomo, jaką ilość drewna można pozyskać w konkretnym miejscu. Wszystko po to, by jednocześnie zapewnić gospodarce surowiec i nie naruszyć panującej w lesie równowagi i trwałości.

Plan jest więc podporządkowany dobru lasu, dlatego w polskich warunkach pozyskiwania drewna nie sposób nazwać komercyjnym. Gdyby takie było, w okresach koniunktury by rosło, a hamowało wraz z recesją. Tymczasem jest ono stabilne, co gwarantuje zachowanie trwałości lasu i przewidywalne ramy działania dla firm drzewnych, a także służy przyrodzie. Plan powstaje przy współudziale społeczeństwa – podczas konsultacji każdy może zgłosić do niego uwagi.

DLA LASU, DLA LUDZI

„Dla Lasu, Dla Ludzi" to kampania edukacyjna Lasów Państwowych, która ma pokazać, jak leśnicy w swojej pracy łączą dbanie o trwałość lasu jako niezwykle złożonego ekosystemu, z oczekiwaniami ludzi oraz potrzebami przemysłu drzewnego i rozwoju gospodarczego kraju. Razem z ambasadorami kampanii: Mają Włoszczowską, mistrzynią kolarstwa górskiego, dr. Andrzejem Kruszewiczem, przyrodnikiem i dyrektorem warszawskiego zoo, oraz Sebastianem Karpielem-Bułecką, muzykiem i architektem, przygotowano cykle filmów, podcasty oraz konkurs fotograficzny, które pozwolą lepiej poznać zależności rządzące lasami, a dla dzieci gry i audiobajkę, które połączą dobrą zabawę z edukacją.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 57b2f5d2e1

„Wstyd”

FOT. MAGDA HUECKEL

Grzegorz Kondrasiuk

O tym „Wstydzie” w Teatrze Współczesnym sporo się w teatralnej Polsce mówiło i pisało. Spektakl, według dramatu Marka Modzelewskiego i w reżyserii Wojciecha Malajkata, miał premierę przed pandemią i zdobył (oraz utrzymał) sporą popularność. Mniejsza sprawa, że wśród krytyków. Większa – że „Wstyd” „się sprzedaje”. Jak wiadomo, te dwie sprawy w teatrze pogodzić najtrudniej

Odpowiedzialni za to są najwyraźniej aktorzy, bo jest to tzw. aktorski spektakl, gdzie przychodzi się „na aktorów”, zobaczyć na żywo Izę Kunę, Agnieszkę Suchorę, Jacka Braciaka i Mariusza Jakusa, odnowić kontakt, sprawdzić, w jakiej są aktualnie formie, spotkać się ze znajomymi, pójść na kolację… Wszystko zatem wydaje się jasne i proste, przypomina się oklepane hasło „teatr środka”, czyli taki sobie teatr, metoda kulturalnej rozrywki ludzi kulturalnych. Nie ma w nim przecież nic nagannego, nie zamierzam teatru środka lekceważyć, przecież i tak jest lepszy od eksperymentalnej hochsztaplerki, bo przynajmniej jest po coś i dla kogoś. Więc, owszem, taki mainstreamowy ten „Wstyd” jest, ale nie tylko – i całe szczęście. Owszem, są gwiazdy i jest komediowo, ale do czasu, bo gwiazdy umieją i lubią grać, a nie tylko się pokazywać, a komedia ujawnia drugie, ironiczne dno.

Warunki wyjściowe są tutaj dość proste, sytuacja jakby z „życia wzięta”, trochę tylko podkolorowana, nieco bardziej groteskowa, niż bywa zazwyczaj. Zaplecze restauracji, ślub, który nie doszedł do skutku, nieudane przyjęcie weselne – i konfrontacja dwóch par, czyli niedoszłych teściów. Dobrze skrojony dramat Modzelewskiego do samego końca trzyma w napięciu i angażuje uwagę, bo wraz z rozwojem akcji próbujemy zrozumieć, co się tu właściwie stało, dlaczego młodym ludziom nagle posypało się życie i kto za to jest odpowiedzialny. Odpowiedź nie będzie zbyt łatwa i zbyt oczywista.

Nie chcę zepsuć potencjalnym widzom całej frajdy, ujawniając mroczne rodzinne tajemnice i zdradzając zakończenie, więc może tylko zauważę, że rzadko w dzisiejszym teatrze spotyka się tak uczciwy, unikający taniego moralizatorstwa przekaz. Artyści, którzy – nie wiadomo na jakiej zasadzie – przyznali sobie prawo do moralizowania i do stawiania diagnozy społecznej, najczęściej zapominają o jednej, podstawowej sprawie. Jeśli chcą być wiarygodni, a ich teatr ma być tym lustrem, lusterecz-kiem, w którym my, widzowie, mamy się przejrzeć, to nie mogą arbitralnie i zgodnie ze swoimi poglądami stosować taryfy ulgowej.

Dobry teatr socjologiczny nie może dociekliwie traktować jednych, tych „złych”, z którymi się nie zgadzamy, a na wady tych „dobrych” patrzeć przez palce i z pobłażaniem. I to jest właśnie drugi, obok aktorstwa, atut „Wstydu” – wszystkim dostaje się tutaj po równo, bo przecież wszyscy gramy, często dość głupio i z fatalnymi skutkami, swoje role w tej komedii ludzkiej zwanej życiem społecznym. Role egoistów, hipokrytów, wygodnickich, cynicznych – ludzi dojrzałych. Jeśli młodzi chcą wejść na nasz poziom, grać w nasze gry, to muszą to chwytać. Na tym polega dojrzałość społeczna, niezależnie od poglądów.

Modzelewski o tym właśnie napisał swoją sztukę, a aktorzy właśnie to zagrali. Są wyraziści, skazani na napędzający akcję konflikt, bo pomysłowo skontrastowani, przepraszam za wyrażenie, klasowo: z jednej strony dobrze sytuowany biznesmen z panią ordynator, z drugiej – wielkomiejska „klasa ludowa”, czyli tzw. elektorat większościowy. Jest więc materiał do aktorskich szarż, choć grożący popadaniem w łatwizny, w tani realizm rodem z telenoweli. Jednak obsada „Wstydu” – co jest wielkim atutem tego spektaklu – umiejętnie balansuje na krawędzi oczywistości. Grają jak w dobrym kwartecie, zespołowo, i wszystko się tu zgadza, momenty jaskrawe i satyryczne przeplatają się z wyciszeniami, jest przestrzeń i na to, żeby się pośmiać (tak jakby z samych siebie, cytując klasyka), i na to, by pomyśleć.

Dlatego nie rozumiem, jak to się stało, że Jacek Braciak za rolę we „Wstydzie” otrzymał swego czasu dużą branżową nagrodę. Nie to, żebym Jacka Braciaka nie doceniał albo miał coś przeciwko jego kreacji. Po prostu myślę, że nagroda ta należała się, po jednej czwartej, każdemu artyście z obsady spektaklu. Nie wiem też, o co chodzi z tym okrzykiwaniem przez krytykę „Wstydu” wydarzeniem sezonu albo przeciwnie – demaskowaniem, że jest on jakoby przereklamowany. A jest to po prostu, tylko tyle i aż tyle, bardzo dobry teatr. Jeśli stał się wydarzeniem, to fatalnie to świadczy o jakości polskiego teatru. A przecież taka powinna być codzienność teatru, a nie jego dzień świąteczny.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

TEATR WSPÓŁCZESNY W WARSZAWIE
MAREK MODZELEWSKI, „WSTYD”
REŻYSERIA: WOJCIECH MALAJKAT
PREMIERA: WRZESIEŃ 2019 R.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

40. LECIE

STANU WOJENNEGO W POLSCE OPISANE TWÓRCZOŚCIĄ PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI PROJEKTU

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. ADOBE STOCK

Poligon miękkiego totalitaryzmu

Łukasz Warzecha

Mieszkańcy metropolii Melbourne – drugiego co do wielkości po Sydney, pięciomilionowego miasta Australii, położonego w stanie Wiktoria – mają za sobą w sumie ok. 250 dni lockdownów. Pod tym względem Melbourne wygrywa zdecydowanie w skali globu. Są też właśnie w środku lockdownu numer sześć. Tymczasem poza obszarem metropolii wprowadzono już lockdown numer siedem

Pamiętają Państwo polski lockdown z zimy przełomu lat 2020 i 2021? Teoretycznie nie można było wówczas korzystać z hoteli czy pensjonatów. Spędziłem wtedy przyjemne kilka dni w Zakopanem „u cioci", przez cały czas myśląc ciepło o panu ministrze Adamie Niedzielskim i jego pomysłach. Jak zresztą wielu Polaków, którzy dość mieli covidowego zamordyzmu, niedającego im normalnie żyć i odpoczywać. Turystów było, owszem, znacznie mniej niż zwykle, ale byli. Policja potrafiła przypomnieć przez głośnik na radiowozie (nawet nieoznakowanym – miałem taki przypadek), żeby założyć coś na twarz, ale to wszystko.

W przypadku australijskich lockdownów wygląda to całkiem inaczej – nie ma zmiłuj. Policja zachowuje się momentami skrajnie brutalnie, a jej reakcje zaczynają przypominać bez żadnej przesady akcje rosyjskiego czy białoruskiego OMON. W sieci można znaleźć wiele filmów – mowa o tych, gdzie nie ma wątpliwości co do miejsca i czasu nakręcenia oraz okoliczności – na których widać, jak niestwarzające żadnego zagrożenia, pojedyncze osoby bez maseczki (na dworze!) są otaczane przez grupę kilku, nawet kilkunastu funkcjonariuszy, bite pałkami, rzucane brutalnie na ziemię, kopane po głowie. Jeszcze na początku sierpnia australijska armia (ADF) wysłała do Melbourne tysiąc żołnierzy, którzy mieli pomagać policji w egzekwowaniu zakazów i nakazów. W sieci pojawiły się później zdjęcia najprawdopodobniej właśnie wojskowych, poruszających się nieoznakowanymi samochodami, zachowujących się ze skrajną brutalnością wobec protestujących – nawet jeśli ci byli w pojedynkę.

Obecnie w Melbourne „poluzowano" restrykcje. Można na przykład oddalić się od domu na 15 km, a nie jak wcześniej – na 10 km. Od godz. 21 do 5 rano obowiązuje jednak godzina policyjna, z której można być zwolnionym jedynie z wyraźnie określonych powodów, takich jak opieka nad dzieckiem lub starszą osobą albo – co skrupulatnie wymienia rządowa strona – w celu ucieczki przed niebezpieczeństwem. Jeśli zatem nasz dom nawiedzi włamywacz, to mamy prawo z niego uciec mimo godziny policyjnej. Dobre i to.

Żeby nie było za różowo, między godz. 5 rano a 21 domu w zasadzie też opuszczać nie można – poza sześcioma powodami: jedne zakupy w ciągu dnia dokonywane przez jedną osobę z gospodarstwa domowego, zajmowanie się osobą potrzebującą, wyjście do pracy ze specjalnym pozwoleniem, ćwiczenia na powietrzu, spotkania towarzyskie w ograniczonej liczbie i tylko na zewnątrz (w obu ostatnich przypadkach – raz dziennie, maksymalnie cztery godziny) oraz oczywiście, aby się zaszczepić.

MASECZKI I KARY

Maseczki mają być noszone w pomieszczeniach oraz na zewnątrz przez wszystkich powyżej 12. roku życia. Spotkania towarzyskie na dworze są dopuszczalne wyłącznie pomiędzy dwoma osobami z maksymalnie dwóch gospodarstw domowych lub ewentualnie pomiędzy pięciorgiem ludzi również z dwóch gospodarstw, jeśli każda z nich jest zaszczepiona. Uwaga: place zabaw są otwarte, a dzieci mogą tam przebywać z rodzicami, ale rodziców obowiązują limity spotkań towarzyskich. Za ich złamanie obowiązują surowe kary. W sierpniu w Sydney (stan Nowa Południowa Walia – NSW, gdzie obowiązują podobne zasady jak w Wiktorii) w jednym z parków trzy młode mamy z dziećmi w wózkach zostały ukarane mandatami po 1 tys. dol. (ponad 600 euro, blisko 3 tys. zł) za rozmowę w grupie więcej niż dwóch osób z różnych adresów.

Myślą Państwo, że to wysoki mandat? Średnie wynagrodzenie w Australii to ok. 8,3 tys. dol. australijskich miesięcznie. W stanie Wiktoria za złamanie zakazu spotkań w domu lub na zewnątrz grozi kara w wysokości 5452 dol. (ok. 16 tys. zł). Policja może na miejscu nakładać mandaty w wysokości do 1817 dol. na osoby prywatne oraz 10 904 dol. na przedsiębiorców za złamanie zakazów. Sąd może orzec kary od 21 808 dol. dla osoby fizycznej (ponad 63 tys. zł) do aż 109 tys. dol. dla biznesu (ponad 300 tys. zł). Za nienoszenie maski obowiązuje mandat w wysokości 200 dol.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Z kolei w New South Wales kara dla osoby fizycznej za złamanie przepisów dotyczących zdrowia publicznego – zatem również covidowych – to maksymalnie 11 tys. dol. (ok. 32 tys. zł) lub sześć miesięcy aresztu. Mandat, jaki policja może dać na miejscu zdarzenia, to 1 tys. dol., za przekroczenie limitu osób spotykających się na zewnątrz – 3 tys. dol., aż 5 tys. dol. zaś za odmowę udzielenia odpowiedzi na pytania wyznaczone do śledzenia kontaktów (w celu namierzenia ewentualnych zakażeń). Kary są więc dla wielu Australijczyków rujnujące.

Rząd federalny nie zdecydował się na wprowadzenie szczepień obowiązkowych, ale już rządy stanowe idą w tę stronę. W awangardzie jest znów stan Wiktoria. Trzy tygodnie temu w Melbourne miały miejsce gwałtowne zamieszki. Inicjatorami byli pracownicy przemysłu budowlanego, który z powodu lockdownów zanotował największe straty i problemy. Rząd Wiktorii nałożył na nich obowiązek przyjęcia przynajmniej pierwszej dawki szczepionki do 23 września pod sankcją utraty pracy. Starcia z policją były tak ostre, że w niektórych miejscach funkcjonariusze byli zmuszeni do wycofania się w popłochu – w przeciwnym wypadku groził im lincz. Tymczasem rząd poszedł o krok dalej i ogłosił właśnie, że do 15 października zaszczepieni przynajmniej pierwszą dawką muszą być wszyscy pracownicy, którzy posiadają zezwolenia na pracę poza domem. To ok. 1,25 mln mieszkańców stanu.

Paradoks polega na tym, że skrajnie drastyczne restrykcje nie uchroniły Australii przed rozprzestrzenianiem się wirusa. I to mimo że obecnie w pełni zaszczepiona jest tam niewiele mniejsza część populacji niż w Polsce – 47 proc. Dodatkowe 20 proc. obywateli jest zaszczepionych częściowo (w Polsce to odpowiednio 52 i raptem 1 proc.). Wiemy już jednak, że szczepienie nie hamuje transmisji wirusa (ciężkie przebiegi choroby i zgony to inna kwestia). Obecnie w Australii notuje się ponad 83 nowe przypadki COVID na milion, w Polsce – 31. Rekordowe wzrosty zakażeń mają miejsce w najściślej zamkniętej NSW.

Premier Scott Morrison z Partii Liberalnej, spierając się z członkami własnego rządu na temat dalszej polityki, powołuje się na raport Instytutu Doherty'ego (instytucja stworzona wspólnie przez Uniwersytet w Melbourne i Królewski Szpital w Melbourne), który ma stwierdzać, że poziom zaszczepienia sięgający 70–80 proc. pozwoli się Australii otworzyć niemal całkowicie. Jednak krytycy Morrisona wskazują, że to zdecydowanie za duże uproszczenie, a raport zawiera znacznie bardziej skomplikowane konkluzje i wyśrubowane warunki. Żeby było zabawniej, premier Morrison jest uznawany obecnie za zwolennika luzowania restrykcji, choć w polskiej skali byłby twardszy od ministra Niedzielskiego. Jego „liberalne" plany wywołują sprzeciw rządów poszczególnych stanów, w tym szczególnie NSW, a także dużej części opinii publicznej.

WIELKIE WIĘZIENIE

Enklawą na mapie państwa jest olbrzymi (2,64 mln km kw.) stan Australia Zachodnia ze stolicą w Perth. Tam, dzięki drastycznej kontroli na granicach stanu i bezwzględnie przestrzeganej kwarantannie, co w praktyce sprowadza się do odcięcia wszystkich mieszkańców od świata (prawie niemożliwe są również powroty – za pobyt na kwarantannie Australijczycy muszą płacić sami), udało się utrzymać zakażenia na zerowym poziomie. Życie toczy się więc niby normalnie, ale jest to życie jak na olbrzymiej wyspie bez bezpośredniego kontaktu ze światem zewnętrznym. Więzienie jest wielkie, ale jest to jednak więzienie.

Wydawałoby się, że oczywistym wnioskiem z tej sytuacji powinno być, że skrajne restrykcje niosą ze sobą gigantyczny koszt, ale nie działają. A w każdym razie rachunek zysków i strat jest na ich niekorzyść. Ogromna część australijskich polityków i obywateli myśli jednak według innego schematu: skoro ponieśliśmy już tak gigantyczne koszty, to rezygnować teraz oznaczałoby je zmarnować. To jedna z doskonale znanych psychologom (także psychologom zarządzania) pułapek, wskutek których osoba czy zarządzana przez nią organizacja brnie uparcie w wadliwą strategię, a im dłużej to trwa, tym bardziej mimo braku oczekiwanych efektów jest przekonana, że trzeba wytrwać. Przez taki schemat myślowy przegrywano bitwy i wojny.

Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że australijski zamordyzm budzi wśród obywateli kraju powszechny sprzeciw. Jest wręcz przeciwnie. W połowie września brytyjski „The Guardian" opublikował sondaż, z którego wynika, że jedynie 17 proc. obywateli Australii uważa, że zaszczepieni i niezaszczepieni powinni mieć te same prawa. 39 proc. uznało, że zaszczepieni powinni zostać natychmiast zwolnieni z restrykcji, zaś aż 44 proc. stwierdziło, że ograniczenia należy znieść dopiero wówczas, gdy każdy będzie mógł zostać zaszczepiony.

Ledwo 20 proc. respondentów zgodziło się ze stwierdzeniem, że trzeba zaakceptować pewną liczbę zgonów, ale przywrócić możliwość swobodnych podróży. 34 proc. popiera zdanie odwrotne: nie można otwierać granic, jeśli ich zamknięcie może zapobiec jakimkolwiek zgonom. Poparcie dla sposobu, w jaki rząd Morrisona radzi sobie z epidemią, nawet skoczyło w ciągu dwóch tygodni od poprzedniego badania – z 39 na 43 proc. przy 35 proc. będących odmiennego zdania.

GRANICE WŁADZY

Co do jednego nie ma wątpliwości: w Australii dzieje się coś politycznie i socjologicznie istotnego. W dużym kraju zachodniej (umownie mówiąc) demokracji postanowiono podporządkować całe życie społeczne i gospodarcze walce z epidemią właściwie bez względu na koszty. Miliony obywateli poddano restrykcjom porównywalnym chyba tylko z chińskimi. Ogromna część Australijczyków gotowa jest w imię tej polityki zrezygnować z wolności pojmowanej na sposób, który przez wieki konstytuował zachodnie myślenie o relacji państwa z jego pełnoprawnym obywatelem, a który Polacy znają jeszcze z czasów I Rzeczypospolitej. W tym paradygmacie zakres osobistych swobód rząd ma prawo ograniczyć tylko w absolutnie nadzwyczajnych, granicznych i ekstremalnych przypadkach, takich jak wojna, albo nigdy.

Czy więc Australia jest, jak chcieliby niektórzy, poligonem nowych rozdziałów miękkiego, bo zachowującego pozory demokracji, totalitaryzmu? I tak, i nie. Każde społeczeństwo ma swoją specyfikę. Chociaż Australijczycy mogli się stereotypowo wydawać ludźmi szczególnie ceniącymi osobiste swobody, to jest to mit pokutujący wśród ludzi patrzących z oddali. Tak naprawdę to jeden z najmocniej poddanych terrorowi politycznej poprawności krajów świata, a to również ma znaczenie. Tego, co cieszy się niemal powszechną akceptacją na antypodach, nie dałoby się przeforsować w Europie, a już na pewno w Polsce.

Czy nie jest to jednak ćwiczenie z tego, jak daleko może się posunąć władza w jakimkolwiek formalnie demokratycznym kraju, forsując drakońskie reguły – teraz pod pretekstem epidemii, jutro – być może Zielonego Ładu? Z pewnością. Dlatego australijski eksperyment zasługuje na uwagę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Marian Piłka

Szansa polskiego handlu

Jednym z najważniejszych wyzwań stojących przed polską gospodarką jest jej dekolonizacja

W wyniku nieprzemyślanych decyzji gospodarczych z przełomu lat 1989 i 1990 ówczesne władze otworzyły polską gospodarkę w bezprecedensowej skali na dominację i uprzywilejowanie zagranicznego kapitału. W efekcie, zamiast budować współczesny polski kapitalizm głównie na podstawie odradzającego się kapitału krajowego, postanowiono zbudować kapitalizm przede wszystkim na kapitale zagranicznym. Oczywiście otwarcie na inwestycje kapitału zagranicznego było konieczne nie tylko dlatego, że w Polsce brakowało kapitału, lecz także dlatego, że w wielu dziedzinach Polska nie posiadała technologii ani doświadczenia. To otwarcie powinno jednak mieć charakter kontrolowany, tak aby napływ obcego kapitału nie zaburzył procesu odbudowy rodzimej przedsiębiorczości.

NAJLEPSZE ŹRÓDŁO AKUMULACJI KAPITAŁU

To wymagało przede wszystkim ochrony tych branż, w których raczkujący polski kapitał z powodzeniem się rozwijał. Niewątpliwie taką dziedziną był handel. Na przełomie lat 80. i 90. nie tylko dynamicznie się rozwijał – ze swej natury handel jest przede wszystkim najlepszym źródłem pierwotnej akumulacji kapitału, a zatem ochrona polskiego handlu mogła być kołem zamachowym odrodzenia polskiej przedsiębiorczości także w innych dziedzinach.

Niestety, szerokie otwarcie polskiej gospodarki doprowadziło do masowego napływu właśnie do handlu obcego kapitału dysponującego miażdżącą przewagą. To bardzo mocno uderzyło w jego potencjał rozwojowy. Wejście do Polski sieci zagranicznych supermarketów miało efekt nokautujący. Handel został zdominowany przez zagraniczne koncerny, a polska odradzająca się przedsiębiorczość straciła w znacznej mierze szanse na bardziej dynamiczną akumulację pierwotnego kapitału i na rozwój kapitalizmu polskiego przede wszystkim w oparciu o kapitał rodzimy.

NEOKOLONIALNY MODEL

W wyniku ówczesnego otwarcia na zagraniczny kapitał w Polsce zbudowany został kapitalizm o charakterze neokolonialnym. Niewątpliwie ten model kapitalizmu był przyczyną wielu problemów gospodarczych i społecznych. Jest też barierą w dalszym rozwoju naszego kraju, ponieważ bez dynamicznego rozwoju rodzimej przedsiębiorczości trudno marzyć o tym, abyśmy stali się równoprawnym partnerem najbardziej rozwiniętych gospodarek świata. W modelu gospodarki neokolonialnej możliwy jest oczywiście rozwój, ale nie jest to tylko rozwój zależny. Ma on charakter

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. ADOBE STOCK

wtórny wobec najbardziej rozwiniętych gospodarek i musi się zadowalać znacznie niższą wartością dodaną. To oznacza, że w tym modelu zawsze pozostaniemy gospodarką zapóźnioną w stosunku do najnowocześniejszych gospodarek i społeczeństwem znacznie uboższym niż społeczeństwa państw najbardziej rozwiniętych.

Dlatego zasadniczym celem polskiej polityki gospodarczej – oprócz inwestycji w najnowsze technologie – musi być jej ekonomiczna dekolonizacja. Oznacza to, że rodzima przedsiębiorczość powinna zbudować swoją dominację w najważniejszych gałęziach polskiej gospodarki. Niewątpliwie polska przedsiębiorczość powinna w pierwszym rzędzie spolonizować handel zarówno ze względu na jego rolę w akumulacji kapitału, jak i z powodu jego znaczenia dla gospodarki jako kanału dystrybucyjnego. Ma to także zasadnicze znaczenie dla rozwoju produkcji rodzimych wytwórców.

I choć polskie przedsiębiorstwa handlowe otrząsnęły się z szoku, jakim było masowe wejście na polski rynek zagranicznych sieci, to nadal handel detaliczny jest przez nie zdominowany. Nadaje to polskiemu handlowi wybitne neokolonialne znamię. Dlatego też państwo polskie powinno wspierać procesy, które mają na celu przejęcie handlu przez rodzimy kapitał.

NIECH PŁACĄ JAK W UE

Otóż nie ulega wątpliwości, że istotnym instrumentem w polonizacji handlu powinna być walka z dumpingiem społecznym. Kilka lat temu Francja zastosowała zasady antydumpingowe, walcząc z polskimi przewoźnikami. Niestety, rząd polski nie podjął inicjatywy, aby zasady antydumpingowe zastosować do wynagrodzeń pracowników zagranicznych koncernów działających w Polsce. Pracownicy tych koncernów pracujący w Polsce za tę samą pracę uzyskują bowiem trzy-, a nawet czterokrotnie niższe pensje niż we własnych krajach. Mamy tu do czynienia z ewidentnymi praktykami dumpingowymi charakterystycznymi dla gospodarek neokolonialnych.

Konkurowanie międzynarodowych koncernów poprzez zaniżanie płac pracowników w krajach peryferyjnych nie ma nic wspólnego z wolnym handlem. Jako praktyka neokolonialna powinno być zakazane. Ważne jest, aby polskie państwo wystąpiło z odpowiednimi projektami zakazu praktyk neokolonialnych na forum Międzynarodowej Organizacji Pracy i innych międzynarodowych forach, tak aby tego typu praktyki były systematycznie eliminowane z działalności międzynarodowych koncernów.

TSUE POMOŻE?

Ważnym krokiem w kierunku eliminacji neokolonialnego dumpingu socjalnego jest wyrok TSUE z 3 czerwca tego roku w sprawie naruszenia równości wynagrodzeń pracowników wykonujących jednakową pracę bądź pracę jednakowej wartości. Według tego wyroku pracodawca nie może różnicować wynagrodzeń tylko na podstawie zróżnicowania geograficznego swoich przedsiębiorstw. Zróżnicowanie może być uzasadnione wyłącznie w przypadku istnienia obiektywnych kryteriów, które muszą być udowodnione. Na przykład zróżnicowanie wynagrodzeń może być uzależnione od ilości, odpowiedzialności, stresu czy jakości świadczonej pracy, ale nie może być uzależnione od samej lokalizacji. Możliwe jest też uznanie zewnętrznych kryteriów świadczonej pracy, ale mają one pomocniczy, a nie decydujący charakter. Nie można jednak za takie kryterium uznać kosztów utrzymania w danej lokalizacji jako kryterium ustalania wynagrodzeń. Różnicowanie wynagrodzeń na podstawie zróżnicowania geograficznego uznane zostaje za formę dyskryminacji.

Wyrok TSUE ma charakter przełomowy, jeżeli chodzi o walkę z neokolonialnym dumpingiem socjalnym. Otwiera on bowiem możliwość walki polskich pracowników o porównywalne wynagrodzenia w koncernach zagranicznych działających w naszym kraju. Konsekwentna realizacja tego wyroku zlikwidowałaby takie patologie jak kilkakrotna różnica wynagrodzeń za taką samą pracę na polsko-niemieckim pograniczu. Nie ma żadnych uzasadnionych powodów, by polscy pracownicy pracujący w naszym kraju otrzymywali za taką samą pracę znacznie niższe wynagrodzenie.

Realizacja tego wyroku wymaga energicznych działań polskich agend rządowych, a zwłaszcza Inspekcji Pracy, która powinna egzekwować ten wyrok TSUE w stosunku do zagranicznych pracodawców. Aby skuteczniej walczyć z dumpingiem socjalnym, z pewnością są potrzebne nowe rozwiązania prawne, które dadzą Inspekcji Pracy bardziej skuteczne instrumenty prawne, tak aby zagraniczne koncerny nie mogły stosować żadnych wybiegów w unikaniu zrównania płac pracowników pracujących w Polsce i ich kolegów pracujących w krajach macierzystych tych międzynarodowych korporacji.

Rygorystyczne egzekwowanie wyroku TSUE w tej kwestii jest szansą na wzrost wynagrodzeń polskich pracowników. Jest to wartość sama w sobie. Wprowadzenie równości płac w zagranicznych koncernach niezależnie od ich geograficznej lokalizacji jest także szansą dla rodzimej przedsiębiorczości, a zwłaszcza dla rodzimego handlu.

Należy oczekiwać od polskiego rządu podjęcia zdecydowanych kroków zarówno na płaszczyźnie MOP czy Unii Europejskiej, aby wzmocnić prawnie walkę z neokolonialnym dumpingiem socjalnym, jak i w stosunku do przedsiębiorstw zagranicznych działających w naszym kraju, aby dostosowały swoje praktyki biznesowe, a zwłaszcza politykę wynagradzania pracowników, do ducha wyroku TSUE z 3 czerwca bieżącego roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem, historykiem i publicystą.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Tani antyklerykalizm dla lewicowych ignorantów

Paweł Chmielewski

„Gomora" Artura Nowaka i Stanisława Obirka rozczarowuje. To w istocie przydługi katalog najgłośniejszych nadużyć polskiego duchowieństwa, podlany śmiertelnie nudnym sosem znanych modernistycznych pomysłów na „odnowę" w Kościele. Nie warto tej książki czytać

Opublikowana dwa lata temu w Polsce „Sodoma" Frederica Martela wywołała ciekawą debatę o problemie homoseksualizmu w Kościele. Książka w dość inteligentny i bardzo obrazowy sposób zaprezentowała skryty system wewnątrzkościelnych powiązań zbudowany między księżmi, biskupami i kardynałami o nieuporządkowanych skłonnościach erotycznych. W całym Kościele – twierdzi bowiem Martel – widoczne jest istnienie nieformalnej sieci przyjaźni i wsparcia między homoseksualistami, a im wyżej w hierarchii, tym zjawisko to występuje silniej. Francuz na poparcie swoich tez podaje wiele na ogół solidnych i dobrze udokumentowanych przykładów. Obok „Lawendowej mafii" ks. prof. Dariusza Oko praca Martela to niewątpliwie najważniejsza na polskim rynku pozycja dotycząca omawianego problemu. Nawet jeżeli autor rzuca niekiedy pospieszne oskarżenia czy czyni zgoła nieprawdopodobne sugestie, to w swojej całości „Sodoma" pozwala zajrzeć za kulisy funkcjonowania Kościoła. To, co widać, nie jest przyjemne, ale – jak mówią osoby dobrze znające ten system – zasadniczo prawdziwe.

OD SODOMY DO GOMORY

Nie dziwi zatem, że wielu polskich czytelników w niemałym napięciu oczekiwało na premierę polskiego odpowiednika tej głośnej pracy. Wreszcie jest. Nakładem Agory ukazała się w naszym kraju „Gomora" autorstwa mecenasa Artura Nowaka i profesora Stanisława Obirka. Książka dotyka nie tylko skandali homoseksualnych, lecz także problemu nadużyć w ogóle, omawiając też różnego rodzaju malwersacje finansowe i krytykując niski w przekonaniu autorów poziom intelektualny polskiego Kościoła. Mogłaby „Gomora" stać się ważnym głosem w polskiej debacie o przyszłości katolicyzmu. Mogłaby, ale się nie stanie; bo dzieło Nowaka i Obirka nie tylko pozbawione jest większości zalet „Sodomy", lecz także podziela jej mankamenty i uproszczenia, dokładając do tego jeszcze wiele własnych. Dzieło sprawia wrażenie, że powstało głównie w jednym celu: odnieść sprzedażowy sukces. To się zresztą ewidentnie udało.

„Gomora" składa się z dwóch części. Pierwsza zatytułowana została „Siedem grzechów głównych Kościoła", druga zaś – „Nadzieja". Trudno powiedzieć, która z nich jest słabsza. W pierwszej autorzy prezentują bowiem śmiertelnie nudny katalog wszystkich dobrze znanych z mediów przy-

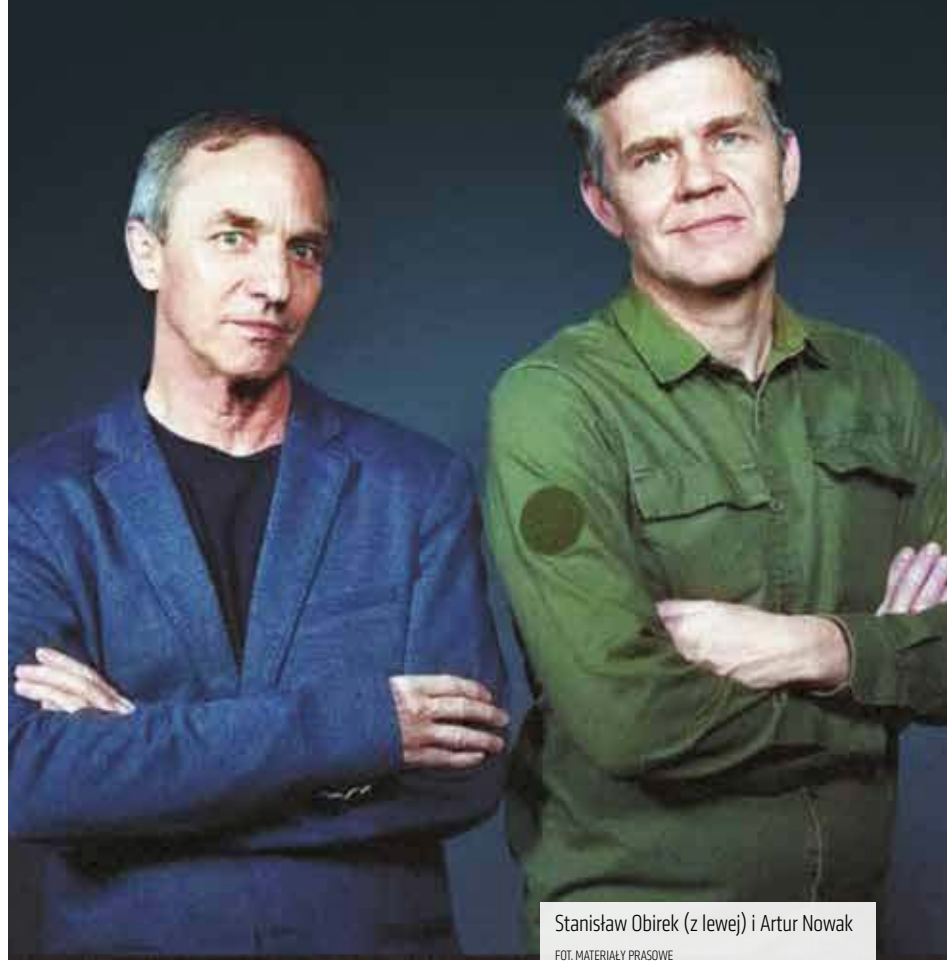

Stanisław Obirek (z lewej) i Artur Nowak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 57b2f5d2e1

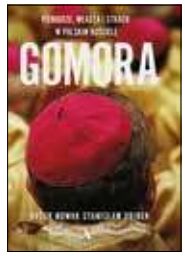

ARTUR NOWAK, STANISŁAW OBIREK „GOMORA" AGORA 2021

padków nadużyć, skandali i patologii, dodając też od siebie nieco mniej lub bardziej sensacyjnych informacji albo sugestii (niekiedy graniczących z pomówieniem). W drugiej pokazują z kolei, jak ich zdaniem Kościół można odbudować, co w praktyce okazuje się mało oryginalnym powtórzeniem znanej od lat „recepty" ze sztambucha europejskich neomarksistów rodem.

ZŁO I ANI ŚLADU DOBRA

„Sodoma" Frederica Martela miała tę niewątpliwą zaletę, że dotykając wyłącznie zagadnienia homoseksualizmu, niejako programowo wskazywała czytelnikowi, że nie da mu wiedzy o Kościele katolickim w jego całości. „Gomora" inaczej – poprzez szeroką paletę poruszanych problemów może zwieść łatwo czytelnika, który o religii w ogóle, a o katolickiej w szczególności, nie ma szerszego pojęcia, dając mu do rąk złudny klucz ostatecznego zrozumienia, czym jakoby jest Kościół. Trzeba uczciwie przyznać, że pisząc o grzechach duchowieństwa, Nowak i Obirek nie muszą zmyślać. Przykładów na potworne, odrażające i nikczemne zachowania jest doprawdy bez liku, a dramatyczne uwikłanie w system kłamstw dotyczy często bardzo wysoko postawionych hierarchów. Problem w tym, że budując obraz Kościoła, autorzy poprzestają na brudzie. „Gomora" jawi się tym samym jako książkowy odpowiednik filmu „Kler", który przedstawiał Kościół niemal wyłączne przez pryzmat zła. Ciekaw jestem, czy ktokolwiek niezmuszony do lektury przez obowiązki zawodowe przebrnie przez kilkaset stron antylitanii win czy domniemanych grzechów kardynałów Dziwisza i Gulbinowicza, arcybiskupów Głodzia, Paetza i Kowalczyka, księży Jankowskiego, Makulskiego czy Cybuli… Być może znajdą się ludzie, których naprawdę zaciekawi czytanie tego, o czym media trąbią głośno od lat; ktoś inny może w tym gąszczu doskonale znanych historii znajdzie jakieś nowe plotki, np. o bp. Mirosławie Milewskim, albo zainteresuje się niedwuznacznymi sugestiami na temat abp. Marka Jędraszewskiego. Myślę jednak, że każdy, kto interesuje cię choćby pobieżnie Kościołem w Polsce, będzie po prostu śmiertelnie znużony – i naturalnie przytłoczony ogromem zła wyłaniającego się z opisywanych zgorszeń. W sumie jednak w swojej analizie kondycji katolicyzmu nad Wisłą „Gomora" nie wnosi niemal nic nowego. Od tej strony o książce nie da się poważnie debatować, można ją wykorzystać tylko jako podręczny przewodnik po nadużyciach, gdyby ktoś takiego potrzebował.

LECZENIE BŁĘDÓW IDEOLOGIAMI

Większe oczekiwania można byłoby mieć względem części drugiej, „Nadziei", która już samym tytułem obiecuje pozytywną wizję reformy Kościoła. Niestety, autorzy nie dochowali dyscypliny i także w pierwszej części zawarli wiele propozycji zmian czy wskazań, gdzie – ich zdaniem – należy szukać dobrych wzorców. Utrudnia to lekturę. Jeżeli ktoś chciałby dowiedzieć się, jakiego Kościoła pragną Nowak i Obirek, musiałby i tak przebrnąć przez całość. Co w każdym razie proponuje „Gomora"? Wiele rzeczy do bólu przewidywalnych. W roli pozytywnego bohatera w całej książce występuje papież Franciszek, który ma jakoby pracować nad uzdrowieniem Kościoła. Nie o to chodzi oczywiście, by odmawiać Ojcu Świętemu dobrych intencji czy nawet kwestionować słuszność wielu jego decyzji, ale cukierkowy obraz Franciszka, jaki wyłania się z „Gomory", każdy czytelnik, znający choćby pobieżnie historię aktualnego pontyfikatu, uznać musi za skrajnie jednostronny. Szkoda, że autorzy nie pokusili się choćby o odrobinę bardziej pogłębione spojrzenie.

Nie zaskakuje, że wśród innych „dobrych charakterów" pojawiają się też biskupi i katolicy z Niemiec ze swoją Drogą Synodalną. Propozycje, które padają za Odrą, spotykają się ze zrozumieniem i aprobatą u autorów „Gomory". Ich zdaniem mają rację Niemcy, twierdząc, że Kościół potrzebuje dziś zaakceptować antykoncepcję, zmienić swoje podejście do LGBT, otworzyć się na kapłaństwo kobiet czy zrezygnować z celibatu. Ot, typowy modernistyczny katalog reform, te same pomysły od co najmniej kilkudziesięciu lat. Nieszczególnie oryginalne jest też upatrywanie wzorcowych reformatorów w takich postaciach jak Marcin Luter, Huldrych Zwingli czy Jan Kalwin. Od dzieła sygnowanego nazwiskiem doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie historii nowożytnej spodziewałbym się wprawdzie nieco bardziej złożonej analizy, ale pewnie się czepiam. Są przecież w „Gomorze" i bardziej ekstrawaganckie propozycje, jak np. bazujący na koncepcjach Marii Janion postulat przywracania pamięci o słowiańskiej tożsamości przedchrześcijańskiej Polski. Niewykluczone, że to akurat przejaw dobrego zrozumienia współczesnych trendów w Kościele: odkrywanie pierwotnego życia Polaków sprytnie łączy się z podziwem, który autorzy wyrażają wobec współczesnej odsłony teologii wyzwolenia, chętnej do afirmowania wszelkiego prymitywizmu, jak widzieliśmy to w Rzymie przy okazji Synodu Amazońskiego. A zatem uzdrowienie Kościoła naparem z homoseksualizmu, kapłaństwa kobiet i żonatych oraz kultu Światowida? Cokolwiek wątpliwe.

SZUKAJĄC UKRYTEJ WARTOŚCI

Nie jest jednak tak, by w dziele Nowaka i Obirka nie można było znaleźć niczego wartego uwagi. Pewną wartością jest np. położenie przez autorów nacisku na niektóre rzadziej komentowane w mediach problemy polskiego Kościoła. W „Gomorze" dużo uwagi poświęca się choćby modelowi awansu poprzez ślepą lojalność wobec przełożonych, peryferyjnemu znaczeniu współczesnej polskiej myśli teologicznej czy wielkim niebezpieczeństwom związanym z rozpowszechnieniem w polskim Kościele antyintelektualnej wersji ruchów charyzmatycznych. Ponadto dzięki dość szerokiemu doborowi opisanych ekscesów seksualnych i finansowych książka pokazuje, że wpływy „lawendowej mafii", chociaż duże, nie są nieograniczone, a kryzys moralny Kościoła nad Wisłą ma oprócz ukrytego życia homoseksualnego części kleru także wiele innych poważnych przyczyn. Jednak ze względu na ogólnie zajadle antyklerykalną i w gruncie rzeczy antykatolicką wymowę książki raczej nie przeczytają jej ci, którzy mogliby z tego rozpoznania zrobić jakiś użytek, czyli katolicy szczerze kochający Kościół.

WARTO? NIE WARTO…

„Sodomie" „Gomora" nie dorasta do pięt. Grzesząc banałem, przewidywalnością, nudą i tanim antykościelnym populizmem, książka pokazuje, że jeden z najczęstszych zarzutów autorów pod adresem polskiego myślenia o katolicyzmie jest prawdziwy przynajmniej w stosunku do ich własnego dzieła: to brak poważnej refleksji o Kościele. Praca Obirka i Nowaka nie wniesie do polskiej debaty żadnej wartości dodanej. Pogłębi podziały i nakręci spiralę wzajemnej nienawiści. Publikacja to słaba i społecznie szkodliwa, nie przez podejmowany temat, ale wskutek żenująco niskiego poziomu narracji, jaki prezentuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Chrystian Ludwik Kalkstein-Stoliński (ok. 1630–1672) FOT. ARCHIWUM AUTORA

Janina Kalkstein-Stolińska (1888–1980) FOT. ARCHIWUM AUTORA

Roman Kalkstein-Stoliński (1887–1918) FOT. ARCHIWUM AUTORA

Kalksteinowie-Stolińscy – bohaterowie i zdrajcy

Tomasz Lenczewski

W dziejach rodu Kalksteinów odbijają się jak w zwierciadle skomplikowane stosunki polsko-niemieckie, od panowania krzyżackiego poprzez Prusy do hitlerowskich Niemiec

Popularny serial „Czarne chmury" zwrócił swego czasu w Polsce uwagę na postać Chrystiana Ludwika Kalksteina-Stolińskiego (ok. 1630–1672), podpułkownika wojsk koronnych, uwięzionego za walkę w obronie uciskanej szlachty pruskiej i ściętego w Memlu (Kłajpedzie) z rozkazu księcia elektora brandenburskiego. Niezależnie od tego od lat ukazywały się publikacje o jego rzekomym potomku Ludwiku Kalksteinie-Stolińskim (1920–2006). Ten dobrze zapowiadający się oficer AK i kawaler Krzyża Walecznych jest powszechnie uważany za jednego z największych zdrajców okresu okupacji niemieckiej w Polsce. Niekiedy łączono go błędnie z bezpośrednią odpowiedzialnością za wydanie w ręce gestapo gen. Stefana Grota-Roweckiego. Z czasem wokół Kalksteinów-Stolińskich narosło wiele mitów i niedopowiedzeń zarówno co do ich historii, jak i rodowodu. Dziennikarze i publicyści, a niekiedy nawet naukowcy bez analizy źródłowej przypisali płk. Kalksteinowi-Stolińskiemu majątek Stolno, indygenat Rzeczypospolitej, a także ścisły związek genealogiczny ze zmarłym w Monachium Ludwikiem Kalksteinem.

RÓD O STAROPRUSKICH KORZENIACH

Potomkowie tego rycerskiego, a potem w znacznej części ziemiańskiego mocno rozgałęzionego rodu byli zarówno Niemcami, jak i Polakami. Samo jego pochodzenie było najpewniej miejscowe staropruskie. Pierwsza wzmianka dotycząca miejscowości Kalckstein (dziś Wapnik) koło Lidzbarka Warmińskiego, od której ród wziął nazwisko, pochodzi z 1284 r. Biskup warmiński nadał wówczas tamtejszą ziemię dwóm braciom, niewątpliwie ochrzczonym Prusom. Według Emiliana von Szeliga-Żernickiego, autora najbardziej znanego zestawienia członków polskich rodów pozostających w pruskiej służbie, Kalksteinowie (pisani czasem jako Kalkszteynowie) legitymowali się herbem Kos. Kalksteinowie rozprzestrzenili się w Prusach, a potem na Pomorzu, a z czasem na Kujawach i w Wielkopolsce.

Ludwik Chrystian, dziedzic dóbr Knauten (obecnie Prudki) i Wogau (dzisiaj Lermontowo) koło dawnej Pruskiej Iławy, mógł się wylegitymować rodowodem od roku 1484. Ani on sam, ani też jego bezpośredni przodkowie nie mieli nic wspólnego z nazwiskiem „Stoliński". Pochodzi ono od Stolna w ziemi chełmińskiej w Prusach Królewskich, od którego jacyś jego dalecy krewni przybrali sobie przydomek. Władali oni Stolnem przez co najmniej dwa wieki (XVI–XVII w.), zachowując równoległe nazwisko od swej posiadłości. Wszystko wskazuje na to, że wygaśli u schyłku XVIII w. Samo zaś, czasem okresowe, przybieranie nazwiska „Stoliński" przez innych, całkiem odległych pokrewieństwem od siebie Kalksteinów stało się dość popularne. Zwyczaj dodawania do nazwiska członu związanego z gniazdem

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Tomasz Kalkstein-Stoliński (1893–1916)
FOT. ARCHIWUM AUTORA

Ludwik Kalkstein (1920–2006)
FOT. ARCHIWUM AUTORA

rodowym był zresztą typowy dla Kalksteinów. Jednakże takie formy nazwiska jak Kalksteinowie-Kobylińscy (utworzone od posiadłości Kobylin) oraz Kalksteinowie-Polescy (nawiązujące do dóbr Polaszki) spotykane u spolonizowanej gałęzi rodu na Pomorzu szybko zanikły. Obok Kalksteinów-Stolińskich istnieją do dziś jeszcze reprezentujący polską i niemiecką linię Kalksteinowie-Osłowscy, niegdyś na Osłowie.

Prawdopodobnie Ludwik Chrystian przywłaszczył sobie powszechnie znaną formę nazwiska bardzo odległych krewnych w okresie służby królowi polskiemu, podczas pobytu w Rzeczypospolitej. Uczynił to jednak dopiero po ucieczce do Polski w 1670 r. Wcześniej służąc w armii litewskiej, występował tylko pod rodowym nazwiskiem. W ten sposób ów poddany pruski chciał zapewne podkreślić bliższe związki z Polską. Pomogło mu to, kiedy król Polski odmówił wydania swojego oficera gwardii królewskiej władcy Prus. W liście do elektora polski władca podkreślił, że Kalkstein jest „z pochodzenia polskim szlachcicem i zwie się Stoliński". Był to akt polityczny, a nie prawne potwierdzenie szlachectwa, jak niekiedy jest to ujmowane w dawnej literaturze.

Niewiele wiemy o jego potomkach, a miał on aż sześciu synów. Przed tragiczną śmiercią Chrystian Kalkstein-Stoliński przykazał swojej niemieckiej żonie, aby wychowała ich „w wierze luterskiej" i znajomości języka polskiego. W osobnym liście do synów nakazywał im m.in. szukanie schronienia w Polsce. Teodor Żychliński, autor „Złotej księgi szlachty polskiej", wyrażał nadzieję, że może kiedyś okaże się, iż jakaś kwitnąca w Polsce gałąź Kalksteinów pochodzi od dzielnego królewskiego pułkownika. Jednocześnie wątpił w możliwość wyśledzenia dziejów ich potomków, motywując to fatalnym stanem krajowych „archiwów grodzkich".

Tradycja mówi, że ci synowie wyzuci z ojcowskiego dziedzictwa, które przejął ich stryj, tułali się po Polsce. W istocie trzech z nich służyło w wojsku polskim, a jeden nawet zginął jako rotmistrz królewski. Powszechnie zapomina się jednak, że jeden z nich – Aleksander von Kalckstein – pozostał w Prusach.

Po wygaśnięciu w trzecim pokoleniu męskim potomków stryja, który zagarnął rodowe dobra ściętego brata, udało się z kolei jego wnukom przejąć część majątków koło Pruskiej Iławy. Do czasów ofensywy radzieckiej w 1945 r. pozostały w posiadaniu kolejnych potomków królewskiego pułkownika. Dalsi ich zstępni nadal żyją w Niemczech i wraz z niemieckimi Kalcksteinami odrębnych linii tworzą Związek Rodu von Kalckstein o charakterze fundacji. Genealogia tego rycerskiego rodu jest cyklicznie publikowana w almanachach niemieckich wydawanych pod auspicjami Związku Szlachty Niemieckiej. Znalazło się tam również miejsce dla współczesnej genealogii tych pomorskich i wielkopolskich polskich Kalksteinów, którzy do 1939 r. zachowali ziemiański status.

Los Kalksteinów dobrze ilustruje tezę Stanisława Szenica, znawcy stosunków polsko-niemieckich, który w książce „Za zachodnią miedzą" napisał: „Wystarczy przejrzeć jakikolwiek spis nazwisk niemieckich, aby ze zdumieniem stwierdzić,

REKLAMA
Horror
może być bliżej, niż myślisz...
PRAWDZIWE HISTORIE
Christopher Berry-Dee
Rozmowy z seryjnymi mordercami
STALKERZY
30 lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

eprasa.pl 57b2f5d2e1

jak wiele rodzin naszych zachodnich sąsiadów nosi zgermanizowane nazwiska polskie. I na odwrót – w Polsce liczne nazwiska świadczą, że przodków tych współczesnych Polaków należy szukać w Niemczech".

PRZODKOWIE RENEGATA

Pierwszy znany przodek polskiej gałęzi rodziny, z której pochodził Ludwik Kalkstein, został odnotowany w ziemi chełmińskiej w połowie XVIII w. Był posesorem niewielkiego majątku w pobliżu Brodnicy. Czy mógł być potomkiem jednego z pozostałych synów sławnego pułkownika? Z wielu względów wydaje się to wątpliwe. Między bajki należy włożyć historię opowiedzianą przez niego Krzysztofowi Kąkolewskiemu w więzieniu, że otrzymał od Niemców „do wypełnienia specjalny formularz, w którym ma cofnąć się – aż do praprzodków". Świadomość genealogiczna współczesnych Kalksteinów była znikoma i sięgała co najwyżej przybycia do Królestwa Polskiego w XIX w. Jedyny formularz genealogiczny, jaki mógł otrzymać, znajdował się na załączniku deklaracji przynależności do narodu niemieckiego. Zwykle wypełniano go, ograniczając się do trzech pokoleń w przypadku folkslisty celem ustalenia pochodzenia niemieckiego. W przypadku pochodzenia po mieczu mógł liczyć na „50-procentowe" pochodzenie niemieckie. Również Niemcy nie byli w stanie przeprowadzić większych badań genealogicznych. Ich wiedza w tym przypadku oparta była na licznych niemieckich publikach o Kalcksteinach, w których przodkowie Ludwika w odróżnieniu od innych polskich Kalksteinów, przeważnie właścicieli ziemskich czy urzędników, nie figurowali.

Przodkowie renegata byli potomkami drobnej szlachty, dzierżawców lub zarządców majątków, którzy przenieśli się z zaboru pruskiego na Kujawy, a potem na Mazowsze. Nigdy nie wylegitymowali się ze szlachectwa w Królestwie Polskim i zostali całkowicie pominięci w polskich herbarzach. Najbardziej znaną w tej rodzinie była Janina Kalkstein-Stolińska (1888–1980), długoletnia przełożona generalna Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstanek w Rzymie. W swoich wspomnieniach o rodzinie pozostawiła zaledwie niewielkie odniesienia do ściętego pułkownika bez jakiejkolwiek legendy o pochodzeniu od niego. U schyłku XIX w. zarówno jej bliscy krewni, jak i jej ojciec zaczęli posługiwać się nieoficjalnie nazwiskiem „Kalkstein-Stoliński" lub „Stoliński-Kalkstein". Miało to niewątpliwie związek z popularyzacją postaci Ludwika Chrystiana Kalksteina-Stolińskiego, zapoczątkowaną przez historyka Kazimierza Jarochowskiego („Sprawa Kalksteina") i przez pisarza Adama Krechowieckiego, przyjaciela Henryka Sienkiewicza. Tetralogia Krechowieckiego „O tron" stała się później wyraźną inspiracją dla twórców filmowego bohatera płk. Dowgirda, w którego doskonale wcielił się aktor Leonard Pietraszak.

Dopiero po 1912 r. wspomniani Kalksteinowie przybrali dodatkowo nazwisko „Stoliński" w oficjalnych dokumentach. Nigdy natomiast nie uczynili tego ich bliscy krewni – dziadkowie ani rodzice Ludwika Kalksteina. On sam podpisał się dwuczłonowym nazwiskiem w akcie kościelnego małżeństwa zawartego w listopadzie 1942 r. Choć kilka dni wcześniej opuścił al. Szucha z niemieckimi dokumentami, to poślubiając Blankę Kaczorowską w podwarszawskiej Radości, wystąpił jako Kalkstein-Stoliński. W swoim życiu zmieniał zresztą kilkanaście razy nazwisko, a ponadto posługiwał się okupacyjnymi tożsamościami preparowanymi dla niego przez gestapo. Jego syn Wojciech z racji wydanego na oboje rodziców wyroku śmierci przez Sąd Specjalny AK z woli matki został zapisany w akcie urodzenia jako Kaczorowski i pod takim nazwiskiem zmarł w bieżącym roku. Takie też nazwisko noszą żyjący za granicą jego męscy potomkowie.

BOHATEROWIE I ZDRAJCY

Epitet zdrajców przylgnął do tzw. Kalksteinów-Stolińskich na kilka stuleci. Dla niemieckiej historiografii, aż do czasów powojennych, ścięty Ludwik Chrystian pozostawał renegatem kierującym się prywatą, która popchnęła go do knowań przeciwko swemu panu – elektorowi brandenburskiemu. Dopiero w 1994 r. wspomniany niemiecki almanach genealogiczny zamieścił, za sprawą jego żyjących w Niemczech potomków, reprodukcję jego starego portretu, obok wizerunku ojca generała Albrechta von Kalckstein, również wrogo nastawionego do władcy Prus Książęcych. Natomiast bezpośredni przodkowie i bliscy męscy krewni Ludwika Kalksteina niczym specjalnym nie odznaczyli się w dziejach Polski. Byli przeważnie drobnymi przemysłowcami, kupcami czy przedstawicielami wolnych zawodów. W genealogii ich udział w walce o niepodległość jest epizodyczny i niemalże niedostrzegalny.

Piękną kartę w dziejach ojczystych zapisali natomiast bezpośredni potomkowie rodzonego brata pradziadka Ludwika, związani przeważnie z ziemiaństwem. Poczet tych Kalksteinów-Stolińskich w dziejach najnowszych jest nader imponujący – Marceli, poległy w Karpatach w 1915 r.; Tomasz, poległy w Legionach w 1916 r.; Roman, „Zetowiec", zamordowany przez bolszewików w 1918 r.; Stefan, ciężko ranny w kampanii wrześniowej 1939 r.; Krystian, zmarły w 1940 r. po deportacji do ZSRS, czy Tadeusz poległy w 1944 r. w powstaniu warszawskim.

Również lista innych polskich Kalksteinów, którzy zginęli w ostatniej wojnie, jest wymowna. Niektórzy z nich trafili przypadkowo do księgi pamiątkowej niemieckiej szlachty wydanej w 1967 r. przez Archiwum Niemieckiej Szlachty. Na 13 Kalksteinów vel Kalcksteinów, w tym poległych na froncie wschodnim, znalazło się tam pięciu Polaków. Wśród nich byli czterej bracia Kalksteinowie-Osłowscy z Ostrówka zamordowani przez Selbstschutz w listopadzie 1939 r. w Karolewie koło Sępolna Krajeńskiego podczas zbiorowej egzekucji. Tych ofiar wśród polskich Kalksteinów było w czasie wojny znacznie więcej, by wspomnieć starostę wąbrzeskiego Zygmunta z wielkopolskiej gałęzi rodu czy jego brata Tadeusza, zamordowanego przez NKWD w Katyniu. Oni również niesłusznie są nazywani przez współczesnych genealogów Kalksteinami-Stolińskimi, choć daremnie szukać takich paranteli w ich metrykach urodzenia.

Nie ma już męskich potomków Kalksteinów-Stolińskich w Polsce. Nazwisko to, mimo że będące synonimem narodowej zdrady, a nadto uwikłane w genealogiczne zawiłości, nosiły także osoby zasłużone dla Polski. Brak rzetelnej wiedzy na ich temat sprawił, że zarówno publicystyka historyczna, jak i dziennikarska raczej nie sprzyjały obiektywnemu przedstawieniu losów tego rodu. Dzieje rodu Kalksteinów stanowią świadectwo powikłanych stosunków polsko-niemieckich na przestrzeni wieków aż do czasów współczesnych. Przede wszystkim jednak symbolizują walkę o panowanie w Prusach Książęcych i są świadectwem słabości elit Rzeczypospolitej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Oko na PRL

Cóż za znakomity album! Formalnie rzecz biorąc, przedstawiona została w nim historia Centralnej Agencji Fotograficznej (CAF). Czyli PRL-owskiej instytucji, która dostarczała zdjęcia do komunistycznej prasy. W rzeczywistości książka Pawła Miedzińskiego jest czymś znacznie szerszym. Historią PRL pokazaną na setkach niesamowitych fotografii.

Jest tu wszystko. Pierwsze lata powojenne, gdy na gruzach spustoszonej Polski komuniści budowali swój chory system. Epoka Gomułki. Wielkie blokowiska i wielkie budowy czasów Gierka. Stan wojenny, pielgrzymka Jana Pawła II do kraju i Solidarność. A wreszcie upadek komuny i powstanie kapitalistycznej i niepodległej Polski.

Fotografie ukazują wszystkie te przełomowe wydarzenia z perspektywy władzy. Obowiązkiem fotoreporterów CAF było bowiem dokumentowanie wszelakich państwowych uroczystości – od pochodów pierwszomajowych do zagranicznych wizyt. Na kadrach zawartych w albumie możemy więc zobaczyć czołowych PRL-owskich i sowieckich aparatczyków.

Znacznie ciekawsze są jednak fotografie ukazujące codzienne życie mieszkańców PRL. A więc wnętrza mieszkań i zakładów pracy. Sklepy, ulice, parki i place. Miasta, miasteczka, wsie i PGR-y. Stroje i fryzury z epoki. Przedmioty codziennego użytku. A także rozmaite niecodzienne zdarzenia: wypadki samochodowe i lotnicze, pożary i zamieszki uliczne.

Na zdjęciach znalazły się gwiazdy estrady i telewizji, ale przede wszystkim zwykli ludzie przy swoich codziennych czynnościach. Często dzieci, które dziś są już zapewne w podeszłym wieku…

Najbardziej interesująca część książki Pawła Miedzińskiego poświęcona jest cenzurze. Zdjęcia, które trafiały do prasy, były bowiem bardzo dokładnie sprawdzane. Zarówno przez urząd cenzorski, jak i SB. Fotografie, które ukazywały komunistyczną rzeczywistość w złym (czyli prawdziwym) świetle, były odrzucane, a czasem retuszowane.

Jeden z cenzorów zdjęcie ze sklepu spożywczego kazał wykadrować w ten sposób, żeby zniknęła z niego kolejka. Przecież – jak wiadomo – w „raju robotników i chłopów" kolejek nie ma. A kto twierdzi inaczej, ten jest agentem wrażej propagandy.

Paweł Miedziński przygotował album, od którego trudno się oderwać. ©℗

★★★★★★

PAWEŁ MIEDZIŃSKI
„CENTRALNA AGENCJA FOTOGRAFICZNA 1951–1991"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Witkacy i portrety

Nawet prawdziwy artysta, jakim bez wątpienia był Stanisław Ignacy Witkiewicz, musiał mieć stały dopływ finansów. Jego utwory sceniczne były rzadko grywane, a nawet udane inscenizacje z reguły nie przynosiły zysków. Część dramatów miała zresztą swoje premiery dopiero wiele lat po śmierci autora („Szewcy" 12 października 1957 r.), natomiast powieści niemal nikt nie chciał wydawać. Pozostawało malarstwo w czysto komercyjnej formie i dlatego w 1927 r. Witkacy założył Firmę Portretową S.I. Witkiewicz, która stała się głównym źródłem jego dochodów.

Artysta podzielił swoje usługi na pięć rodzajów i najniżej cenił typ A, czyli portrety „wylizane". Odznaczały się one niemal fotograficznym podobieństwem do modela, chociaż miały fantastyczne tło, z reguły w formie egzotycznej roślinności. Witkacy nie lubił tego rodzaju portretów i dlatego wyznaczył najwyższą cenę – 350 zł.

Typ B był „bardziej charakterystyczny, jednak bez cienia karykatury", a malarz prezentował „stosunek do modela obiektywny". Najczęściej portretował w taki sposób osoby nieznajome, a cena wynosiła 250 zł. W przypadku dodania elementów „spotęgowania charakteru, graniczących z pewną karykaturalnością" autor obniżał stawkę o 100 zł.

Kolejny typ (C) wykonywany był głównie dla przyjaciół, w sytuacjach towarzyskich i najczęściej pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Dzięki „subiektywnej charakterystyce modela" dochodziło do „spotęgowania karykaturalnego tak formalnie, jak i psychologicznie".

Rodzaj D był imitacją poprzedniego, tyle że bez wspomagania farmakologicznego. Portrety były najbardziej „sztywne" i niepodobne do innych prac Witkacego. Sam artysta dobrze zdawał sobie z tego sprawę, ponieważ wycenił je tylko na 100 zł. A malując kiedyś portret Teodora Białynickiego-Biruli, dodał na obrazie adnotację: „Rysunek nieszczery".

Oddzielnym tematem był typ E oznaczający „dowolną interpretację psychologiczną według intencji firmy". Z reguły w tej konwencji malował kobiety, ale tylko takie, które mu się podobały. Zdarzały się wprawdzie również portrety męskie, ale mężczyźni portretowani w tej konwencji wydają się nieco zniewieściali. Inna rzecz, że Witkacy zainteresowanie nową kobietą rozpoczynał od malowania podobizny jej męża.

Zdarzały się też mieszanki typów, ale najciekawsze były adnotacje o środkach, pod których wpływem powstał portret. Były wśród nich: kokaina, eter czy też eudokal (pochodna morfiny). Sygnatura „p.c.c." oznaczała, że obraz namalowano „prawie całkiem po ciemku", natomiast informacja „z.z." oznaczała, że obraz powstał zamiast zgwałcenia… ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Tomasz Zbigniew Zapert

Kilkukrotnie kandydował do Nagrody Nobla, lecz umarł w biedzie

FOT. AP/EAST NEWS

Blaski i cienie Rafała Lemkina

Książka prof. Ryszarda Szawłowskiego wnikliwie omawia wieloletnią działalność polskiego prawnika – autora pojęcia „genocyd" – wiodącą do uchwalenia przez Organizację Narodów Zjednoczonych 8 grudnia 1948 r. konwencji dotyczącej zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. Biograf, który edycji swego bardzo solidnie udokumentowanego (pomimo skąpych archiwaliów i niedoboru świadków) dzieła niestety nie doczekał, demitologizuje to i owo, a nawet odkrywa nieetyczne zachowanie swego bohatera. Lemkina relegowano z Uniwersytetu Jagiellońskiego za przedłożenie przezeń fałszywego zaświadczenia o udziale w wojnie polsko-bolszewickiej (sic!).

FAŁSZYWY DOKUMENT

Immatrykulował się na tamtejszym Wydziale Prawa i Nauk Administracyjnych i zaliczył pierwszy rok nauki, po czym – w czerwcu roku 1920 – wyjechał na wakacje do rodziców pod Wołkowyskiem. (Tu dwa słowa wyjaśnienia: jego ojciec, Józef, prosty rolnik, dzierżawił tam gospodarstwo rolne, a matka – Bella z domu Pomeranc – pochodząca z drobnomieszczaństwa przewyższała męża intelektualnie, ale termin „sawantka", jakim definiują ją cudzoziemscy biografowie jej syna, nie odpowiada prawdzie). Kilka tygodni później teren zajęli bolszewicy. Lemkinowie wprawdzie nie należeli do klasy posiadającej, niemniej „wyzyskiwali siłę najemną na wsi", dlatego w przeciwieństwie do zdecydowanej większości ziomków mogli się najeźdźców obawiać. A może to błędna hipoteza? Wszak w poczynaniach rodziny „nie dostrzegamy jakiejś postawy polonofilskiej, lecz wyłącznie oportunizm".

Ochotniczy akces jurysty in spe do polskiej armii walczącej z bolszewikami, eksponowany nieraz na Zachodzie, jest mitem. Dopiero gdy w następstwie bitwy nad Niemnem wyzwolono Wołkowysk, „sytuacja prawdopodobnie zmusiła go do poszukiwania jakiegoś, choć wielce krótkotrwałego, wolontariatu w wojskowej służbie sanitarnej". Chodziło o zdobycie stosownego zaświadczenia dla władz akademickich. Konieczność obrony zbrojnej granic odrodzonego państwa „spowodowała podjęcie spontanicznych uchwał przez polskich studentów [...] o natychmiastowym wstąpieniu całej młodzieży akademickiej do wojska". Zgłosiło się ok. trzech czwartych zapisanych na studia. Ostro kontrastowało z tym „zachowanie […] studentów Żydów", którzy nierzadko „przyjęli wręcz wrogą postawę wobec nowo powstałej państwowości polskiej". Wobec czego pojawiały się rezolucje poszczególnych uczelni, wprowadzające sankcje wobec żaków unikających wypełnienia „narodowego obowiązku". Lemkin usiłował więc dowieść, że pracował ochotniczo w kancelarii ulokowanego w Wołkowysku Sądu Polowego Etapu II Armii.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Przedstawiony dokument okazał się jednak oparty na potwierdzeniu nieprawdy przez kancelistę, niejakiego Michała Schneeweissa, też zresztą akademika. W rezultacie Lemkina wydalono z krakowskiej uczelni, aczkolwiek nie zakazano mu studiowania gdzie indziej. Skwapliwie z tego skorzystał, przenosząc się na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Oprócz uczęszczania na wykłady i przystępowania do kolejnych egzaminów zaczął zgłębiać tam wiedzę dotyczącą szeroko wtedy dyskutowanej eksterminacji Ormian przez Turków. Temat ten stanowił uwerturę do jego przygody z prawodawstwem.

Profesor Szawłowski obala również inne legendy orbitujące wokół curriculum vitae opisywanego. Choćby sprawa świadectwa dojrzałości. Podobno uzyskanego w Polskim Gimnazjum Realnym w Białymstoku latem roku 1919. Jednak owego czasu egzaminy maturalne odbyły się tam tylko w klasach żeńskich, a nazwisko Lemkin nie figuruje w szczęśliwie zachowanej dokumentacji uczniów tej szkoły. Wprawdzie nie można wykluczyć, że mógł zdać maturę eksternistycznie, ale dowodów na to brak. In dubio pro reo, jak głosi starorzymska paremia.

OD TŁUMACZA DO ADWOKATA

Ukończywszy w roku 1926 studia – notabene „patrząc na lata akademickie pod kątem całości uzyskanych ocen, nie jawi się on jako absolwent wyróżniający się wynikami w nauce" – zaistniał w piśmiennictwie. Zrazu skandalizująco. Napisał artykuł usprawiedliwiający krawca Szoloma Schwarzbarta, emigranta żydowskiego z Ukrainy, który w Paryżu zastrzelił atamana Symona Petlurę. Ba, Lemkin określił ten zamach jako „piękną zbrodnię". Nic dziwnego, że miał kłopoty z publikacją. Prawdopodobnie zamieścił tekst w gazecie żydowskiej, gdyż „żadne pismo prawnicze ani poważna prasa takiej pochwały nie zechciałoby ogłosić". W tym samym czasie debiutował w roli… tłumacza, przekładając na polski opowiadanie pt. „Noach i Marynka" pióra Chaima Nachmana Bialika, wybitnego prozaika hebrajskojęzycznego.

Trzy lata później umiejętności lingwistyczne wykorzystał w jurystyce, opracowując translację kodeksu karnego faszystowskich Włoch. Dołączył wtedy do grona teoretyków prawa, ogłaszając cenione dysertacje. Największy rezonans uzyskała ta zatytułowana „Sędzia w obliczu nowoczesnego prawa karnego i kryminologii". Jej entuzjastycznym recenzentem był lwowski adwokat Izydor Reisler, który po drugiej wojnie światowej przeistoczył się w Jerzego Sawickiego, prokuratora oskarżającego przed sądem zbrodniarzy niemieckich i pedagoga karnistę na Uniwersytecie Warszawskim. Czemuż zatem cieszący się coraz większą renomą Lemkin zdecydował się w roku 1936 porzucić obiecująco się rozwijającą działalność naukową na rzecz palestry?

RYSZARD SZAWŁOWSKI
„RAFAŁ LEMKIN. BIOGRAFIA INTELEKTUALNA"
SEDNO WYDAWNICTWO AKADEMICKIE, WARSZAWA 2020

Na Zachodzie nagłaśnia się teorię, że stanowiło to plon antysemickich prześladowań, których rzekomo doświadczył w II Rzeczypospolitej. W rzeczywistości do adwokatury przeniósł się skuszony zarobkami. Zasiedlił czteropokojowy apartament w luksusowym budynku (szczęśliwie zachowanym do dziś) przy ul. Kredytowej 6 w Warszawie. Lokal służył właścicielowi także jako kancelaria prawna. Naprzeciwko otworzył niebawem podwoje dancing Kakadu. Pionierski w sensie technologicznym, tony taneczne pochodziły z płyt uruchamianych przez protoplastów dyskdżokejów. Czy tam zapoznał Emanuela Schlechtera, autora tekstów wielu muzycznych evergreenów? Znajomość zaowocowała kolejnymi kwotami na koncie mecenasa, dbającego o interesy tekściarza, niekiedy wprowadzanego w błąd przy okazji wykorzystywania jego twórczości w fonografii czy przez knajpianych grajków. Za sprawą klienta Lemkin trafił na artystyczne salony. Na imieninach, jesienią 1938 r., w restauracji Hotelu Rzymskiego gościli: piosenkarz Adam Aston, aktorzy: Michał Znicz i Stanisław Sielański, reżyserzy: Stanisław Szebego, Juliusz Gardan i Leon Trystan, kompozytorzy: Szymon Kataszek oraz Henryk Wars, dziennikarz Henryk Liński, adwokaci: Jan Lesman (Brzechwa), Gustaw Beylin, Mieczysław Ettinger, Henryk Kon… Zwraca uwagę wyłącznie męskie towarzystwo. Czyżby solenizant był mizoginem? Wszak do śmierci pozostał w stanie kawalerskim.

GRANICE UCIECZKI

Warszawę opuścił 7 września 1939 r. na radiowe wezwanie płk. Romana Umiastowskiego, nawołującego mężczyzn zdolnych do noszenia broni, by udali się za Bug, gdzie miano formować nowe jednostki naszej armii. Półtora roku później Lemkin, dyskontując swe wpływowe koneksje naukowo-prawne, dotarł do USA. Trasa tej niebezpiecznej eskapady wiodła przez Wilno, Kowno, Rygę, Sztokholm, ponownie Rygę, tym razem już sowiecką, Moskwę, Władywostok, Jokohamę, Vancouver aż do Seattle. Funkcjonujące za granicą opowieści, że uczestniczył w kampanii wrześniowej, a następnie zbiegł spod okupacji niemieckiej via Wiedeń, można włożyć między bajki.

W Stanach Zjednoczonych zyskał wkrótce renomę niestrudzonym zaangażowaniem w walkę o zapobieganie i karanie ludobójstwa. Właśnie z tego powodu zgłaszano jego kandydaturę do pokojowego Nobla, niestety bez powodzenia. Dostrzegłszy komunistyczną infiltrację, której w znacznej mierze uległy amerykańskie elity, nie krył poparcia dla działalności komisji senackiej pod egidą Josepha McCarthy'ego, bezkompromisowo rozpatrującej tę kwestię. Być może i to wpłynęło na załamanie kariery Lemkina, ale – gwoli ścisłości – nie miał też łatwego usposobienia i często popadał w konflikty personalne, toteż kariera akademicka stała się dlań jedynie efemerydą. Zmarł nagle (zawał serca) – w ubóstwie – mając zaledwie 59 lat.

Przeszedł długą drogę. „Od dość daleko posuniętego zapomnienia, przez kilkadziesiąt lat po śmierci, do szerokiego międzynarodowego powrotu pamięci i rosnąco wysokiej oceny jego pracy na początku XXI w. Kiedy został najbardziej rozpoznawalnym prawnikiem międzynarodowym minionego stulecia. I to w skali światowej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ryszard Szawłowski – (1929, Wilno–2020, Warszawa) absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, prof. dr nauk prawnych. Po publikacji na Zachodzie krytycznego artykułu o finansach komunistycznej Polski spotkał się z atakami ze strony Ministerstwa Finansów, co przyczyniło się do decyzji o emigracji. Na Zachodzie badał prawo finansowe, był profesorem na Uniwersytecie w Calgary, wykładał gościnnie na wielu uczelniach. Do Polski wrócił w roku 1990. W latach 1995–2001 zasiadał w Kolegium Najwyższej Izby Kontroli.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Olivier Bault

Czy Francja może wyjść z NATO?

Francuscy politycy uważają, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zdradziły ich, tworząc potajemnie nowy sojusz z Australią. Padają mocne słowa

Pytanie o sens NATO i o nieuleganie dominacji amerykańskiej powraca co jakiś czas we francuskiej debacie publicznej i nie mogło nie być zadane ponownie po ujawnieniu przez Stany Zjednoczone, Australię i Wielką Brytanię nowego sojuszu pod nazwą AUKUS (od pierwszych liter nazw: Australia, United Kingdom, United States) wynegocjowanego w tajemnicy. Zawarcie tego sojuszu wymierzonego w komunistyczne Chiny wiązało się z wycofaniem się Australii z „umowy stulecia" na zakup 12 francuskich okrętów podwodnych z napędem klasycznym, podpisanej przez Paryż i Canberrę w 2016 r. Zamiast tego Canberra postanowiła nabyć amerykańskie okręty podwodne z napędem atomowym, z jednoczesnym transferem technologii będącej do tej pory w wyłącznym posiadaniu państw posiadaczy broni atomowej (m.in. Francji). Kontrakt na sprzedaż łodzi podwodnych francuskiego Naval Group miał być częścią partnerstwa zawiązanego „na 50 lat", a zatem „zdrada" – czy „cios w plecy" – ze strony amerykańskich i brytyjskich sojuszników, o której zgodnie mówiła francuska klasa polityczna, dotyczy nie tylko wymiaru biznesowego, lecz także sytuacji Francji w rejonie Oceanu Spokojnego, gdzie leżą francuskie posiadłości w postaci wysp Nowej Kaledonii, Wallis i Futuny oraz Polinezji Francuskiej. To w dużej mierze dzięki tym licznym wyspom na Pacyfiku Francja jest drugim krajem na świecie pod względem posiadanej wyłącznej strefy ekonomicznej (obszaru rozciągającego się do 200 mil morskich od linii brzegowej) tuż za Stanami Zjednoczonymi i daleko przed Australią.

BRYTYJCZYCY I USA ZA PLECAMI FRANCJI

Według wysoko postawionych francuskich źródeł przytoczonych w artykule w „Le Figaro" pod tytułem „Za kulisami

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Francuzi uznali, że Brytyjczycy i Amerykanie ich zdradzili. Na zdjęciu: prezydent Francji Emmanuel Macron FOT. CHRISTIAN HARTMANN/REUTERS/FORUM

zdrady stulecia", gdy w czerwcu tego roku premier Australii Scott Morrison wspomniał podczas wizyty w Paryżu o ewolucji potrzeb swojego kraju w obliczu wzrostu militarnego zagrożenia ze strony Chin, Francuzi dali do zrozumienia, że gotowi są renegocjować umowę z uwzględnieniem możliwej zmiany okrętów podwodnych na jednostki z napędem nuklearnym. Natomiast ani premier Morrison, ani premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson czy prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden, którzy mieli między sobą uzgadniać ostatnie szczegóły nowego sojuszu AUKUS na Pacyfiku podczas odbywającego się kilka dni wcześniej szczytu G7 w Kornwalii, nie pisnęli Francuzom ani słowa o swoich pertraktacjach trwających od kilku miesięcy. To Amerykanom i Brytyjczykom Francuzi mają najbardziej za złe woltę Australii. Konflikt z Australią Paryż traktuje raczej w kategoriach obrony własnych interesów narodowych i pogwałcenia postanowień kontraktu, zgodnie z którymi Canberra będzie musiała wypłacić Francji odszkodowanie. Natomiast pertraktacje Londynu i Waszyngtonu za plecami Paryża Francuzi traktują w kategoriach zdrady.

Zwykle oszczędny w słowach minister spraw zagranicznych rządu Jeana Castexa, Jean-Yves Le Drian, mówił o „kłamstwie", „dwulicowości" i „pogardzie" oraz o „zachowaniu nie do zaakceptowania ze strony sojuszników i partnerów". „Ta jednostronna, brutalna, nieprzewidywalna decyzja jest bardzo podobna do tego, co robił pan Trump" – stwierdził Le Drian, choć takiego kryzysu w relacjach między Francją a Stanami Zjednoczonymi za czasów poprzednika Joe Bidena nigdy nie było. Rzecznik rządu Gabriel Attal powiedział o „zniszczonym zaufaniu", a prezydent Francji postanowił 17 września, po raz pierwszy w historii, wezwać na konsultacje do Paryża ambasadorów Francji w Stanach Zjednoczonych i Australii, jednocześnie tłumacząc brak podjęcia takiego kroku wobec Wielkiej Brytanii tym, że Londyn miałby być „drugorzędnym wspólnikiem" czy też „piątym kołem u wozu" w amerykańsko-australijskim sojuszu i że znany jest „ciągły oportunizm" Brytyjczyków.

Sekretarz stanu ds. europejskich Clément Beaune (ten, który ubolewał podczas ostatniej wizyty w Polsce, że nie dano mu możliwości odwiedzenia jednej z tych słynnych „stref wolnych od LGBT") zakomunikował Londynowi, że zachowanie Wielkiej Brytanii będzie miało przełożenie na stanowisko Francji w sprawie renegocjacji tzw. protokołu północnoirlandzkiego do umowy brexitowej. Protokół ten w obecnej formie stał się powodem do niepokojów społecznych, gdyż unioniści nie mogą zgodzić się na kontrole graniczne towarów między Irlandią Północną a resztą Zjednoczonego Królestwa. Beaune jednocześnie kpił z projektu „Global Britain", który miał przywrócić Zjednoczonemu Królestwu świetność w wymiarze światowym, a stał się według niego „formą wasalizacji" wobec Amerykanów.

CO Z SOJUSZEM?

Co prawda, powrót ambasadora Francji do Waszyngtonu został ogłoszony już 22 września tuż po rozmowie telefonicznej prezydentów obu krajów, o którą zabiegał Joe Biden po wybuchu kryzysu w stosunkach dwustronnych, jednak wcześniej minister spraw zagranicznych Francji zdążył zapowiedzieć, że to, co się stało, zaważy na definiowaniu nowej koncepcji strategicznej NATO. Można zatem w tej sytuacji domniemywać, że może to także zaważyć na definiowaniu koncepcji strategicznej przyszłej obrony europejskiej wymarzonej przez Francję i w której Wielka Brytania miała odegrać ważną rolę pomimo brexitu, gdyż kraj ten jest, obok Francji, jednym z dwóch krajów europejskich w posiadaniu broni atomowej i zdolnych przerzucać siły wojskowe na inne kontynenty. Znamienne jest to, że po ujawnieniu istnienia sojuszu AUKUS francuska minister obrony narodowej Florence Parly odwołała zaplanowane, cykliczne spotkanie ze swoim brytyjskim odpowiednikiem Benem Wallace'em.

W kontekście przyszłorocznych wyborów prezydenckich warto także zwrócić uwagę na to, co mówią główni kandydaci na najwyższy urząd Republiki Francuskiej. Wiadomo, że wschodząca gwiazda francuskich sondaży, jeszcze nie kandydat (przynajmniej w momencie pisania tego tekstu) Éric Zemmour, z zawodu eseista, publicysta i dziennikarz, jest zwolennikiem wypowiedzenia sojuszu północnoatlantyckiego (ale nieopuszczenia Unii Europejskiej czy nawet strefy euro, przynajmniej na razie) i układania równie przyjacielskich stosunków ze Stanami Zjednoczonymi jak z Rosją. Jego stanowisko nie wynika jednak z wrześniowego kryzysu na linii Paryż–Londyn–Waszyngton. Natomiast w obliczu tego, co zaszło, gaullista Zemmour żąda, aby Macron wycofał udział Francji w tzw. szczycie demokracji, który ma zamiar zorganizować amerykański prezydent.

W ostatnich wyborach prezydenckich liderka Frontu Narodowego (dziś Zjednoczenie Narodowe, RN) Marine Le Pen postulowała opuszczenie struktur dowodzenia NATO, ale bez wypowiedzenia samego sojuszu północnoatlantyckiego. Oznaczałoby to powrót do sytuacji sprzed 2009 r., kiedy to za prezydenta Sarkozy'ego Francja powróciła do zintegrowanego dowodzenia NATO po ponad pół wieku nieobecności.

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Po zerwanym przez Australię kontrakcie na zakup francuskich łodzi podwodnych Le Pen wznowiła to żądanie w sposób absolutnie jednoznaczny, mówiąc: „Musimy wycofać się ze zintegrowanego dowództwa NATO, ponieważ uważam, iż w tych warunkach nie mamy absolutnie żadnego interesu, aby tam być".

Jeśli chodzi zaś o trzech potencjalnych kandydatów centroprawicy, to Xavier Bertrand (były minister Sarkozy'ego), stojący dziś na czele regionu Hauts-de-France, zażądał zwołania szczytu NATO, aby móc na nim „zadać pytanie o zaufanie do Amerykanów". Bertrand stwierdził też, że jeśli odpowiedzi nie będą satysfakcjonujące, to należałoby rozważyć opuszczenie struktur dowodzenia NATO.

Jego konkurentka, Valérie Pécresse, przewodnicząca rady regionu Île-de-France (obejmującego Paryż), zapytała wprost o sens bycia w NATO, a także o sens francusko-brytyjskiego porozumienia o współpracy wojskowej podpisanego w 2010 r. przez prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego i premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona. Pécresse mówiła też o potrzebie „masowych inwestycji" we francuską strategię odstraszania nuklearnego oraz budowy drugiego lotniskowca jako warunkach niezbędnych do samodzielnej obrony interesów i terytoriów francuskich w Europie i na świecie.

Trzeci z potencjalnych kandydatów centroprawicy – Michel Barnier (ten, który wynegocjował brexit z ramienia Komisji Europejskiej) – zrównał Stany Zjednoczone z Chinami, jeśli chodzi o ochronę interesów francuskich w obszarze Oceanu Spokojnego, mówiąc: „Musimy zastanowić się nad własnymi błędami w tym wielkim regionie", z którego „Amerykanie i Chińczycy [...] chcą nas wyrzucić".

Na posiedzeniu komisji Zgromadzenia Narodowego ds. obrony narodowej i sił zbrojnych z marca 2009 r., gdy rozmawiano o projekcie powrotu do zintegrowanego dowództwa sojuszu, Hubert Védrine (były minister spraw zagranicznych w latach 1997–2002) wypowiedział jedno znaczące zdanie: „Michel Barnier powiedział mi, że Condoleezza Rice [sekretarz stanu USA – przyp. red.] wyjaśniła mu kiedyś bez ogródek, iż NATO jest instrumentem wpływów USA w Europie i nie ma mowy o zmianie tego stanu rzeczy". Dziś, po aferze z łodziami podwodnymi, sam Barnier konsekwentnie podkreśla, że należy przeciwstawić się „wasalizacji" Francji przez USA.

Dodajmy jeszcze, że najbardziej popularny według sondaży kandydat lewicy, trockista Jean-Luc Mélanchon, był i nadal jest, podobnie jak prawicowiec Éric Zemmour, zwolennikiem wypowiedzenia traktatu północnoatlantyckiego.

BURZLIWA WSPÓŁPRACA

Stosunki Francji z NATO zawsze były dość burzliwe, nawet za czasów istnienia Związku Sowieckiego i Układu Warszawskiego, kiedy trudno było podważać potrzebę takiego sojuszu obronnego w Europie, chyba że było się wówczas komunistą. W 1958 r., kiedy gen. Charles de Gaulle został prezesem rady ministrów ostatniego rządu IV Republiki, zażądał od amerykańskiego prezydenta Dwighta Eisenhowera i brytyjskiego premiera Harolda Macmillana zmiany modelu funkcjonowania NATO – tak, aby wszelkie decyzje w ramach Organizacji Paktu Północnoamerykańskiego były podejmowane jednomyślnie przez wszystkie trzy zachodnie mocarstwa nuklearne. Po tym, jak Waszyngton odmówił podjęcia rozmów na ten temat, de Gaulle stopniowo wycofywał siły francuskie spod władzy dowództwa zintegrowanego sojuszu aż do wyrzucenia w 1966 r. z terytorium Francji wszystkich sił amerykańskich w liczbie ok. 70 tys. żołnierzy. To wtedy siedziba NATO przeniosła się z Paryża do Brukseli. We wrześniu 1965 r. de Gaulle, już jako wybrany w wyborach powszechnych prezydent V Republiki Francuskiej, oznajmił: „Pozostaniemy sojusznikami naszych sojuszników", ale „kiedy wygasną zobowiązania, które podjęliśmy w przeszłości, to znaczy najpóźniej do 1969 r., podporządkowanie określane jako integracja, które przewiduje NATO i które oddaje nasz los w obce ręce, przestanie istnieć, jeśli o nas chodzi".

Francja 28 września podpisała dwustronne porozumienie z Grecją, które jest wyraźnie wymierzone w Turcję

Po incydencie z marynarką turecką w czerwcu 2020 r. (tureckie okręty wojenne miały trzykrotnie naświetlić francuską fregatę radarem naprowadzającym) i braku wyraźnego wsparcia ze strony pozostałych sojuszników NATO Paryż postanowił wycofać się z udziału w misji NATO u wybrzeża Libii. „Naszym zdaniem jest to bardzo poważna sprawa" – oznajmiła wtedy minister obrony narodowej Francji Florence Parly. – Nie możemy zaakceptować takiego zachowania sojusznika, który robi to przeciwko okrętowi NATO pod dowództwem NATO, realizującemu misję NATO".

Konflikt między Turcją a Francją w Libii przeniósł się następnie na wody wschodniego Morza Śródziemnego, kiedy Francja – jako jedyny kraj NATO i Unii Europejskiej – stanowczo stanęła po stronie greckiej, wysyłając lotniskowiec i myśliwce na wspólne manewry z siłami greckimi w obliczu agresywnej polityki i gróźb Recepa Erdoğana. Dziś, podczas gdy np. Polska zacieśnia stosunki z Turcją, Francja 28 września podpisała dwustronne porozumienie z Grecją, które jest wyraźnie wymierzone w Turcję. Zawiera ono – poza umową sprzedaży Grecji trzech fregat (z opcją na czwartą) i dodatkowych sześciu myśliwców wielozadaniowych Rafale, po 18 zakontraktowanych w ubiegłym roku, u szczytu napięć między Atenami a Ankarą – zobowiązanie do wzajemnego wsparcia, również zbrojnego, w razie agresji państwa trzeciego, chociażby kraj ten miał być także członkiem NATO.

Prezydent Emmanuel Macron i premier Kyriákos Mitsotákis ubrali układ dwustronny w piękne słowa o europejskim filarze NATO i o europejskiej obronie. Jednak z mrzonkami o wspólnej obronie europejskiej nie ma to wiele wspólnego. Zresztą Paryż zawsze postrzegał europejską obronę bardziej jako wzmocnienie swoich dość ograniczonych w stosunku do własnych ambicji sił zbrojnych niż jako nową siłę dowodzoną z Brukseli, na rzecz której Francja mogłaby zrzec się własnej suwerenności w sferze wojskowej.

Czy nie wystarczyło, aby TSUE wydał w tym roku wyrok dotyczący godzin pracy wojskowych, aby cała francuska klasa polityczna zgodnie orzekała, że wyrok ten jest bezprawny i należy go zignorować, skoro UE nie ma kompetencji w sferze militarnej? Niedługo potem były negocjator brexitu i były komisarz europejski ds. rynku wewnętrznego, kandydujący dziś do roli kandydata centroprawicy w przyszłorocznych wyborach europejskich, stwierdził, że Francja musi poskromić ambicje TSUE i odzyskać bezprawnie odebraną suwerenność. Brzmi znajomo?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

ANIOŁY W LEGENDACH POLSKICH DIABŁY W LEGENDACH POLSKICH
HERBERT OLESCHKO

Poznaj legendy o dobrych i złych duchach z całej Polski. W doskonale opracowanych opowieściach znajdziesz zarówno św. Kingę, polskich królów, jak i Borutę, diabelskiego Bazyliszka i czarnoksiężnika Twardowskiego.

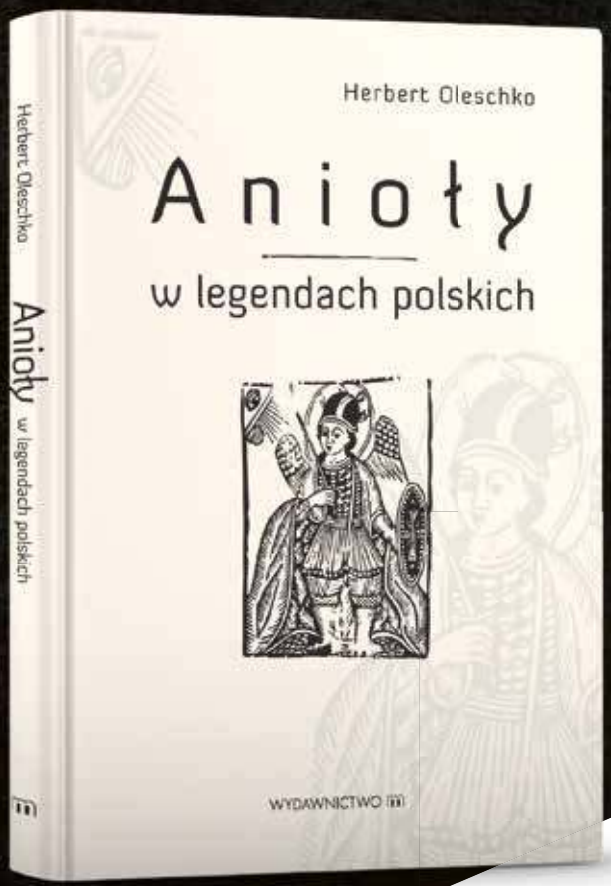

Anioły – sprzymierzeńcy, pomocnicy i opiekunowie

Fragment legendy lubelskiej

„Czy może istnieć silniejsza motywacja do walki, niż gdy zachęca do niej sam wódz anielskich hufców? Jakże nie wierzyć w zwycięstwo, jeżeli obiecuje je sam św. Michał Archanioł? Jakże potężna niewidzialna siła drzemie w miejscu, gdzie niezwykłej wizji doświadcza książe Leszek Czarny. Moc pradawnego drzewa kumuluje się tu z mocą wzgórza dominującego nad miastem. Nawet jeżeli istniały tu kiedyś moce pradawnych bóstw, to zostały one wchłonięte przez wielkiego Archanioła i przekształcone w dobrą energię duchową, gwarancję boskiej ochrony dla mieszkających »na nizinach« (...) ".

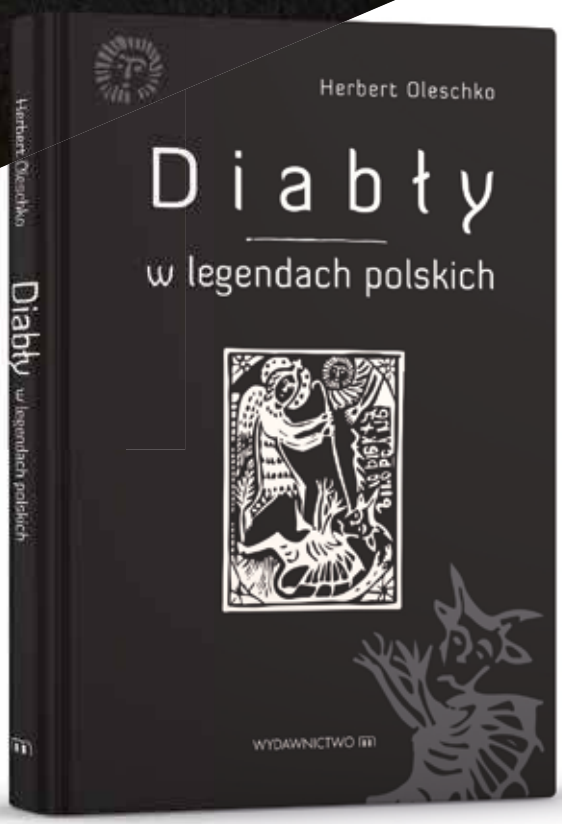

Diabły – wrogowie Boskiego ładu, wichrzyciele i buntownicy

Fragment legendy łęczyckiej

„Siwy Boruta, kiedy pił, a pił nie lada, bo najtęższi bracia piskorze nie mogli go przepić, zawsze pierwszą szklankę wypijał za zdrowie diabła Boruty, a słyszano odgłos zaraz gruby, przeciągły: Dziękuję! Siwy Boruta miał dużo pieniędzy, ale wkrótce w hulance roztrwonił, postanowił przeto dostać się do skarbów i wziąć z parę mieszków złota od swego miłegopana brata, jak nazywał diabła Borutę (...)".

Życzę wszystkim Czytelnikom, aby przytoczone tu legendy oraz materiały objaśniające skłoniły Was do refleksji nad sprawami niewidzialnymi.

Herbert Oleschko – ekspert w dziedzinie angelologii

MUZEUM ŚLĘŻAŃSKIE

Pismo Folkowe

HISTORIA.ORG.PL

POWIAT ŁĘCZYCKI

WYDAWNICTWO

ZAMÓW tel. 12 259 00 03
wydawnictwom.pl

eprasa.pl 57b2f5d2e1

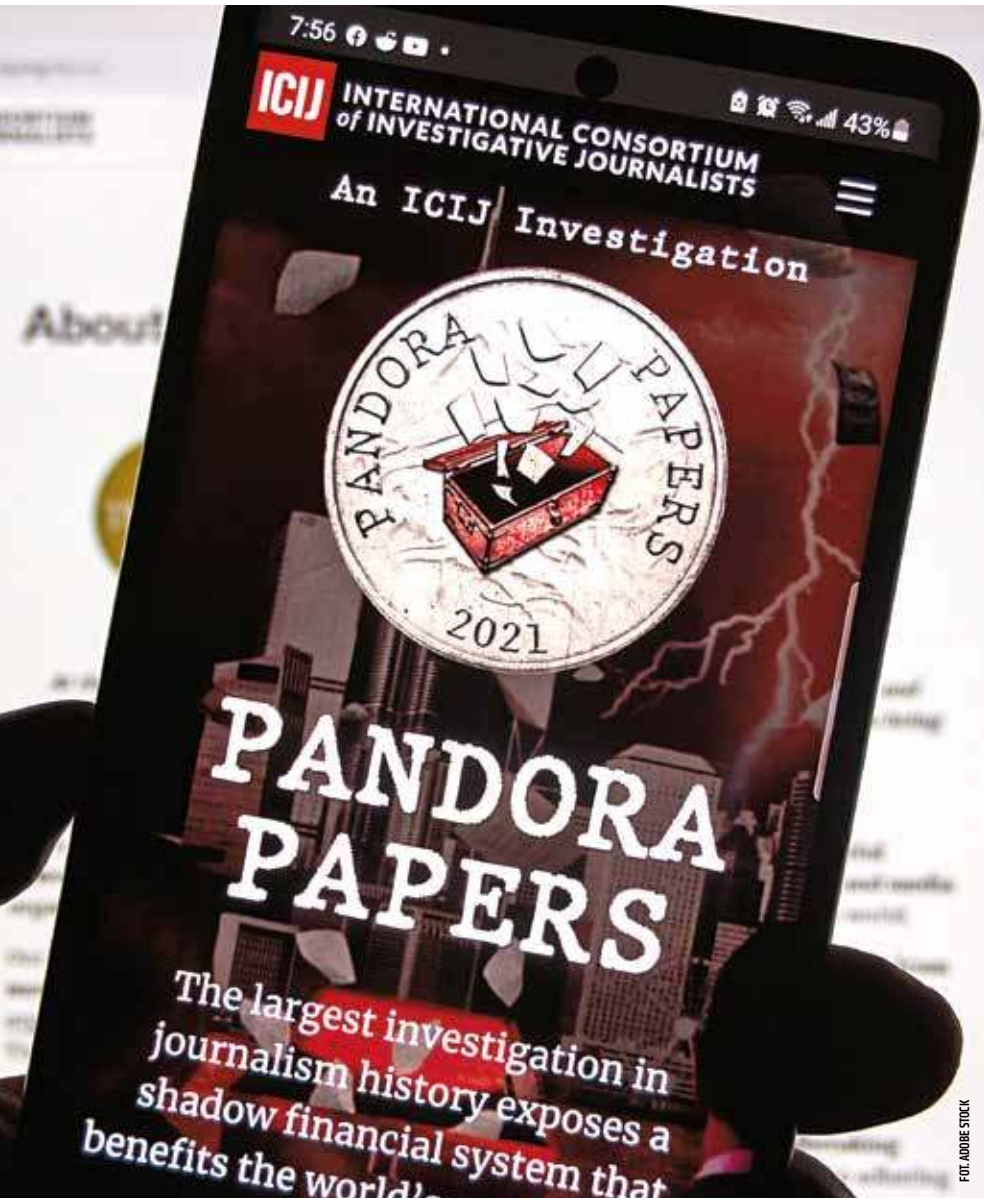

FOT. ADOBE STOCK

Piekło zamiast raju

Jacek Przybylski

Do końca roku Bruksela ma przedstawić nowe propozycje przepisów w sprawie walki z unikaniem opodatkowania i uchylaniem się przed nim. To efekt dziennikarskiego śledztwa, w którym pojawiają się nazwiska m.in. premiera Czech, prezydenta Ukrainy czy holenderskiego ministra, a także monarchów, wpływowych biznesmenów oraz celebrytów

Według BBC to największe w historii międzynarodowe śledztwo dziennikarskie. Nad materiałami Pandora Papers pracowało Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych, czyli ponad 600 dziennikarzy ze 117 krajów świata. Przeanalizowali oni ok. 12 mln e-maili, nagrań audio i wideo, plików księgowych, formularzy rejestracyjnych oraz innego typu materiałów pochodzących od kilkunastu firm świadczących usługi finansowe m.in. na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, w Panamie czy na Seszelach.

Publikacja efektu ich prac zatrzęsła światem polityki i biznesu. Z ujawnionych dokumentów ma bowiem wynikać, że nazwiska 35 obecnych i byłych światowych przywódców pojawiają się w przeanalizowanych aktach spółek offshore. Na liście Pandora Papers znalazło się również ponad stu miliarderów, kilkudziesięciu urzędników państwowych oraz kilkunastu znanych na całym świecie celebrytów pochodzących niemal z całego globu, od Australii aż do Chile.

OD BABIŠA I BLAIRA...

Jednym z wysokiej rangi polityków, który przez aferę Pandora Papers wpadł w poważne tarapaty, jest były premier Andrej Babiš. Niecały tydzień przed wyborami parlamentarnymi w Czechach dziennikarze poinformowali, że Babiš – drugi najbogatszy człowiek w kraju – kupował za pośrednictwem

eprasa.pl 57b2f5d2e1

spółek rejestrowanych w rajach podatkowych luksusowe rezydencje na francuskim Lazurowych Wybrzeżu. Szef rządu w Pradze miał kupić 16 nieruchomości o wartości 400 mln koron (ok. 70 mln zł), w tym romantyczny zameczek Bigaud na Riwierze, z własnym kinem oraz dwoma basenami.

Do przeprowadzenia transakcji na francuskim rynku nieruchomości miał wykorzystać swoją firmę założoną na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych dzięki pomocy francuskiej i panamskiej kancelarii prawnej. Według portalu investigace.cz Andrej Babiš wniósł do spółki w raju podatkowym 15 mln euro, które następnie w formie pożyczki zostały przekazane firmie zarejestrowanej w stolicy Stanów Zjednoczonych. Po przeprowadzeniu transakcji na francuskim rynku nieruchomości obie spółki zostały zlikwidowane.

Ujawniona informacja może znacząco zaszkodzić czeskiemu premierowi, który próbował kreować się na wojownika walczącego z nieprzejrzystymi biznesami z rajów podatkowych. „Czekałem, co na mnie wyciągną tuż przed wyborami, żeby mi zaszkodzić i wpłynąć na czeskie głosowanie" – odparł Andrej Babiš, zapewniając na Twitterze, że nigdy nie zrobił „niczego nielegalnego lub złego". – Zapłaciłem wszystkie podatki. To kompletny absurd – przekonywał premier w czeskiej telewizji, podkreślając, że jego pieniądze wyszły z czeskiego banku i były właściwie opodatkowane.

Polityczni rywale Babiša – Ivan Bartoš, lider Czeskiej Partii Piratów, oraz Petr Fiala z Obywatelskiej Partii Demokratycznej – nie zostawili na premierze suchej nitki. Publicyści przypominali zaś, że przed kilkoma laty sam Babiš zarzucał swym przeciwnikom, że korzystają z firm w rajach podatkowych, i wielokrotnie podkreślał w mediach, że on i jego firmy płacą podatki w Czechach.

Gdy zamykaliśmy ten numer tygodnika „Do Rzeczy", nie wiadomo było jeszcze, jak bardzo afera wpłynęła na wynik wyborów. Nie była to jednak pierwsza afera z Babišem w roli głównej i wcześniej wyborcy wybaczali mu różne skandale. Wielu Czechów wychodzi bowiem z założenia, że nawet jeśli konflikt interesów jest ewidentny, to gdyby oni stali na czele rządu, to też nie działaliby czysto moralnie. Andrej Babiš wspomniał już jednak, że nie jest zainteresowany ewentualnym trwaniem w opozycji i jeśli nie będzie mógł nadal rządzić, to odejdzie z polityki.

Taki scenariusz jest zaś prawdopodobny. Nawet jeśli kierowane przez premiera ANO wygra, to może się okazać, że nie będzie miało z kim sformować rządzącej koalicji. Zarówno centrolewicowa koalicja Piratów i Burmistrzów, jak i centroprawicowa koalicja SPOLU (Wspólnie) wykluczyły bowiem przyszłą koalicję z ugrupowaniem Babiša ANO. Własny komunikat na Twitterze opublikowała z kolei czeska policja, która zapewniła, że jej śledztwo obejmie „wszystkich" wymienionych w Pandora Papers obywateli Czech.

Według portalu Slidstvo.info również obecny prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski i jego współpracownicy mogli otrzymywać pieniądze od oligarchy Ihora Kołomojskiego na swoje konta w rajach podatkowych. Z ujawnionych dokumentów – według Slidstvo.info – ma wynikać, że firmy powiązane ze środowiskiem obecnego prezydenta od 2012 r. otrzymały od podmiotów związanych

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl
Pobyty: 11.10-24.10 i 24.10-20.12.2021r.

Szwedzki stół, 15 albo 25 zabiegów na 7 dni pobytu
- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Turnus Świąteczny: 20.12 - 27.12.2021r. Turnus Noworoczny: 27.12.2021 - 03.01.2022r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 57b2f5d2e1

z oligarchą 40 mln dol. Transfery miały się rozpocząć po nawiązaniu współpracy między Kwartałem 95 – wytwórnią programów kabaretowych, którą założył m.in. Zełenski – a należącą do Ihora Kołomojskiego stacją telewizyjną 1+1. Według dziennikarzy pieniądze miały przepływać za pośrednictwem kilkunastu firm zarejestrowanych na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, w Belize oraz na Cyprze. Prezydent Ukrainy odmówił dziennikarzom komentarza w tej sprawie. Jego doradca Mychajło Podolak oznajmił jednak, że chodzi o działania biznesowe sprzed objęcia fotela prezydenta przez Zełenskiego, a takie działania przedsiębiorców były konieczne, by chronić biznes przed nielegalnym przejęciem przez urzędników.

Wśród osób, które miały korzystać z rajów podatkowych, jest wymieniany np. minister finansów Holandii oraz szef koalicyjnych chadeków Wopke Hoekstra. To ten sam polityk, który w ubiegłym roku żądał wyjaśnień od rządu w Warszawie w sprawie możliwego prania brudnych pieniędzy przez ING Bank Śląski. Sprawa odbiła się wówczas w Holandii szerokim echem, a jeden z holenderskich deputowanych tłumaczył wówczas, że „to jedno z przestępstw popełnianych w białych kołnierzykach, których ludzie nie rozumieją". Holenderski minister finansów głośno deklarował zaś wolę walki z unikaniem opodatkowania. Tymczasem według dziennikarzy zaangażowanych w sprawę Pandora Papers pan Wopke Hoekstra inwestował za pośrednictwem Brytyjskich Wysp Dziewiczych, a więc jednego z rajów podatkowych.

Po wybuchu afery dziennik „Financieele Dagblad" zauważył, że wprawdzie działania Hoekstry nie były nielegalne, ale jednak pozostawały w sprzeczności z „zasadami wielkich banków i państwa holenderskiego". Na liście Pandora Papers minister finansów nie jest jednak jedynym Holendrem. Znaleźli się na niej również znani holenderscy bankowcy, w tym… przewodniczący rady nadzorczej państwowego banku ABN Amro Tom de Swaan.

WŁADZA WŁADZY NIE UPILNUJE

Sprawa Pandora Papers może mieć teoretycznie większy wpływ na rzeczywistość niż podobna afera Panama Papers z roku 2016. Pięć lat temu wśród ujawnionych nazwisk osób korzystających z mechanizmów optymalizacji podatkowej było bowiem o wiele mniej powszechnie znanych postaci. Po tamtej aferze niewiele się jednak zmieniło. Czy tym razem będzie inaczej? Nie wiadomo. Z jednej strony głośne nazwiska mocniej działają na opinię publiczną, z drugiej Panama Papers i Pandora Papers w publicznej świadomości mogą zlewać się w kolejną aferę, którą politycy i miliarderzy będą musieli jedynie przeczekać.

Teoretycznie władze różnych państw deklarują, że wezmą się wreszcie za walkę z nieprzejrzystymi funduszami. Również Bruksela ma przedstawić nowe propozycje przepisów w sprawie walki z unikaniem i uchylaniem się od opodatkowania. Nie wiadomo jednak, na ile te deklaracje są wiarygodne, skoro wielu członków tych samych władz swoje własne interesy prowadzi właśnie za pomocą rajów podatkowych. Złośliwi komentatorzy podejrzewają nawet, że prawo podatkowe celowo wciąż jest dziurawe jak sito, aby politycy i związani z rządami biznesmeni mogli bezkarnie dokonywać „optymalizacji podatkowej".

Wśród nazwisk, które wypłynęły podczas afery Pandora Papers, jest Blair. Były laburzystowski premier Wielkiej Brytanii wraz z żoną miał znaleźć sposób na uniknięcie podatku od kupna nieruchomości. Zamiast nabyć ją bezpośrednio, kupił więc w raju podatkowym firmę, która była właścicielem domu, na którym zależało Tony'emu i Cherie Blairom. Po wybuchu afery małżonka Tony'ego Blaira – znanego z koncepcji „socjalizmu etycznego" – zadeklarowała więc, że przy sprzedaży wspomnianego domu małżeństwo nie będzie już próbowało unikania płacenia podatków. Po wybuchu afery Pandora Papers rykoszetem oberwał też obecny szef rządu w Londynie Boris Johnson, bo na niechlubnej liście znalazł się jeden ze sponsorów rządzącej partii konserwatywnej. Cóż jednak się dziwić, skoro według dziennikarzy w nieprzejrzyste operacje finansowe zaangażowane było nawet Crown Estate, czyli instytucja służąca jako maszynka do zarabiania pieniędzy i zarządzania majątkiem brytyjskich monarchów. Przy okazji Pandora Papers wreszcie lepiej będzie można jednak zrozumieć, co oznacza nie do końca precyzyjny termin „brytyjskie wartości".

KONTA CELEBRYTÓW

Na niechlubnej liście Pandora Papers znaleźli się również celebryci z pierwszych stron gazet. Wygląda więc na to, że nowym hitem telewizji może być program „Jak oni… unikają". Płacenia wysokich podatków w krajach zamieszkania za pośrednictwem spółek w rajach podatkowych miały – według dziennikarzy – unikać takie gwiazdy jak Elton John, Shakira, Ringo Starr czy Julio Iglesias, który za pośrednictwem firm w rajach podatkowych miał kupić m.in. rezydencje w USA i prywatny samolot. Na liście znaleźli się też m.in. Claudia Schiffer oraz sportowcy z różnych krajów świata. Trzeba jednak podkreślać, że media, które ujawniły te informacje, zauważają jednocześnie, że wspomniane gwiazdy raczej nie naruszyły obowiązującego prawa. Transferowanie pieniędzy do rajów podatkowych jest bowiem w większości krajów legalne i to właśnie z tego powodu, gdy nazwiska wypływają na światło dzienne, prokuratura najczęściej niczego nikomu nie zarzuca.

Miłym zaskoczeniem jest zaś to, że na niechlubnej liście Pandora Papers nie ma żadnego nazwiska polskiego polityka. „Gazeta Wyborcza" napisała, że w dokumentach przewija się nazwisko Rafała Brzoski, twórcy imperium paczkomatów. Ze śledztwa dziennikarzy ma ponoć wynikać, że założyciel i prezes grupy Integer.pl (do której należy InPost) miał przesyłać pieniądze na Cypr, a następnie transferować je za pośrednictwem kolejnych zarejestrowanych na Cyprze firm.

Rafał Brzoska wydał jednak stanowcze oświadczenie, w którym zarzucił „Wyborczej" wiele błędów, „brak rzetelności" i „manipulację. „Smutne, gdy niektórzy dziennikarze, w poszukiwaniu taniej sensacji, nie rozumieją elementarnych zasad, że pożyczki NIE SĄ kosztem uzyskania przychodu :(" – zauważył biznesmen na Twitterze. Rafał Brzoska przekonuje również, że choć Integer posiada spółki na Cyprze, to nie służyły one optymalizacji podatkowej, lecz finansowaniu inwestycji w Rosji. „Niestety, zamiast skupiać się na rozwoju biznesu, nieść polską flagę na mapie Europy, udowadniać, że Polak potrafi nie tylko być pracownikiem najemnym w krajach UE, lecz także może tworzyć miejsca pracy w tych krajach – muszę spędzać czas swój i swoich pracowników na odpieraniu niezrozumiałego i taniego ataku" – podkreślił przedsiębiorca na portalu społecznościowym.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. ADOBE STOCK

PIES JAKO CZŁONEK HISZPAŃSKIEJ RODZINY

W Hiszpanii reformują kodeks cywilny. Kongres Deputowanych przyjął zmiany, które określają zwierzęta domowe jako „istoty żywe obdarzone wrażliwością". Co to oznacza? Że np. w związku z rozwodem będą uznawane za członków rodziny. Wówczas sędzia będzie decydował, kto ma pełnić opiekę nad kotem czy psem – „mama" czy „tata". Pod uwagę brać będą to samo co w przypadku dzieci – czyli m.in. warunki, w jakich zwierzę będzie przebywało. Znęcanie się nad zwierzętami zostanie zrównane z przemocą domową.

AUSTRALIA KONTRA INTERNET

Rząd Australii ma dość tego, że w mediach internetowych ludzie mogą pisać, co chcą, i to anonimowo. Premier tego kraju Scott Morrison nazwał nawet media społecznościowe „pałacem tchórzy". Ma też pomysł na szybkie rozwiązanie tego problemu. Chce zobowiązać właścicieli takich platform internetowych do tego, by ludzie mieli zakaz komentowania treści w sposób, który pozwala im pozostać anonimowymi.

LOTERIA, BY WRÓCIĆ DO DOMU

W Nowej Zelandii obywatele wracający do kraju muszą poddać się 14-dniowej kwarantannie. Problem w tym, że miejsc w hotelach, gdzie są kierowani, jest za mało. Około 17 tys. obywateli nie jest więc w stanie wrócić do domu. Co tydzień muszą brać udział w loterii, w której rozlosowuje się wśród nich wolne miejsca na kwarantannie. Władze wspaniałomyślnie zapowiedziały jednak wprowadzenie pilotażowego programu. Pozwolą obywatelom obdywać obowiązkową kwarantannę we własnych domach. Jednak do tego programu pilotażowego załapią się tylko zaszczepieni.

ZAGINIONY SAM SIEBIE SZUKAŁ

Lokalne tureckie media podały, że pod koniec września zaginął niejaki pan Beyhan Mutlu z północno-zachodniej części kraju. Miał się oddalić od znajomych w lesie, gdy był pod wpływem alkoholu. Gdy zorganizowano grupę poszukiwawczą, nieświadomy niczego dołączył się do niej. I odpowiedział, gdy zaczęli krzyczeć jego imię. Został odwieziony do domu.

PAMIĄTKA Z WULKANU

W Internecie można kupić popiół z aktywnego od września wulkanu na kanaryjskiej wyspie La Palma. Taką „pamiątkę" można kupić za 20 euro. Hiszpańskie służby już ostrzegły publicznie ludzi, że otwieranie torebeczek z czarnym granulatem nie jest dobrym pomysłem. Tamtejsze media ostrzegają, że popiół może skazić wodę, powietrze oraz żywność. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Facebook pod pręgierzem

Potężna awaria to niejedyna zła wiadomość dla Marka Zuckerberga i jego sympatyków. – Cały czas widziałam w Facebooku konflikty interesów między tym, co było dobre dla społeczeństwa, a tym, co było dobre dla Facebooka – oznajmiła była menedżerka największego portalu społecznościowego Frances Haugen, która zdecydowała się ostrzec media i polityków, że firma kierowana przez Marka Zuckerberga „przedkłada zysk nad bezpieczeństwo".

Trzydziestosiedmiolatka, która pracowała w Facebooku jako product manager w dziale zajmującym się dezinformacją, przed odejściem od technologicznego giganta skopiowała wiele wewnętrznych dokumentów firmy. Na ich podstawie dziennik „Wall Street Journal" opublikował artykuły, w których oskarżono Facebook m.in. o to, że doskonale wiedział, iż jego algorytmy nie tylko napędzają dezinformację, lecz także potęgują nienawiść, co miało przyczynić się do zbrodni na tle etnicznym w Birmie czy Etiopii. Według pani Haugen pracownicy portalu mieli też świadomość szkodliwych skutków Instagrama dla zdrowia psychicznego dzieci.

5 października opowiadała o tym przed komisją senatu. – Kierujący firmą wiedzą, jak uczynić Facebook i Instagram bezpieczniejszymi, ale nie wprowadzą koniecznych zmian, bo ponad ludzi przedkładają ogromne zyski – przekonywała sygnalistka, apelując o to, by Kongres wprowadził regulacje, które objęłyby Facebook nadzorem, podobnie jak robił to wcześniej w przypadku np. koncernów tytoniowych.

Wielu konserwatystów od dawna ostrzega, że sposób działania Facebooka, w tym cenzurowanie wybranych osób za prezentowane przez nich poglądy, osłabia demokrację. Dobrze, że teraz gigantowi przyjrzą się też liberałowie. Lepiej późno niż wcale. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Talibowie stworzyli technologię płynnej kokainy, którą łatwiej jest im przemycać. Nazywają ją „łzami Allaha"
FOT. MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH GRUZJI

Z prof. Vakhtangiem Maisaią, politologiem, ekspertem NATO, byłym doradcą prezydenta Gruzji
rozmawia Maria Kądzielska

Talibowie umacniają swoją pozycję

MARIA KĄDZIELSKA: Jak kształtuje się nowa rzeczywistość polityczna na Bliskim Wschodzie?

PROF. VAKHTANG MAISAIA: Talibowie dążą do tego, aby ich państwo zostało uznane przez społeczność międzynarodową. Nowo mianowany prezydent Abdul Ghani Baradar pragnie, aby jego rząd został zaakceptowany jako prawomocny. Z tego powodu wezwali oni amerykańskiego ambasadora do pozostania w Kabulu. Ambasada amerykańska została jednak ewakuowana, ale np. rosyjska już nie. Obecnie Moskwa prowadzi intensywne rozmowy z talibami, pragnąc wytworzyć nowy ład w regionie. Już wiemy, że trójstronny sojusz, w którego skład wchodzą Pakistan, Turcja i Azerbejdżan, zaakceptuje nowo stworzony rząd. Podobnie zrobią niemal wszystkie kraje Zatoki Perskiej. Niewątpliwie talibowie z każdym dniem umacniają swoją pozycję.

Mówimy „talibowie", ale co kryje się pod tą nazwą?

Należy zacząć od tego, że nie są oni jednolitą partią polityczną, dlatego w żargonie wojskowym mówi się o ruchu talibów, a nie o organizacji. Samo słowo „taliban" w języku arabskim oznacza ucznia lub studenta szkoły religijnej. To ugrupowania, które były szkolone w Pakistanie, w szczególności na terenach Waziristanu w lokalnych szkołach wojskowo-religijnych. Po raz pierwszy zostały one wysłane do Afganistanu jako jednostki specjalne w 1994 r. Należy przypomnieć, że podczas wojny domowej w latach 1996–2001 talibowie kontrolowali 65 proc. powierzchni kraju. Reszta pozostawała w rękach formacji o nazwie Sojusz Północny, znanej również jako Zjednoczony Muzułmański Front Ocalenia Afganistanu. Wtedy państwo talibów zostało uznane jedynie przez Pakistan, Arabię Saudyjską i czeczeńskich separatystów. W reakcji na wojnę domową NATO ogłosiło wojnę etyczną z Al-Kaidą i talibami, co wyewoluowało w amerykańską misję w Afganistanie.

Chyba cała zachodnia opinia publiczna zadaje sobie teraz to pytanie: Dlaczego amerykańskie wojska się wycofały?

Oficjalnie amerykańska misja wojskowa została zakończona sukcesem w 2014 r., kiedy ogłoszono zniszczenie Al-Kaidy. Wtedy talibowie zdali sobie sprawę z tego, że muszą stać się bardziej ruchem politycznym niż wojskowym. Założyli biuro polityczne w Dosze i rozpoczęli negocjacje ze Stanami Zjednoczonymi. Zakończyły się one w 2020 r. tzw. porozumieniem z Dohy. W imieniu administracji Donalda Trumpa pakt ten został podpisany przez Zalmaya Khalilzada. W umowie Amerykanie zgodzili się na wycofanie wojsk z terenów Afganistanu oraz pomoc w stworzeniu dialogu między talibami a oficjalnym rządem afgańskim.

Ten rząd w sierpniu tego roku został obalony przez talibów. Co zatem wojska amerykańskie osiągnęły w regionie od 2014 r.?

Celem nowej misji, po zniszczeniu Al-Kaidy, a wraz z nią międzynarodowego terroryzmu, stało się stworzenie trwałego sytemu politycznego w Afganistanie i zapewnienie stabilizacji w całym regionie. Za czasów prezydentury Baracka Obamy zmniejszono liczbę wojsk ze 100 tys. do 20 tys., co wystarczało do kontynuacji drugiej fazy afgańskiej kampanii. W tym czasie założono ok. 300 tys. instytucji państwowych na terenie całego kraju, na których miały się opierać struktury demokratycznego państwa.

Najwyraźniej te struktury okazały się za słabe. Jaki błąd popełnili Amerykanie?

Nie zrozumieli, że w Afganistanie wciąż istotniejsze pozostają nieformalne struktury władzy. Afgańczycy patrzyli na żołnierzy z misji NATO jak na okupantów. Nie szanowali rządu Aszrafa Ghaniego. Od sądów państwowych ważniejsze były lokalne rady starszych, które rozstrzygały spory, opierając się na prawie szariatu. Należy pamiętać, że afganistańskie społeczeństwo nie jest jednolite etnicznie, ale podzielone na wiele grup: największą stanowią Pasztuni, potem Tadżycy, Chazarowie, Uzbecy, Ajmakowie, Turkmeni i Balochowie. Każda z nich ma lokalne, tradycyjne struktury władzy, które talibowie respektują. Przejmując kolejne prowincje, talibowie zawsze wchodzili w dialog z radami starszych.

Jak wyglądają wewnętrzne struktury Islamskiego Emiratu Afganistanu?

Talibowie podzieleni są na cztery frakcje: nowoczesną, która jest otwarta na dialog; radykalną, która najmocniej trzyma się doktryny dżihadystycznej; fundamentalistyczną, opartą na salafizmie, oraz neutralną, która pragnie być zostawiona w spokoju. Przedstawiciele każdej z nich tworzą politbiuro, które składa się z 10 osób oraz jednego przewodnika duchownego. Państwo talibów nie jest chaotyczne, ale posiada wewnętrzne struktury. Istnieją biuro polityczne oraz komisje: militarna, ekonomiczna i sądownicza, oparta oczywiście na prawie szariatu. Rzeczywistym przywódcą talibów jest obecnie Hibatullah Achundzada, który od 15 sierpnia pełni funkcję emira Islamskiego Emiratu Afganistanu.

Czy to prawda, że jednym z głównych źródeł dochodu dla talibów jest produkcja i sprzedaż narkotyków?

Tak. Talibowie przejęli sieć narkotycznej rodziny, która pod przewodnictwem Bashara Noorzai kontrolowała 35 proc. produkcji opium na terenie kraju. Podczas ostatnich trzech lat rządów

eprasa.pl 57b2f5d2e1

talibów (1996–2001) ich dochód z handlu samym opium wyniósł 400 mln dol. Talibowie stworzyli również nową technologię płynnej heroiny, która jest wygodniejsza w przemycie i trudniej wykrywalna: 50 kg zwykłej heroiny można przetworzyć na litr płynnej heroiny. W tej postaci można ją następnie łatwo przemycać, choćby w postaci mydła w płynie. Płynna heroina funkcjonuje w Afganistanie pod nazwą „łzy Allacha". W 2014 r. sam brałem udział w zatrzymaniu i przechwyceniu 2,79 ton płynnej heroiny pochodzącej z Afganistanu na terenie Gruzji. Udało się przechwycić ciężarówkę wiozącą 92 plastikowe butelki warte setki milionów dolarów. Według gruzińskiego ministra spraw zagranicznych narkotyki usiłowano przewieść do Turcji. Talibowie we współpracy z Al-Kaidą stworzyli kanały nielegalnego przemytu prowadzące do Europy Wschodniej, a potem dalej na Zachód. Miasto Karaczi w Pakistanie to jeden z największych portów przeładunkowych narkotyków na całym Bliskim Wschodzie.

Kto jest głównym odbiorcą tych używek?

Organizacje przestępcze na terenie Europy i USA. Co ciekawe, w samym Afganistanie talibowie nałożyli specjalne obostrzenia niepozwalające na handel narkotykami wewnątrz kraju. Wszystko jest produkowane w celach przemytu. Cała operacja ma charakter czysto ideologiczny w celu osłabienia zachodnich społeczeństw i prowadzenia oddolnej wyniszczającej wojny. Ten proceder nosi nazwę „smart power". Teraz do wzmożonych transportów narkotyków dołączą również nowo zdobytą broń. Bardzo szybko organizacje przestępcze na Kaukazie, a także w Europie Zachodniej zaczną dysponować technologią, o której wcześniej mogły tylko pomarzyć.

W jaki jeszcze sposób sytuacja w Afganistanie wpłynie na region Polski?

Oprócz przemytu narkotyków i broni nasili się również lokalny terroryzm. Talibowie będą finansowo, ale również militarnie wspierać organizacje dżihadystyczne. Europa stanie przed kryzysem kolejnych fal imigrantów. Polska stanowi wschodnią flankę Unii Europejskiej. Obecnie polski rząd musi sobie radzić z dużą liczbą imigrantów z byłego ZSRS, warto zatem stworzyć nową strategię migracji. Populacja Afganistanu to blisko 40 mln osób. W styczniu i w lutym nadchodzącego roku rozpocznie się tam kryzys humanitarny, jakiego świat dawno nie widział. Ludzie będą umierać z głodu, ale również na COVID-19 (którego istnienia talibowie nie uznają), a tym samym emigracja się nasili. Będziemy świadkiem scen gorszych niż w Syrii. Państwa zachodnie staną przed koniecznością, aby w jakiś sposób na niego zareagować. Można już starać się mu przeciwdziałać. W końcu – jak zawsze – w całej tej sytuacji najmocniej ucierpią zwykli Afgańczycy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr Vakhtang Maisaia *– politolog, ekspert ds. bezpieczeństwa, profesor Międzynarodowego Uniwersytetu Kaukaskiego, ekspert NATO, były doradca prezydenta Gruzji, specjalista w zakresie geopolityki, geostrategii oraz międzynarodowych systemów bezpieczeństwa.*

REKLAMA

ZAPROSZENIE NA SPOTKANIE AUTORSKIE JACKA BARTOSIAKA

Serdecznie zapraszamy na stacjonarne spotkanie autorskie dra Jacka Bartosiaka w związku z premierą jego najnowszej książki „WOJNA W KOSMOSIE. PRZEWRÓT W GEOPOLITYCE".

Spotkanie odbędzie się 13 października 2021 r. (środa) o godz. 19:00 w Kinie Wisła na Placu Wilsona 2 w Warszawie. Wstęp wolny!

NOWOŚĆ!

OPOWIEŚĆ O WOJNIE I POKOJU – NA ZIEMI I W KOSMOSIE:

- Nieujarzmiona natura człowieka, innowacyjne technologie i śmiałkowie kosmosu
- Nowa kosmiczna gospodarka i postępująca rewolucja informacyjna
- Wielkie strategie i wielkie mocarstwa oraz rywalizacja Eurazji i Oceanu Światowego

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Piotr Włoczyk

W spór o dopuszczalność aborcji w Teksasie włączyli się zupełnie oficjalnie amerykańscy sataniści, rozpoczynając batalię prawną. Skala działalności ich „anty-Kościoła" to fenomen na tle zachodnich społeczeństw

Wydawało się, że przeciw teksańskiej ustawie zakazującej aborcji po szóstym tygodniu ciąży amerykańska lewica wyciągnęła już wszystkie swoje armaty. Podnoszono argumenty prawne (pogwałcenie wyroku Sądu Najwyższego z 1973 r.), medyczne (bez aborcji teksańskim kobietom ma grozić kalectwo lub śmierć), a także humanitarne (możliwość „zakończenia" ciąży to kwestia godności człowieka). Do tych ogranych argumentów ruchu pro-choice doszedł właśnie nowy, który paradoksalnie ustawia spór o aborcję we właściwym świetle.

Świątynia Szatańska (ang. The Satanic Temple – TST), jeden z filarów amerykańskiego ruchu satanistycznego, ogłosiła właśnie, że zamierza walczyć z teksańskimi przepisami uniemożliwiającymi jej członkom dokonywania „rytuału aborcyjnego". Nowe prawo, zwane „ustawą o bijącym sercu", zdaniem kierownictwa TST gwałci wolności religijne „wyznawców" tej „religii". Chodzi o jedno z siedmiu „przykazań" TST, które stanowi: „Ciało każdego człowieka jest nienaruszalne, podlega wyłącznie jego woli". Przedstawiciele Świątyni Szatańskiej przekonują, że aborcja to wyzwalający rytuał, będący ostateczną afirmacją ludzkiej autonomii.

„Naprawdę uważamy, że wolność wyboru to coś, co jest elementem naszej wspólnoty religijnej, i nasi członkowie powinni mieć dostęp do aborcji na gruncie wolności religijnej" – wyjaśniał amerykańskim mediom Lucien Greaves, założyciel Świątyni Szatańskiej, który postanowił zupełnie oficjalnie walczyć o prawo do „rytuału aborcyjnego". TST żąda, by tabletki poronne były wydawane dla członków tej organizacji bez żadnych ograniczeń również w Teksasie. Prawnik Świątyni Szatańskiej zwrócił się z odpowiednim

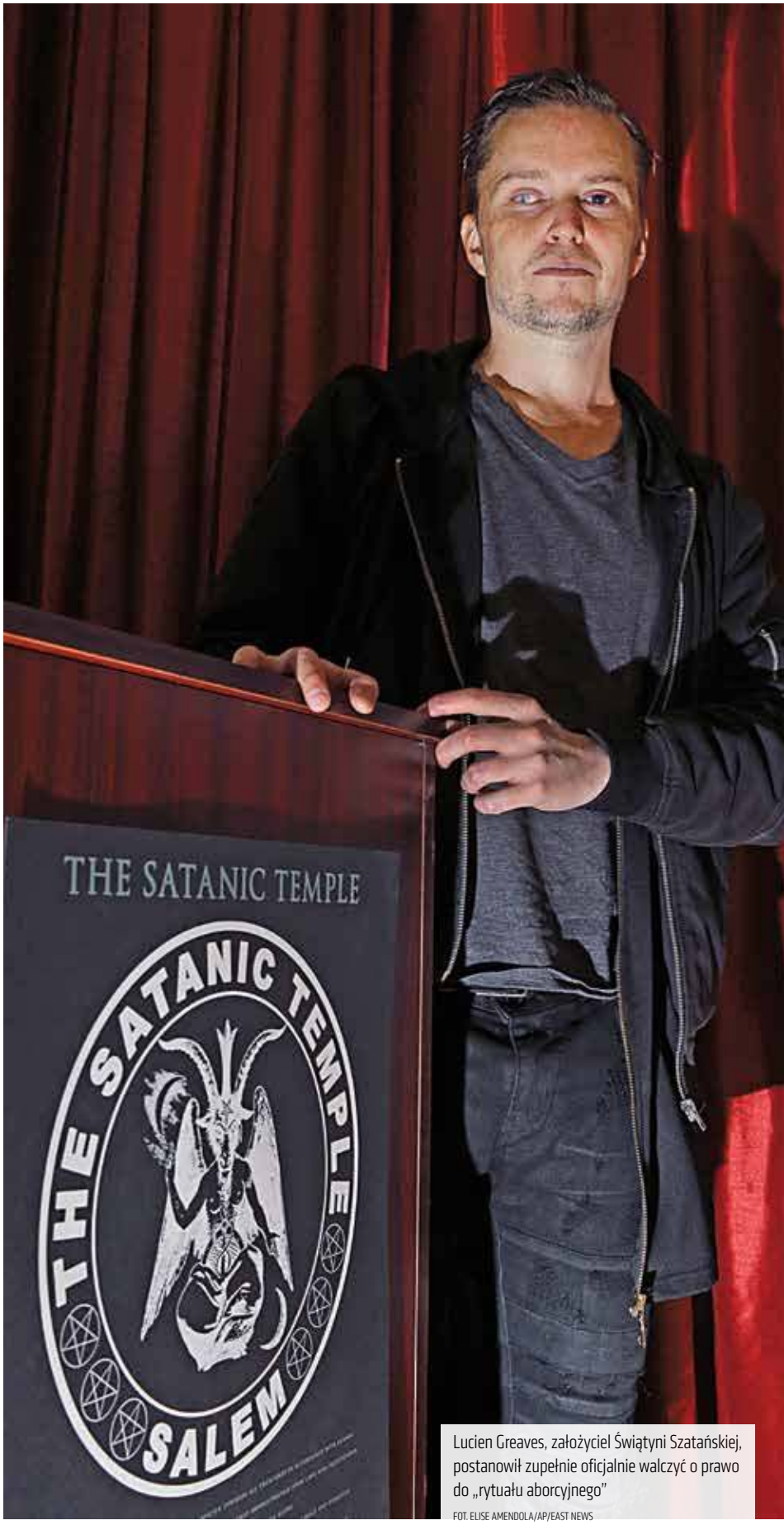

Lucien Greaves, założyciel Świątyni Szatańskiej, postanowił zupełnie oficjalnie walczyć o prawo do „rytuału aborcyjnego"

FOT. ELISE AMENDOLA/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Diabeł adwokata

pismem do Agencji Żywności i Leków, by uwzględniła postulat reprezentowanej przez niego organizacji. Dodatkowo TST zamierza pozwać władze Teksasu za rzekome naruszenie federalnej Ustawy o przywróceniu wolności religijnej (Religious Freedom Restoration Act) z 1993 r., która została uchwalona przez Kongres niemal jednogłośnie. Prawo to zabrania władzom na każdym szczeblu ingerencji w życie religijne obywateli, ale zapewne nikomu z senatorów nie przyszło wówczas do głowy, że 30 lat później sataniści ogłoszą się religią. Prawnik TST Matthew Kezhaya przekonuje, że Teksas prześladuje członków Świątyni Szatańskiej, zabraniając dokonywania aborcji po szóstym tygodniu, gdy badanie USG potwierdzi akcję serca dziecka nienarodzonego, i porównuje tę sprawę do wprowadzenia zakazu... przyjmowania sakramentów w Kościele katolickim. W zeszłym tygodniu sędzia federalny zablokował wprawdzie teksańską „ustawę o bijącym sercu", ale jest to decyzja tymczasowa, więc cała sprawa wciąż jest rozwojowa.

– Aborcja stała się dla najbardziej skrajnego sektora amerykańskiej lewicy czymś na kształt sakramentu, więc nie powinniśmy się dziwić, że ci ludzie są w stanie wysunąć każdy argument w obronie prawa do zabicia dziecka poczętego – powiedział „Do Rzeczy" John-Henry Westen, publicysta katolicki, redaktor naczelny amerykańskiego portalu Life Site News. – To w istocie odwrócenie porządku znanego z chrześcijaństwa. W naszym świecie dbanie o życie to najwyższa cnota, ale po drugiej stronie nie brak ludzi, którzy w akcie aborcji widzą ostateczne wyzwolenie człowieka. I dlatego najwięksi zwolennicy prawa do zabijania dzieci mają do tego niemal religijny stosunek.

POLITYCZNE RAMIĘ SATANISTÓW

Tygodnik „Time" nazywa TST „politycznym ramieniem" amerykańskich satanistów, którzy coraz śmielej wchodzą ze swoją ideologią na salony. Świątynia Szatańska otwarcie deklaruje, że jednym z jej celów jest lobbowanie za wyrzuceniem elementów religii z życia publicznego. Poza obroną aborcji i zwalczaniem religii TST popiera każdy rodzaj „wyzwolenia", jaki tylko można sobie wyobrazić. „Walka o sprawiedliwość jest ciągłym i koniecznym zajęciem, które powinno być nadrzędne ponad prawami i instytucjami" – stanowi jedno z siedmiu „przykazań" tej grupy satanistów.

Organizacja ta powstała w 2013 r. nieprzypadkowo w Salem w Massachusetts. Jej główna siedziba mieści się w domu pogrzebowym, a lokalne oddziały znaleźć można w kilku amerykańskich stanach (m.in. w Teksasie) oraz w Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Australii. W 2019 r. amerykańska skarbówka uznała TST za „Kościół" w rozumieniu amerykańskiego prawa podatkowego.

Lucien Greaves, główny „kapłan" TST, na temat szatana mówi to samo, co usłyszeć można z ust większości satanistów: tu nie chodzi o oddawanie czci diabłu, lecz symbolikę. Diabeł przedstawiany jest w tej opowieści jako pierwszy i doskonały buntownik. TST zasłynęła z organizowania akcji, które do czerwoności rozpalały społeczności chrześcijańskie w konserwatywnych stanach. Jedną z najgłośniejszych inicjatyw zwolenników Świątyni Szatańskiej było ustawianie przed gmachami rządowymi w stolicach stanów Oklahoma i Arkansas posągów Bafometa – bóstwa satanistów w postaci kozła siedzącego na tronie. Jakby samo to niewystarczająco miało rozsierdzić chrześcijan, twórcy dodali po obu stronach Bafometa małe dzieci z rękoma złożonymi do modlitwy, wpatrzone w koźle oczy.

W ten sposób sataniści z TST, jak sami tłumaczyli, chcieli zaprotestować przeciw wznoszeniu w miejscach publicznych pomników religijnych, szczególnie tablic z dziesięcioma przykazaniami. W obu przypadkach prowokacje Świątyni Szatańskiej spotkały się z ostrą reakcją chrześcijan – tłumy modlących się ludzi uniemożliwiły TST zainstalowanie swojego bóstwa pod gmachami stanowych władz. Grupy ubranych na czarno wyznawców szatana z przeraźliwie pomalowanymi twarzami i rogami z żalem w oczach przyglądały się, jak ich Bafomet ładowany jest z powrotem na ciężarówkę i wraca do magazynu. TST zasłynęło również z organizowania „czarnych mszy" dla studentów amerykańskich uniwersytetów.

DIABEŁ NA OKŁADCE

Świątynia Szatańska to obecnie najgłośniejsza z grup satanistycznych działających w USA, ale ruch wyznawców diabła jest za oceanem dużo szerszy. Największą „renomę" ma w tym środowisku bez wątpienia Kościół Szatana. Założył go w 1966 r. w San Francisco Anton Szandor LaVey, który zasłynął przede wszystkim jako twórca „Biblii Szatana". Książka ta zawiera całą satanistyczną teorię oraz praktykę – LaVey opisał w niej m.in. „idealną" „czarną mszę". Wszystko bazuje oczywiście na wyuzdanej seksualności, więc nie powinno dziwić, że prawo do aborcji zajmuje w satanistycznej wizji świata jedno z centralnych miejsc. LaVey tak umiejętnie zrobił wokół satanizmu show, że jego anty-Kościół już na przełomie lat 60. i 70. stał się wielotysięczną wspólnotą ludzi spragnionych kontaktu z ciemnymi mocami. Na fali rewolucyjnych zmian kulturowych i popularności LaVeya powstało wiele innych organizacji okultystycznych, co szybko zostało zauważone przez media. W 1972 r. głowa kozła wpisana w pentagram trafiła na okładkę magazynu „Time", który donosił: „Szatan powraca". Równolegle popkultura zaczęła banalizować postać diabła, robiąc z niego pociągający symbol buntownika.

– W jednym z listów św. Jan pisze o duchu Antychrysta, który pojawił się na świecie po ukrzyżowaniu Jezusa. Tymczasem od lat 60. ubiegłego wieku bardzo niebezpieczny, w swojej istocie antymaryjny, duch atakuje kobiety na całym świecie. Dla tej projektowanej przemiany kobiet kluczowym elementem jest uwikłanie ich w aborcję – powiedziała „Do Rzeczy" Carrie Gress, amerykańska publicystka, autorka książki „Opcja Maryi. Boża odpowiedź na kryzys cywilizacji". – Aborcja zmienia całe życie. Kiedyś ludzie to rozumieli, teraz to jest zagłuszane krzykiem o „prawie kobiety". Ludziom, którzy w aborcji widzą „wyzwolenie", zależy, żeby wciągnąć w to jak najwięcej kobiet.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Joanna Bojańczyk

Bitwa braci?

Harry i William wiedzą, że ich problemy należą do tych, których łatwo się nie rozwiązuje. W rodzinie królewskiej hierarchia jest ściśle ustalona. Miłość i obowiązek – jak między nimi wybierać?

Gdy pokłócą się dwaj bracia, nikt nie robi problemu. Pogodzą się prędzej czy później. Jednak kłótnia braci w rodzinie królewskiej to już sprawa poważna, jeśli nie skandal narodowy. W każdym razie patrzy świat. I komentuje. Tabloidy, zwłaszcza brytyjskie, prześcigają się w domysłach, co się właściwie zdarzyło między Williamem i Harrym Windsorami. O konflikcie między braćmi mówi się od dawna w wyższych sferach, ale także w niższych. Fakt, że w eleganckim świecie żrą się tak samo jak lud pracujący, daje temu drugiemu poczuć miłą schadenfreude.

Jeśli ktoś byłby ciekaw szczegółów, i to nie tabloidowych, ale potwierdzonych w poważnej biografii, znajdzie je w książce Roberta Laceya „The Battle of Brothers". W odcinkach drukował ją londyński „The Times".

Jest powód, żeby ustalenia pana Laceya uznawać za poważne. Rodziną królewską zajmuje się od dawna. Już w roku 1978 wydał dobrze udokumentowaną biografię królowej Elżbiety II, która stała się potem jednym ze źródeł scenariusza serialu „The Crown". Był nie tylko dociekliwym dziennikarzem, lecz także członkiem londyńskiej elity towarzyskiej, osobistym znajomym członków rodziny królewskiej. Obracał się w kręgu arystokracji. Bliskie stosunki łączyły go z lordem Snowdonem, mężem księżniczki Małgorzaty, znał księcia Filipa, jego żona była córką ósmego markiza Londonderry.

DZIEDZIC I TEN DRUGI

Dwadzieścia cztery lata temu świat oglądał zdjęcia dwóch braci, wówczas 12- i 15-letniego idących w kondukcie pogrzebowym za trumną matki, księżny Diany. Szli w jednym rzędzie z ojcem, księciem Walii, wujem lordem Spencerem i dziadkiem księciem Filipem. Dwaj bracia połączeni żałobą, wspólni w rozpaczy.

FOT. GARETH FULLER/WPA POOL/GETTY IMAGES

eprasa.pl 57b2f5d2e1

9 kwietnia tego roku znów szli za trumną – tym razem dziadka, księcia Filipa, który zmarł w wieku 99 lat. Jednak tym razem nie obok siebie. Między nimi szedł ich kuzyn, najstarszy wnuk księcia Filipa – Peter Philips. I tym razem uwaga publiczności skupiała się na domniemanym czy prawdziwym konflikcie braci, o którym angielska prasa pisała od dawna. Czy naprawdę są skłóceni? Plotkę podsycił słynny wywiad udzielony przez Harry'ego i Meghan Oprah Winfrey. W tym wywiadzie młoda para opowiadała celebryckiej dziennikarce o trudnej sytuacji w rodzinie królewskiej.

A ta boryka się z problemami, których nie spotyka się gdzie indziej i których nie rozwiązuje się w prosty sposób. Konflikt braci nie jest nowy i ma głębokie źródła w tradycji wychowywania dzieci w angielskiej rodzinie królewskiej. Od zawsze istnieją w niej: „the heir and the spare", dziedzic i ten drugi, żeby nie powiedzieć bardziej brutalnie: „część zamienna". Ten, komu przypadła mniej ważna rola, skazany jest na frustrację. Tak było z księciem Andrzejem, ulubieńcem królowej, który czuł to w stosunku do starszego brata, księcia Karola, desygnowanego na króla. To samo czuła księżniczka Małgorzata, zawsze na drugim planie wobec siostry Elżbiety, od dzieciństwa wychowywanej na królową. Protekcjonalnie traktowała ją rodzina i otoczenie w pałacu Buckingham. Podobnie było z Harrym, choć księżna Diana pilnowała, aby bracia zawsze trzymali się jak najbliżej.

Ale matki zabrakło i chłopcy dorośli. Najpierw ożenił się William, z panną co prawda z niearystokratycznej rodziny, ale Kate przyjęła bez oporów narzucone obowiązki i wymagania środowiska. Inaczej było z Meghan Markle. Gdy kilka lat później pojawiła się w życiu Harry'ego, wszystko się zmieniło. Amerykanka, rozwódka, mulatka. Pałac z trudem ukrywał niezadowolenie. Żona podsyciła frustrację Harry'ego i postanowiła na niej rozegrać swoją partię. Jej pojawienie się stało się punktem zwrotnym w relacjach braci. Przede wszystkim szybkość, z jaką doszło do ślubu, była dla rodziny królewskiej zaskoczeniem. William nie mógł zrozumieć, jak brat mógł ożenić się z dziewczyną, którą ledwo znał. On sam prowadzał się z Kate przez 10 lat, zanim została towarzyszką jego życia. Mało tego: Meghan okazała się być kobietą, która nie ma zamiaru czemukolwiek się podporządkować. Dawała to poznać od początku. Było jasne: ona narzuca reguły gry. Meghan jest fighterką, kobietą ambitną i władczą, kobietą, która nie uznaje porażki. I to zapewne przeczuwał William, radząc młodszemu bratu, aby dobrze zastanowił się nad swoją decyzją.

Jednak prawdziwym powodem ich zerwania stały się skargi personelu pałacu Buckingham na aroganckie zachowania Meghan. Opublikował je dziennik „The Times". Dwie osobiste asystentki księżnej Sussex odeszły z pracy i oskarżyły pracodawczynię o nękanie i zastraszanie. Oskarżana odpierała zarzuty i żądała dowodów, pałac Buckingham wyrażał „ubolewanie". Po czym monarchini postanowiła, że rozwiązaniem problemu powinna zająć się zewnętrzna kancelaria prawna, która dokładnie przeanalizuje zarzuty. Gdy William dowiedział się o całej sprawie, wezwał do siebie brata i zwrócił mu uwagę, że zachowanie jego żony jest niedopuszczalne. Doszło do kłótni. Wtedy William zaczął podejrzewać, że jego bratowa ma jakiś własny plan działania i bezwzględnie go realizuje. Między braćmi i ich żonami wywiązała się nieufność. Zaczęli się wzajemnie unikać.

NIE TAKA SŁODKA

Lacey twierdzi, że o ile Brytyjczycy mają wyrobione zdanie o Meghan – sądzą, że przejrzeli jej spryt i bezwzględność – o tyle nie doceniają inteligencji Kate. Ona także konsekwentnie realizuje zamierzone cele, podporządkowując się jednocześnie dworskim regułom. Działa ostrożnie, z poszanowaniem środowiska, w którym się znalazła. Lacey uważa, że w gruncie rzeczy obie kobiety są w wielu rzeczach do siebie podobne. Żadna nie wywodzi się z arystokracji, obie są starsze niż mężowie, obie mają silne osobowości.

Kate jest inteligentna – pisze Lacey – i w wielu poczynaniach rodziny królewskiej gra pierwsze skrzypce, chociaż robi to dyskretnie. Jeszcze przed ślubem Harry'ego i Megan obaj bracia razem z Kate rzucili hasło: „Heads together". Było poświęcone problemom zdrowia psychicznego. Nie bez powodu, bo przecież obaj przeszli traumę po śmierci matki, o czym otwarcie mówili. Ale William wielokrotnie podkreślał, że to pomysł Kate.

W czasie wywiadu z Oprah Meghan powiedziała: „Cały świat sądzi, że to Kate płakała przeze mnie, a to przecież ja płakałam przez nią!" (miałoby to być przy okazji mierzenia sukni druhen przed ślubem). Nie poznamy całej prawdy, ale mógłby to być przykład, że Kate nie jest wcale taka słodka, za jaką chce uchodzić.

Ale czy istotnie bracia są aż tak bardzo skonfliktowani? Jeszcze w lipcu na inauguracji pomnika upamiętniającego Dianę wydawali się bliscy, serdeczni wobec siebie, nawet uśmiechnięci. Gdy Oprah Winfrey zadała Harry'emu pytanie o stosunki z bratem, ten najwidoczniej na nie przygotowany udzielił starannie wyważonej odpowiedzi. „Wybraliśmy inne drogi, ale będziemy się kochać do śmierci, zawsze będziemy dla siebie".

Obaj bracia wiedzą, że ich problemy są z gatunku tych, których łatwo się nie rozwiązuje. Miłość i obowiązek – jak między nimi wybierać? William jako przyszły król dobrze wie, że jego rolą będzie stawać po stronie obowiązku i rozsądku. I jego decyzje będą zawsze ważniejsze niż brata. Ma bronić monarchii, Harry ma bronić żony. Uczucia Williama zawsze będą ważniejsze niż brata.

Co będzie, gdy Harry wyda wspomnienia? Można się domyślić, że będą równie krytyczne w stosunku do rodziny jak wywiad z Oprah Winfrey. Żaden wydawca nie zapłaciłby milionów za coś innego.

TOKSYCZNA RODZINA

Tymczasem państwo Sussexowie cieszą się życiem w USA. Właśnie zakończyli czterodniową podróż po Nowym Jorku pełną publicznych wystąpień, uśmiechów i troski o najuboższych. Na festiwalu Global Citizen Live w Nowym Jorku para wygłosiła przemówienie o różnicach w dostępie do szczepionek między bogatymi i biednymi. Przejęta nierównościami eksksiężna miała na sobie biżuterię wartą 135 tys. zł.

W felietonie dziennika „Daily Mail" brytyjski dziennikarz Piers Morgan nazwał książęcą parę Meghan i Harry'ego „najbardziej toksyczną rodziną królewską na świecie" i kolejny raz oskarżył ich o hipokryzję. „Ta podróż, nawet jak na ich dwulicowe standardy, ustanowiła nową, niską poprzeczkę dla hipokryzji" – stwierdził. Wytknął parze żyjącej w komfortowych warunkach udawaną troskę o losy najuboższych. „Pouczają firmy farmaceutyczne na temat »równości«, o której te uprzywilejowane, rozpieszczone primadonny wiedzą wszystko z pałacowego komfortu i swojej kalifornijskiej rezydencji" – ironizował. W rzeczywistości jest to cyniczna próba ustanowienia ich nową alternatywną rodziną królewską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Jakub Wozinski

Dopieszczanie obcego kapitału

Każda kolejna odsłona Polskiego Ładu szerokim łukiem omijała wielkie zagraniczne podmioty. Gdy wreszcie Ministerstwo Finansów zaproponowało skromną wersję podatku przychodowego, okazało się, że najmocniej ucierpią na nim polskie sieci handlowe

Po prezentacji podstawowych założeń Polskiego Ładu sprzeciw wobec zawartych w nim rozwiązań wyrażały organizacje zrzeszające rodzimych przedsiębiorców, a nawet dwa ministerstwa. Znamienne pozostaje natomiast, że głosów krytyki nie dało się usłyszeć ze strony zagranicznego kapitału obecnego nad Wisłą. Przyczyna tego jest oczywista – Polski Ład zantagonizował polskich podatników, zachowując jednocześnie niezwykle korzystne warunki prowadzenia biznesu dla dużych firm zagranicznych.

PARASOL OCHRONNY

Rząd reklamuje swój niezwykle rozbudowany pakiet zmian sloganem głoszącym: „Dla 90 proc. osób płacących podatki rozwiązania podatkowe Polskiego Ładu będą korzystne lub neutralne". Tworzy to niezwykle mylne wrażenie, że „dobra zmiana" po raz kolejny chce uszczknąć nieco najbogatszym, aby poprawić jakość życia i usług publicznych wszystkim pozostałym. W rzeczywistości jednak zaproponowane zmiany należy oceniać w kontekście całego systemu podatkowego, który obejmuje również płatników podatku od osób prawnych. Aby kilkanaście milionów Polaków mogło cieszyć się nawet z 16,5 mld zł w portfelach więcej każdego roku, rząd będzie musiał zdobyć dodatkowe wpływy do budżetu. Głównym „sponsorem" zmian będą tym samym przede wszystkim osoby samozatrudnione, mali przedsiębiorcy oraz osoby zarabiające powyżej 12,5 tys. zł brutto miesięcznie. Dlaczego tylko oni? Czy oprócz emerytów i osób najgorzej zarabiających są to jedyni uczestnicy życia gospodarczego w Polsce?

Ministerstwo Finansów roztoczyło nad niektórymi podmiotami wyjątkowo szczelny parasol ochronny, nie dopuszczając, aby nawet przez moment poczuły się zagrożone nowymi zmianami podatkowymi. Doskonale obrazuje to fakt, że gdy we wrześniu rząd zapowiedział wreszcie intencję wprowadzenia niezwykle niskiego podatku przychodowego, wyłączone z niego zostały m.in. podmioty z branży finansowej. Daninę w wysokości 0,4 proc. ma zapłacić zaledwie 10 proc. podmiotów płacących w Polsce podatek CIT, które wykazują stratę z działalności operacyjnej lub których dochód nie przekracza 1 proc. obrotu. Zdaniem ministra finansów są to właśnie firmy, które unikają płacenia podatków w Polsce. Jednak nawet jeśli rozwiązanie to wejdzie w życie, to przyniesie ono do budżetu zaledwie 2 mld zł. W porównaniu z wielokrotnie wyższymi kwotami, które w następstwie wprowadzenia w życie Polskiego Ładu odprowadzać będą dodatkowo do budżetu choćby prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą, jest to bardzo niewiele.

Na dodatek podatek obrotowy w zaproponowanym kształcie uderzy także w polską branżę handlową. Wedle deklaracji Ministerstwa Finansów nowa danina miała objąć przede wszystkim duże firmy, lecz w praktyce oberwie się także średnim i małym. Ustawodawca wyłączył z obowiązku płacenia jej m.in. banki, firmy z sektora energetycznego i lotniczego, lecz nie podmioty trudniące się handlem. Przedstawiciele branży wskazują, że przecież i tak muszą się mierzyć z podatkiem od sprzedaży detalicznej, a mimo to nakłada się na nich nowe zobowiązania. Coraz więcej wskazuje na to, że Ministerstwo Finan-

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. ADOBE STOCK/MONTAŻ: JAN

sów uczyniło to, mając świadomość, że podlegające daninie zagraniczne podmioty i tak zdołają jej uniknąć.

Nazwa „Polski Ład" niestety dość wiernie oddaje fakt, że to Polacy sfinansują wszystkie projektowane zmiany oraz wezmą na siebie ciężar narastającego skomplikowania przepisów podatkowych. Zagraniczne firmy odpowiadają aż za jedną szóstą polskiego PKB i zatrudniają ponad 2,08 mln osób, z czego aż 76 proc. zatrudnionych jest w dużych firmach (dane GUS z 2019 r.). Ów znaczny wycinek polskiej gospodarki pozostanie jednak przez Polski Ład zupełnie nietknięty.

Jak zwrócił uwagę Związek Przedsiębiorców i Pracodawców – rozwiązania przyjęte w Polskim Ładzie stwarzają „sytuację nierównej konkurencji między podmiotami o strukturze korporacyjnej a małymi, rodzinnymi firmami, które i tak są głównymi adresatami niekorzystnych zmian podatkowych". Wynika to choćby z faktu, że Polski Ład bardzo gmatwa i tak już mocno skomplikowany polski system podatkowy. Przedstawiona we wrześniu najnowsza wersja zmian ze wszystkimi poprawkami liczy blisko 700 stron Wszystko to sprawia, że polskie firmy, w szczególności te najmniejsze, stracą na konkurencyjności względem swoich zagranicznych odpowiedników.

Skrajnie niekorzystny czy wręcz upokarzający dla polskich przedsiębiorców jest fakt, że reprezentujące ich organizacje przez ostatnie miesiące walczyły z rządem o to, aby łaskawie obniżył z 9 do 4,9 proc. składkę zdrowotną, która i tak przy proponowanej wysokości i zasadach naliczania będzie się wiązała ze znaczącym wzrostem obciążeń. Jaki cel chce osiągnąć polskie państwo w sytuacji, gdy w innych państwach regionu stawka PIT dla prowadzących działalność gospodarczą jest zdecydowania niższa (jak choćby na Węgrzech), a na dodatek wiele małych firm wciąż boryka się z trudnościami związanymi z pandemią?

ŚMIERĆ NEOLIBERALIZMU CZY POLSKIEGO KAPITAŁU?

W minionych miesiącach wiceminister finansów Piotr Patkowski, zachwalając program Polskiego Ładu, bardzo często posługiwał się hasłem „Śmierć polskiego neoliberalizmu". Jego zdaniem sfinansowanie nowych rozwiązań za pomocą podatków nałożonych na najbogatszych (czyli zarabiających powyżej 10 tys. zł miesięcznie) ma stanowić odpowiedź na skrajnie niesprawiedliwy, wprowadzony przez postkomunistyczną nomenklaturę system społeczny, w którym nie dba się o najbiedniejszych. Dziwnym trafem do naczelnych patologii „polskiego neoliberalizmu" Patkowski nie zaliczył utrzymującego się od wielu lat stanu faktycznego uprzywilejowania międzynarodowych korporacji prowadzących globalną politykę optymalizacji kosztów, a jednocześnie otrzymujących od polskiego państwa wielomilionową pomoc publiczną.

Rząd konsekwentnie udaje, że nie dostrzega tego problemu. Minister Kościński celebrował niedawno fakt, że wpływy podatkowe są na zadowalającym poziomie, a CIT zapewni w całym 2021 r. aż 49 mld zł, stanowiąc czwarte z kolei najważniejsze źródło przychodów budżetu polskiego państwa (przy wzroście wpływów o 60 proc.). Wystarczy jednak zaledwie rzut oka na listę największych płatników tego podatku, aby zauważyć, że dominują na nim spółki Skarbu Państwa, a nie największe przedsiębiorstwa w kraju (a w szczególności z zagranicznym kapitałem). Jak można się dowiedzieć z opublikowanej niedawno przez Ministerstwo Finansów listy płatników CIT, firma T-Mobile Polska przy 9,11 mld zł przychodów i 956,3 mln zł dochodu zapłaciła w 2020 r. zaledwie 10,4 tys. zł podatku dochodowego. Z kolei Volkswagen Motor Polska przy przychodach w wysokości 6,2 mld zł oraz dochodach 179,4 mln zł zapłacił ostatecznie 91,4 tys. zł.

Rządzący wybiegają już zapewne myślami ku mającemu zostać wprowadzonym przez wszystkie kraje OECD globalnemu minimalnemu opodatkowaniu osób prawnych, które ma pomóc ściągać podatki od stosujących optymalizację korporacji. Ustalenia w tym zakresie są już dość zaawansowane, lecz mimo wszystko pozostają wciąż pewną niewiadomą. Czymś całkowicie pewnym jest na ten moment to, że już od przyszłego roku w życie wejdą ustawy wprowadzające Polski Ład, które będą bardzo niekorzystne dla znacznej części polskiego biznesu. Po rządzie, który tak często odwołuje się do koncepcji patriotyzmu gospodarczego, można by teoretycznie oczekiwać, że przynajmniej poczeka z wprowadzeniem zmian uderzających w polskich przedsiębiorców do czasu, aż globalna inicjatywa zmaterializuje się w postaci konkretnych mechanizmów prawnych. Wybrano niestety odwrotną kolejność, co jeszcze bardziej działa na korzyść firm, do których działalności w wielu przypadkach polskie państwo wręcz dopłaca.

TO NIE WYPADEK PRZY PRACY

Wybitnie korzystny dla wielkiego zagranicznego kapitału Polski Ład nie jest niestety żadnym wypadkiem przy pracy, lecz efektem prowadzonej konsekwentnie i celowo polityki obecnej ekipy rządzącej. Wcześniej ten sam schemat działań dało się dostrzec przy okazji wprowadzonych od 1 stycznia 2020 r. podwyżek i nowych danin, które miały za zadanie załatać wynoszącą aż 85 mld zł dziurę powstałą w wyniku walki z pandemią. Praktycznie żadna z wprowadzonych wówczas opłat oraz podwyższonych stawek nie uderzyła w wielki biznes. Za wielomiesięczne wyrzeczenia związane z lockdownami finansową odpowiedzialność wzięli ostatecznie zwykli Polacy, płacąc podatek cukrowy, od deszczu, opłatę „małpkową" oraz wyższe stawki podatku od nieruchomości, opłaty mocowej czy też abonamentu.

Dopieszczanie zagranicznego kapitału w Polsce nie pozostaje niestety bez konsekwencji, gdyż przyczynia się ostatecznie do pogłębiania statusu naszego kraju jako gospodarczej kolonii. Wbrew szumnym zapowiedziom Polski Ład nie zmieni status quo, gdyż jeszcze bardziej pogrąży polski kapitał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polacy żądają wyższej inflacji!

Wydawać by się mogło, że nie ma w Polsce ani jednego Polaka, który nie przejmowałby się, nie martwił się wysoką i coraz wyższą inflacją w Polsce – bo też skąd miałby się taki Polak wziąć? – nieważne, zamożniejszy czy uboższy, a zwłaszcza uboższy, bo to w nich inflacja bije szczególnie mocno. Wydawać by się mogło, że nie ma w Polsce ani jednego Polaka, który nie martwiłby się inflacją – jeśli nie martwił się nią mocno, z całych sił, to chociaż trochę. Inflacją, która przekroczyła już niewidziany u nas od 20 lat pułap 5 proc. i nieustannie, dziarsko pnie się w górę (we wrześniu było to 5,8 proc.), pustosząc portfele każdego z nas. A zważywszy na księżycową do niedawna politykę władz monetarnych Polski – Narodowego Banku Polskiego i Rady Polityki Pieniężnej, do niedawna trzymających stopy procentowe na kosmicznie niskim poziomie, zważywszy na kosmicznie wysoki poziom inflacji – inflacja ta pustoszy nie tylko portfele, lecz także wszystkie oszczędności całego życia – odłożone w banku (albo i w sienniku), z myślą o zakupie czegoś lub po prostu na czarną godzinę.

A jednak, Szanowni Państwo, tacy Polacy w Polsce są. I – uwaga, uwaga! – jest ich niemało, a nawet całkiem sporo, bo aż więcej niż co piąty z nas! Z zaskakujących wyników sondażu pracowni badań społecznych Kantar dla „Faktów" TVN i TVN24 wynika bowiem, że nękająca nas od ponad roku inflacja nie martwi aż 21 proc. Polaków – 10 proc. z nas wzrost cen „raczej nie martwi", 9 proc. „zdecydowanie nie martwi", a 2 proc. „nie ma zdania w tej sprawie", czyli szalejący wzrost cen też ich najpewniej nie martwi, bo gdyby martwił, to wskazaliby na możliwości, które wybrało 79 proc. Polaków: że wzrost cen martwi ich „zdecydowanie" (61 proc.) lub martwi ich „raczej" (18 proc.). Ktoś złośliwie pogratulował przy tej okazji wiernych wyborców Prawu i Sprawiedliwości – bo to przecież ludzie PiS nadają kształt polityce monetarnej Polski, a więc odpowiadają także za wysoką inflację, ktoś inny wrzucił do sieci mem ze starszym człowiekiem, który oznajmia, że podwyżki cen „są dobre dla starszych ludzi, bo za te same pieniądze mają mniej zakupów do dźwigania".

Krótko mówiąc i pisząc, propagandowa machina rządzących działa bez najmniejszego zarzutu, a nawet jeszcze lepiej – czego powyższe wyniki są najlepszym dowodem. Dlatego, przyznaję, dziwi mnie, i to niepomiernie, że do przekonania jak największej liczby Polaków, że nie tylko wysoka inflacja w ogóle – czyli „wysoka inflacja jako taka", lecz także w szczególności szybki wzrost cen energii – zwłaszcza ten wzrost, który przed nami – „są dobre dla wszystkich Polaków", wynajęto aż konsorcjum, i to aż trzech firm, i to aż z Francji. Czy bowiem warto przepłacać, skoro i bez niego – siłami wybitnych krajowych specjalistów – udało się w sprawie wysokiej inflacji zrobić wodę z mózgu aż 21 proc. Polaków? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Burza się zaczyna

Nie wiem, jak wyglądały obrady Rady Polityki Pieniężnej, po których zapadła decyzja o podwyższeniu stóp procentowych aż o 40 punktów bazowych, czyli naprawdę dużo. O wiele więcej, niż spodziewała się większość ekspertów. Natomiast komunikat, który wydała RPP, brzmi alarmująco. Nie ma w nim uspokajających akcentów, do których przywykliśmy w wystąpieniach Adama Glapińskiego. Przeciwnie – jest mowa o prawdopodobieństwie utrzymania się wysokiej inflacji dłużej niż przewidywano (też mi odkrycie). RPP stwierdza: „Ceny surowców na rynkach światowych – w szczególności gazu ziemnego, a także ropy naftowej i części surowców rolnych – istotnie wzrosły w ostatnim okresie i są znacznie wyższe niż przed rokiem. [...] Podwyższona inflacja wynika w głównej mierze z oddziaływania czynników niezależnych od krajowej polityki pieniężnej, w tym wyższych niż przed rokiem cen surowców energetycznych i żywnościowych na rynkach światowych, wcześniejszych podwyżek cen energii elektrycznej i opłat za wywóz śmieci oraz globalnych zaburzeń w transporcie i funkcjonowaniu łańcuchów dostaw. Dodatnio na dynamikę cen oddziałuje także trwające ożywienie gospodarcze, w tym wzrost dochodów gospodarstw domowych". To wielkie oskarżenie wobec polityki klimatycznej UE i polityki socjalnej rządu.

Wpadło mi w ręce pismo skierowane do odbiorców przez jednego z największych w Polsce producentów glazury. Firma pisze o drastycznym wzroście cen gazu rzędu 1000 proc. wobec ubiegłego roku, o dodatkowych kosztach sięgających 700 tys. zł dziennie i zawiadamia, że będzie musiała w związku z tym zmieniać ceny w cyklu tygodniowym oraz – to kluczowe – traktuje te czynniki jako „siłę wyższą". Siła wyższa oznacza, że nie obowiązują klauzule związane z niewywiązaniem się z kontraktów czy dotyczące zmian cen.

Z tym punktem widzenia zapewne nie zgodzą się odbiorcy i bardzo możliwe, że tylko w przypadku tego jednego producenta ileś spraw trafi przed sąd, który będzie musiał rozstrzygnąć, czy skutki polityki klimatycznej UE – bo to ich pośredni skutek – to istotnie „siła wyższa". A to przecież tylko maleńki wycinek sytuacji. Takich spraw w gospodarce muszą być teraz tysiące. Nie wiem, do ilu z Państwa to już dotarło, ale żyjemy w czasach przed burzą, której pierwsze pomruki już słychać. Polityka klimatyczna UE to nie tylko kurs w stronę najbardziej wzburzonych bałwanów, lecz także jedna z przyczyn samej burzy. A nawet tajfunu. Sposobem na jego spokojne przejście na pewno nie są pomysły z Polskiego Ładu. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

WILDA CORNER

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

w Poznaniu

Grupa Inwest®

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Marmury i trochę betonu, czyli Akropol po renowacji

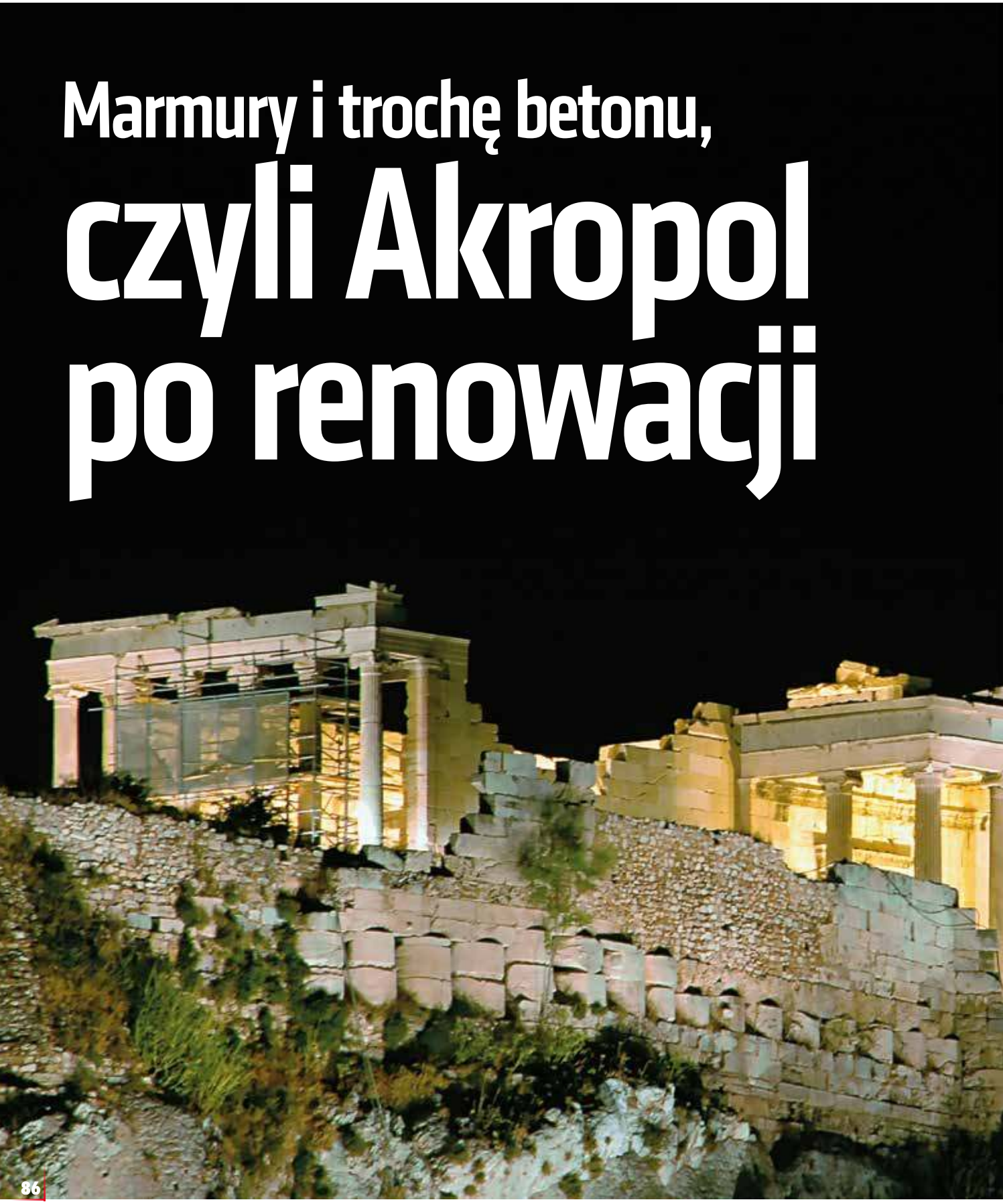

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Niewiele narodów ma taki skarb jak Akropol FOT. ADOBE STOCK

Teresa Stylińska

Jeżeli w czasach Peryklesa budowie świątyń na Akropolu w Atenach towarzyszyły jakieś różnice zdań, to historia skutecznie okryła je zasłoną milczenia. Dziś czasy są inne i sporów nie tylko nie da się ukryć, lecz także wręcz należy im nadawać należyty rozgłos. Akropolu dotyczy to nawet bardziej niż innych starodawnych budowli – bo jest wyjątkowy i z niczym nieporównywalny. Jest zarazem dziełem sztuki i symbolem – symbolem demokracji i cywilizacji europejskiej

Gdy w 1834 r. na stolicę nowej, wyzwolonej spod władzy Turków Grecji wybrano ostatecznie Ateny (wcześniej stolicą był Nafplion na Peloponezie), postanowiono, że w mieście, budowanym właściwie od podstaw, nie będzie bardzo wysokich budynków. Mieszkańcy z każdego miejsca mieli mieć widok na Partenon. Wcześniej taki problem nie istniał. W imperium tureckim Ateny były peryferyjną mieściną małych domków, niczym niewyróżniającą się i mającą zaledwie 4 tys. mieszkańców, tysiąc razy mniej niż obecnie. Jedynym, co przemawiało za umieszczeniem tu stolicy, były wspaniała przeszłość i piękna, historyczna nazwa.

Tę właśnie przeszłość przypomina każde spojrzenie na Akropol – 150-metrowe święte wzgórze. Niewiele narodów ma taki skarb. Akropol, jak to kiedyś w rozmowie z dziennikiem „Guardian" ujął Kostas Bakojannis, burmistrz Aten, „to nasze serce i nasza dusza".

Czy może więc dziwić, że podjęte ostatnio prace renowacyjne budziły adekwatne zainteresowanie? I oczywiście równie adekwatne oburzenie, gdy okazało się, że nie wszystko, co zostało zrobione, zyskało aprobatę.

BURZA O ŚCIEŻKĘ

Przyczyną konfliktu, który od wiosny toczy się wokół Akropolu, są prace renowacyjne, rozpoczęte, gdy na czas pandemii zamknięto tam wstęp. W ich ramach między innymi zainstalowano nową windę i nowe oświetlenie. O ile jednak nocna iluminacja zyskała pochwały, o tyle o biegnącą przez szczyt wzgórza nową ścieżkę wybuchła prawdziwa burza. Betonowa droga, równa i gładka, umożliwia zwiedzanie Akropolu również osobom poruszającym się na wózkach. O to przecież chodziło, taki był cel – argumentują autorzy renowacji.

Skorzystać mają zresztą nie tylko niepełnosprawni. Na dotychczasowej drodze, nieremontowanej od kilkunastu lat, nierównej i wyboistej, łatwo było się potknąć. Niejeden turysta wśród świątyń ze złotego wieku złamał nogę, wielu się potłukło. Co roku na Akropolu dochodziło do ok. 150 wypadków. Teraz ma być nie tylko wygodnie, lecz także bezpiecznie.

To jedna praktyczna strona medalu. Druga ma zupełnie inny wymiar. W grę wchodzi bowiem szacunek dla zabytku, który nie ma sobie równych w świecie. Renowacja, dowodzą jej przeciwnicy, psuje jego charakter. Może i jest wygodnie, ale Akropol z wybetonowaną drogą pośrodku nie jest już prawdziwym Akropolem. Nowe przejście nie tylko szpeci, lecz także nie pozwala poznać Akropolu tak, jak należy, bo zasłania skałę, która stanowi nieodłączny jego element. Na co autorzy renowacji – specjaliści nie mniejsi niż krytycy, dość powiedzieć, że projekt miał akceptację Centralnej Rady Archeologicznej (KAS), a wykonanie nadzorował znany archeolog Manolis Korres, uważany za jednego z najwybitniejszych znawców Akropolu – odpowiadają, że droga niczego nie niszczy, bo spoczywa na specjalnej membranie i w razie potrzeby bez trudu będzie można ją zdemontować.

Za zderzeniem racji merytorycznych kryje się jednak jeszcze coś innego. Grecja, ledwie wyszedłszy z kryzysu finansowego, popadła w kryzys pandemiczny, tym bardziej dotkliwy, że uderzył w turystykę, jedno z najważniejszych źródeł jej dochodu. Potrzebuje pieniędzy i potrzebuje turystów, Akropol zaś działa jak najmocniejszy magnes w kraju

eprasa.pl 57b2f5d2e1

i tak pełnym śladów antyku; w 2019 r., ostatnim przed pandemią, odwiedziło go 3,5 mln ludzi. Stąd krok tylko do zarzutów, że nie o bezpieczeństwo tu chodzi, lecz o zwiększenie „przepustowości" na wzgórzu i przyciągnięcie większej liczby turystów.

W tym przekonaniu utwierdza krytyków fakt, że władze greckie nie powiadomiły UNESCO, wbrew zasadom obowiązującym przy renowacji obiektów z listy światowego dziedzictwa, tak jakby chciano umniejszyć znaczenie prac. Taki rzeczywiście mógł być cel – bo minister kultury Lisa Mendoni nieraz podkreślała, że skoro nową drogę da się zlikwidować, to nie było potrzeby informowania UNESCO. Za to gdy tylko droga została położona, Akropol udostępniono domowi mody Diora na sesję zdjęciową. Była to, zdaniem krytyków, zawoalowana, lecz jasna reklama na użytek szerokiej publiczności.

HOTELE Z WIDOKIEM

Akropol można jednak skomercjalizować na różne sposoby, nie tylko przez wpuszczenie nań tysięcy ludzi. Zarabiać można już choćby na jedynym w swoim rodzaju widoku, powielonym w milionach obrazków i widokówek. Biała sylwetka Partenonu na tle czystego błękitnego nieba – któż nie chciałby mieć przed oczami takiego widoku? Kryje się w tym jednak zarzewie konfliktu o konsekwencjach poważniejszych, niż może mieć spór o betonowe przejście. Bo są to konsekwencje dla całego miasta.

Wiosną ubiegłego roku Centralna Rada Archeologiczna nakazała właścicielom pięciogwiazdkowego hotelu przy pobliskiej ul. Faliru 5 zburzenie dwóch górnych pięter. Dziesięciopiętrowy budynek, o wysokości 31,5 metra, miał zostać obniżony do 24 metrów. Potraktowano go i tak ulgowo, bo, zgodnie z wcześniejszą decyzją Sądu Najwyższego, wysokość zabudowy w całej okolicy nie może przekraczać 21 metrów. Protesty mieszkańców położonej na południe od Akropolu dzielnicy Makrojanni, którym hotel – najwyższy budynek w okolicy – zasłonił widok na wzgórze, zakończyły się więc sukcesem, który stał się znaczącym precedensem.

Decyzja KAS była tym bardziej dotkliwa, że hotel, uruchomiony zaledwie rok wcześniej, jako swój główny atut reklamował niczym nieograniczony widok na Akropol z tarasu na dachu. Czy wyrok został wykonany, czy też może sprawa ma jakiś dalszy ciąg, trudno dociec, bo hotel na swej stronie internetowej oczywiście się tym nie chwali. Niemniej decyzja sądu podziałała jak kubeł zimnej wody, zwłaszcza na tych, którym marzyło się obudowanie Akropolu ścianą wysokościowców „z widokiem". Wspomniana decyzja sądu wiązała się zresztą z wycofaniem zezwolenia na postawienie w Makrojanni kolejnego, jeszcze wyższego hotelu, jednego z siedmiu, których budowę miały w planach różne firmy.

Następuje zderzenie racji tych, którzy pragną ocalić każdy okruch przeszłości, i tych, którzy chcą godzić je z wymogami współczesności

Nie przypadkiem zatem coraz więcej mówi się o potrzebie opracowania planu zagospodarowania przestrzennego, w którym zostanie czarno na białym zapisane, jak wysoko wolno budować w Atenach w ogóle, a koło Akropolu w szczególności. Problem nie jest wydumany. W 2012 r., gdy kryzys szalał w najlepsze, władze, z myślą o korzyściach ekonomicznych, poluzowały zasady, zezwalając na budowę wyższych niż do tej pory budynków. Zgodę opatrzono jednak zastrzeżeniem, które wybitnie pachnie demagogią: budynek może być wysoki, pod warunkiem wszakże, że będzie ekologiczny.

Z tej furtki skorzystała pracownia architektoniczna Normana Fostera, która na początku lipca ogłosiła, że będzie budować najwyższy wieżowiec w Grecji. Nie stanie on w centrum ani w ogóle w Atenach, ale w pewnej odległości od miasta, na terenie dawnego, nieczynnego od kilkunastu lat lotniska. Za to mieć będzie wysokość aż 200 metrów i oczywiście wszelkie cechy budynku „superzielonego". Część greckich architektów przyjęła tę zapowiedź z dystansem, zauważając nie bez racji, że wprowadzenie aspektu „zielonego" to klasyczne „greenwashing" – przemycanie spraw i rozwiązań pod płaszczykiem ekologicznym (konstrukcja słowna inspirowana „whitewashing", czyli wybielaniem).

ANTYK W WIELU WARSTWACH

Trudno jednak nie dostrzegać, że w kraju takim jak Grecja, położonym na wielu warstwach skarbów antyku, ich obecność rodzi całą masę problemów. I nie chodzi tylko o ich utrzymanie w należytym stanie – co wymaga posiadania specjalistów, wiedzy i należytych środków. Rzecz w tym, że każda inwestycja, która obejmuje roboty ziemne, każde większe przedsięwzięcie jest utrudnione, bo nie sposób jest przewidzieć, co może znajdować się w ziemi. A każde znalezisko – rzeźby, naczynia, mozaiki – powoduje natychmiastowe wstrzymanie prac.

Również z tego powodu wszelkie inwestycje trwają w Grecji bardzo długo. Metro w Salonikach, które miało zostać oddane do użytku w 2012 r., zostanie otwarte najwcześniej w 2023 r. Podczas prac natrafiono bowiem na starożytne mozaiki, a także na pozostałości dawnego rzymskiego traktu. To zaś zawsze rodzi pytanie: Co robić? Zachować na miejscu? Skorygować inwestycję? Przekazać wykopaliska muzeum? Przenieść tymczasowo, a później, zabezpieczone, wyeksponować na miejscu? Tak postąpiono przy budowie trzeciej linii metra w Atenach i efekt jest znakomity. Sprawy tego rodzaju z reguły opierają się na sądzie, co oczywiście jeszcze bardziej wszystko wydłuża.

W każdym wypadku jest to zderzenie racji tych, którzy pragną ocalić najmniejszy okruch przeszłości, i tych, którzy chcą godzić je z wymogami współczesności. W Atenach wykopaliska na terenie agory i Keramejkosu, dzielnicy garncarzy i cmentarza, wymagały na przykład zburzenia kilku domów – rzecz tym bardziej delikatna, że jest to rejon bardzo gęsto zabudowany, pełen warsztatów, sklepów i barów, w dodatku położony nad linią metra z Aten do Pireusu. Rozpoczęta właśnie renowacja świątyni Zeusa Olimpijskiego, położonej w centrum, lecz na mniej zagęszczonym terenie, nie powinna nastręczać aż takich problemów, choć naprawdę niczego nie da się przewidzieć.

Minister Lina Mendoni ujmuje to tak: „Wszystko, co dzieje się na Akropolu, rozbudza dyskusje. Jeżeli nic nie robimy, to spotyka nas krytyka. Jeżeli coś robimy – to tak samo". Można to odnieść nie tylko do Akropolu, choć on szczególnie jest tego wart.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 57b2f5d2e1

WŁĄCZ RMF Classic

I ZMIEŃ SWÓJ ŚWIAT

NAJPIĘKNIEJSZA MUZYKA FILMOWA
– GDZIEKOLWIEK JESTEŚ

rmfclassic.pl

eprasa.pl 57b2f5d2e1

TEST „DO RZECZY": OPPO ENCO AIR

Stosunkowo niska cena, niewielka waga i szybkie ładowanie – to największe zalety budżetowych dokanałowych słuchawek chińskiej firmy Oppo.

Model Enco Air oferuje w zestawie owalne niewielkie (60 x 53 x 23 mm) białe etui, będące jednocześnie ładowarką i powerbankiem dla bezprzewodowych słuchawek. Wygląda przyzwoicie – choć wyraźnie gorzej niż w droższym modelu Enco X – a dzięki portowi USB-C jest również praktyczne w użytkowaniu.

Same białe pchełki są niewielkie i designem przypominają dużo droższe AirPodsy. Bez problemu wchodzą do uszu i dobrze się ich trzymają. Są też na tyle komfortowe, że można je z powodzeniem nosić w uszach godzinami. Dzięki Bluetooth 5.2 bezprzewodowe słuchawki Enco Air bez najmniejszego problemu łączą się z telefonem czy laptopem i utrzymują stabilne połączenie.

Dużo gorzej wygląda kwestia sterowania. Coś, co urzekało w dwukrotnie droższym modelu Enco X, w przypadku Enco Air może być jedynie źródłem frustracji. Teoretycznie sterowanie ukryte w panelach dotykowych na białych „łodyżkach" powinno być intuicyjne i wygodne – tu takie jednak niestety nie jest. Trzeba dobrze pamiętać, która słuchawka obniża, a która podwyższa głośność, a także, gdzie i jak dokładnie należy stuknąć, aby urządzenie raczyło poprawnie sterować muzyką. To, co mogło być ogromnym plusem, zamienia się więc w minus, choć zaletą utrudnionego sterowania jest to, że znacząco maleje ryzyko np. przypadkowego przełączenia utworu.

Samo brzmienie jest po prostu poprawne. Nie są to najgorzej brzmiące słuchawki, które testowałem, ale szału nie ma. Bas jest często zbyt mocno podkręcony, przez co zniekształcone są wysokie tony. Brakuje również detali i głębi. Z pewnością nie jest to więc model dla audiofilów, ale uczciwie rzecz biorąc, w tej półce cenowej nie należy się spodziewać zbyt dobrego brzmienia.

Plusem jest jakość dźwięku podczas rozmów telefonicznych – mimo że model nie jest wyposażony w tłumienie hałasu, Enco Air zapewniają podczas rozmów czysty, wyraźny dźwięk.

Testowane słuchawki długo wytrzymują na jednym ładowaniu i szybko się też ładują. Cały proces uzupełniania energii w etui i słuchawkach trwa maksymalnie półtorej godziny i pozwala na używanie słuchawek nawet przez 24 godziny. Wystarczy jednak podpiąć słuchawki do ładowania na 10 minut, aby móc słuchać muzyki i rozmawiać przez telefon przez kolejne siedem godzin.

A pozostałe wady? Poza mało intuicyjnym systemem sterowania brakuje również czujnika obecności słuchawek w uszach. Osoby biegające w ulewne jesienne dni mogą ubolewać, że Enco Air nie mają wyższego poziomu wodoszczelności (w tym modelu to IPX4).

Biorąc pod uwagę plusy i minusy, testowany model zasługuje na tróję w pięciostopniowej skali. Według mnie Enco Air mogą być więc dobrym wyborem jedynie w przypadku osób, które rzadko korzystają ze słuchawek i z tego powodu nie chcą wydawać na nie fortuny. Sam na pewno bym ich więc nie kupił, nawet za stosunkowo niską cenę, która wynosi 299 zł. Wolałbym uzbierać więcej i zdecydować się np. na rewelacyjne słuchawki Oppo Enco X – które nieporównywalnie lepiej brzmią i są intuicyjne w obsłudze – lub po prostu na klasyczne AirPodsy. ©℗ ***Jacek Przybylski***

ROSIE WEDŁUG AMAZONA

Amazon Astro to przeznaczony do domów i mieszkań samojezdny robot z tabletem zamiast „twarzy" i miejscem na kubeczek/butelkę/puszkę. Odpowiednik zaradnej Rosie z Jetsonów rozmiarem przypomina psa. Astro umożliwia oglądanie filmów i słuchanie muzyki. Można też do niego mówić, choć mimo wbudowanej sztucznej inteligencji nie jest jeszcze najmądrzejszy. Dzięki kamerce potrafi jednak pracować np. jako domowy stróż – może sprawdzić nie tylko, czy gdzieś nie grasuje włamywacz, lecz także co akurat robią dziecko, pies czy kot. Robot potrafi również podążać za użytkownikiem, co może się przydać, np. gdy podczas wideokonferencji chce się wyjść z pokoju biurowego i przejść do kuchni po filiżankę kawy. Aby zachować resztki prywatności, Astro można zakazać wchodzenia do wybranych pomieszczeń. Robot został wyceniony na 1449 dol., a więc niemal 6 tys. zł. Kto bogatemu zabroni...

NOWY TABLET NOKII

Nokia T20 to budżetowy tablet o przekątnej ekranu 10,36 cala i rozdzielczości 1916 x 1200 pikseli. Zaprezentowane w ubiegłym tygodniu urządzenie pozwala również na prowadzenie wideorozmów. Model T20 działa pod kontrolą systemu Android. Urządzenie napędza ośmiordzeniowy procesor Unisoc T610, wspomagany 4 GB pamięci RAM. Użytkownicy na swoje dane mają niecałe 64 GB wbudowanej pamięci. Nie zabrakło również złącza słuchawkowego minijack 3,5 mm. Cena ma się wahać w okolicy 1 tys. zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 57b2f5d2e1

Telewizja Republika prezentuje

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

#włączprawdę

niedziela

11:00

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 57b2f5d2e1

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Smolaki i harnicy

W XVII w. lasy dymiły za sprawą rozwiniętej gospodarki przemysłowo-wypaleniskowej. Poza drewnem spławianym do Gdańska i innych portów pozyskiwano z nich surowce na sprzedaż, jak potaż, czyli zanieczyszczony węglan potasu używany w dawnych wiekach do wyrobu mydła, szkła, bielenia tkanin, farb i innych dóbr. A także smołę, dziegieć, maź, terpentynę i węgiel drzewny, który wszakże wypalano w mielerzach, a nie w retortach jak dzisiaj.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wjeżdżając do lasu 400 lat temu, zwykle czuło się swąd dymu albo widziało jego słupy unoszące się nad zieloną gęstwiną, przy nich krzątała się zaś cała społeczność ludzi trudniących się wspomnianym wyżej przemysłem. W zależności od regionu i wyrabianych substancji zwano ich: budnikami, smolakami, harnikami, dziegciarzami lub maziarzami. Najbardziej opłacalna w XVII w. była produkcja potażu, który eksportowano w beczkach szkutami do Gdańska. Władysław Łoziński podaje, że w 1636 r. jeden tylko magnat z Rusi Czerwonej Hieronim Korybut Wiśniowiecki przygotował i sprzedał kupcowi Pawłowi Boimowi 180 ton surowca, w dodatku „czystego, tłustego, niewęglastego i niezamoczonego, i dobrze wyprawionego". Sam zadatek wyniósł 27 tys. zł, za co można było kupić dobrą wioskę. Piotr Potocki, wojewodzic bracławski, wyprawił do Gdańska 216 ton, Marcin Kalinowski, wojewoda podolski, za 108 tys. zł, czyli roczny dochód bogatego magnata, dostarczył 120 ton potażu. W halickiej ziemi, w Karpatach i na nizinach, pod toporami padały całe lasy, z których najlepsze drzewa spławiano rzekami, a pozostałe palono, przerabiając na popiół i surowce. Z ludzi zatrudnionych przy wyrębach i wypalaniu powstała specyficzna społeczność harników i smolaków, pierwowzór dzisiejszych węglarzy z Bieszczadów. Wkrótce na Rusi Czerwonej utworzono z nich straż służącą do tropienia i zwalczania rozbójników – a w pierwszej połowie XVII w. starostowie przemyscy i sanoccy zorganizowali z nich własną milicję wojskową.

Jak wyglądał proces wytwarzania potażu i innych surowców leśnych? Smołę pozyskiwano z żywicznych pniaków sosnowych zwanych karpiną – często przechowywano je w ziemi przez kilka lat, aby podeszły żywicą. Następnie pniaki owe podgrzewano w wykopanym w ziemi piecu, gdzie znajdowały się dwie komory – niższa, z otworami, przez które ściekał surowiec, i wyższa, do której wkładano pniaki, obklejano gliną i rozpalano ognisko dokoła, aby podnieść temperaturę kawałków drzewa. Kiedy osiągała ona ok. 700 st. C, po całych godzinach albo dniach do dolnego naczynia zaczynały spływać produkty suchej destylacji – terpentyna, dziegieć, maź lub smoła, w zależności od tego, jakie drewno załadowano do górnego naczynia. Na smołę przeznaczano smolne pniaki, na dziegieć pnie brzozowe i sproszkowaną korę dębową. Natomiast węgiel drzewny wypalano z dobrego dębu, sosny czy świerku. Tę procedurę przeprowadzano jednak w mielerzach – ogromnych stosach, poukładanych w okrąg i nakrytych darnią, ziemią lub gliną. Na środku pozostawiano duszę – czyli słupek, który po ukończeniu pracy usuwano i wsuwano tam pochodnię na tyczce, aby podpalić stos od środka. Wówczas następował powolny proces zwęglania się drewna. Na koniec rozbijano lub rozkopywano zewnętrzną powłokę i wydobywano węgiel drzewny.

Proces pozyskiwania potażu wyglądał inaczej, gdyż najpierw ługowano popiół drzewny wodą. Najlepszy był z twardego drewna liściastego – dębu, brzozy, buczyny. Następnie popiół podgrzewano w wielkich kadziach, w których pozostawały potem kawałki tej substancji, pakowane do beczek i przetaczane na szkuty i dubasy.

Każdy zatem, kto 400 lat temu zapuszczał się w leśne ostępy, czuł swąd smolnego dymu i widział mniejsze lub większe dymiące doły albo pagórki – mielerze. Cóż pozostało po tym obrazie do naszych czasów? Przede wszystkim nazwy miejscowości. Budnicy przemieszczali się bowiem z miejsca na miejsce, a ich prymitywnie sklecone osady zwano Budami. I te wszystkie dzisiejsze Budy – Polskie, Ruskie, Pietrzykowskie, Małe i Duże – są pamiątkami po dawnych czasach. Teraz często leżą w szczerym polu, co daje pojęcie, jak wielkie bory i puszcze zarastały dawną Rzeczpospolitą. Kolejna pamiątka to miejscowości trudniące się wyrobem potażu – a więc wszelakie Potasznie, Potaszniki, Potasze i inne miejsca, skąd wyprawiano na handel dobro cenne prawie jak złoto. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

HISTORIA CHŁOPCA SPALONEGO PRZEZ SS

Piotr Włoczyk – **Niemiecka masakra w Lasach Janowskich**
Grzegorz Janiszewski – **Polowanie na Krügera**
Sławomir Koper – **Zagadka śmierci Wieniawy**
David Krajicek – **Dlaczego zamordowano żonę Polańskiego**
Piotr Zychowicz – **Dwa ludobójstwa: Wołyń i Rwanda**
Mikołaj Iwanow – **Czekista w Warszawie**
Jacek Bartosiak – **Wyścig mocarstw w kosmosie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 57b2f5d2e1

HISZPAŃSKIE SMAKI ADRIANA STOJEWSKIEGO

Chciałbym zdradzić Wam przepis na chrupiące croquetas de jamón serrano, które znajdziemy praktycznie w każdym barze w Hiszpanii. Serwowane są najczęściej jako tapas, czyli małe „przystawki" podawane wraz z winem lub piwem. Zgodnie z przekazami historycznymi pierwszą wersję tej potrawy przygotował francuski kucharz Antonin Cáreme w 1817 r. na bankiecie na cześć pary królewskiej Anglii i księcia Rosji Mikołaja. Był on zwany królem kucharzy i szefem królów. Bazą croquetas były jednak ziemniaki i brak w nich było beszamelu czy jajek. W Hiszpanii potrawa ta ewoluowała i powoli zaprzyjaźniała się z Hiszpanami przez jeszcze blisko sto lat. Od początku XX w. była już ogromnie popularna na terenie całego kraju.

Składniki:

- 1 łyżka oliwy extra virgin
- 3 czubate łyżki mąki
- 250 ml mleka
- 1 jajko
- 80 g bułki tartej
- gałka muszkatołowa
- 150 g szynki serrano
- olej do smażenia

Przygotowanie:

1. Szynkę kroimy na drobną kostkę ok. 0,5 cm. Wlewamy oliwę na patelnię i włączamy ogień.
2. Rozgrzewamy oliwę i ściągamy z ognia. Niezwłocznie dodajemy mąki i mieszamy intensywnie, aż zasmażka będzie gotowa. Zasmażkę stawiamy na średnim ogniu i powoli (najlepiej łyżką) dolewamy mleko. Cały czas mieszamy, aż do otrzymania jednolitej konsystencji.
3. Pod koniec dodajemy szczyptę gałki muszkatołowej, dalej mieszając, aż do zgęstnienia. Następnie przekładamy masę na płaski talerz i odstawiamy do ochłodzenia.
4. Ubijamy lekko jajko, a z masy formujemy wałek o średnicy ok. 3 cm, a następnie tniemy na równe części.
5. Krokiety zanurzamy w ubitym jajku i obtaczamy w bułce tartej. Na głębokiej patelni lub w rondlu podgrzewamy dużą ilość oleju. Wkładamy ostrożnie po kolei wszystkie krokiety. Gdy będą miały złoty kolor, są gotowe do wyciągnięcia. Po wyciągnięciu odsączamy na papierze. ©℗

oprac. raw

Adrian Stojewski od ponad 10 lat stara się, aby Polacy, tak jak on, oszaleli na punkcie hiszpańskiej kuchni! Uczył się gotować pod okiem mistrzów hiszpańskiej kuchni z gwiazdkami Michelin. Ukończył szkołę gastronomiczną w Polsce i studiował na kierunku kulinarnym w Hiszpanii. Prowadzi blog hiszpanskiesmaki.pl i warsztaty kulinarne.

FOT. KRZYSZTOF WRÓBLEWSKI

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pani Zosia, 50+

Pani Zosiu, czy ja mógłbym panią oszukać? Znamy się 30 lat, chodzimy do tego samego kościoła. Z pani mamą tyle lat się znamy.

Mowa ta, wystosowana przez sprzedawcę śliwek pana Stanisława, adresowana była do pani w średnim wieku, która zaczęła narzekać. Że węgierka niesłodka, że u sąsiadów jest po 3 zł, nie po 4.

Pan Stanisław, tak samo jak inni podobni sprzedawcy na targu w Konstancinie, zachował na tę odzywkę zimną krew i dobry humor. Mimo że czasem ma dość pań takich jak pani Zosia, które przebierają, narzekają, wybrzydzają. Jest ich tutaj w środę sporo, bo to nie jest dzień eleganckiego towarzystwa, które przyjeżdża w sobotę audi Q5 po kwiaty i kozi ser. Środa to dzień gospodyni. Może niezupełnie wiejskiej, ale małomiasteczkowej. Bo w Konstancinie są nie tylko rezydencje z wysokimi płotami na Królewskiej Górze, lecz także bloki na Grapie, a w okolicach skromne domki, miłe, ale bez aspiracji. Przeciętna tutejsza pani Zosia ma lat 50+, ciągnie za sobą wózeczek, pilnie porównuje ceny i raz po raz zagaduje do spotykanych w głównej alejce znajomych.

Tak, to przedstawicielka już trochę zapomnianego gatunku moherowego, zastąpiły ją Grażyny z Podkarpacia. Niezamożna, niezbyt elegancko ubrana, za to dbająca o wyżywienie siebie, męża na emeryturze, dzieci i wnuków. Zapobiegliwa i oszczędna. Nie należy na pewno do kategorii młodych, szczupłych, wiecznie spieszących się i zestresowanych blondynek, które parkują swoje minimorrisy na miejscu dla inwalidów. Raczej też nie do wyznawczyń toruńskiego Kościoła. Do Kościoła tak, ale nie fanatycznie. Zbyt na to pragmatyczna.

FOT. ADOBE STOCK

Jest po pięćdziesiątce albo po sześćdziesiątce, ma niezbyt wysoką emeryturę, ale prowadzi dom zapobiegliwie i oszczędnie, często pomagając dorosłym dzieciom. Ugotuje zupę, upiecze ciasto. W niedzielę zaprosi na obiad, dla młodych czasem to uciążliwy obowiązek (zawsze ten rosół), ale obiad przyjemnie jest zjeść, gdy nie trzeba robić go samemu. To ona posiedzi z dziećmi, gdy są chore i nie mogą iść do przedszkola. Teściowa, takie niesympatyczne słowo, ale bardzo pożyteczne. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wybory w czasach zarazy

Czy koronawirus ma wpływ na wynik wyborów i frekwencję? Mieliśmy scenariusz wyborczy w ostrym roku 2020. Widać wtedy było parę tendencji, które w różnych wariantach ćwiczone są w roku obecnym w innych krajach.

Po pierwsze, okazało się, że wybory wcale nie są rachunkiem, który wystawia władzy społeczeństwo za postępowanie w najważniejszej obecnie sprawie, czyli pandemii. Nie są one w ogóle tematem, który podjęłaby któraś ze stron. Nawet opozycja tu nie punktowała, jakby strategia władz nie miała wpływu na losy społeczne, gospodarcze czy przeżywalność Polaków w ogóle. Ale od dawna polityka (zwłaszcza nasza) nie zajmuje się sprawami istotnymi. Myślę, że to ze strony polityków wcale nie był akt wspólnotowej solidarności w czasach trudnych, ale kalkulacja, że temat covidowy przenika w poprzek wszelkie grupy elektoratu. A to oznacza, że ten temat poruszany w każdym przypadku może zdekapitować z połowę namierzonej grupy celowej, czyli tu obowiązuje porozumienie ponad wyborami.

Druga kwestia to wybory korespondencyjne. U nas rozegrane cynicznie taktycznie, głównie przez opozycję. Niech przypomnę, że – dzięki felonii Gowina – opozycji udało się przeciągnąć uchwalenie korespondencyjnych wyborów poza ustawowe terminy, te przepadły, a teraz totalni chodzą i opowiadają, że to był delikt władzy, która w terminie nie była w stanie nawet zorganizować wyborów. Niemniej odbyły się one w trybie hybrydowym.

Trzecia rzecz to frekwencja. Była solidna, jak przystało na wybory trybalne, czyli pomiędzy dwoma plemionami wojny polsko-polskiej. Ale zobaczmy, jak to wygląda w roku 2021, na przykładzie Niemiec. Mamy tu również wysoką frekwencję, ale tylko minimalnie wyższą od tej z 2017 r., gdy wyniosła ona 76,2 proc. W Niemczech frekwencji nie stymuluje taki ostry duopoliczny podział jak w Polsce. COVID też nie był tematem (reguła obowiązuje), obecny układ polityczny zaś lekko się tylko przegrupował. Za to procent głosów oddanych korespondencyjnie wystrzelił do góry na poziom 48 proc., w porównaniu z 28,6 proc. w roku 2017. To też nowa cecha wyborów, którą – zdaje się – odziedziczymy na długo po COVID. Idą wybory we Francji i zobaczymy, jak te trzy elementy zagrają.

Tak więc COVID niewiele zmienia w płaszczyźnie wyborczej, w związku z tym – w politycznej. Kończą się złudne marzenia covidorealistów, że przyjdzie suweren i wystawi rachunek władzy za rzeczy, które zawaliła w trakcie covidowych zmagań. Siły polityczne tematu, jak widać, nie podejmą, suweren zaś ubezwłasnowolniony własnym strachem i kacem po nim nie jest w stanie wyłonić z siebie reprezentacji, która wykazałaby, na podstawie błędów pandemii, systemowe problemy państwa, które odarło na długo z podstawowych swobód swoje społeczeństwo. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Ulubione narzędzie lewicy: DONOS

Aresztowanie na lotnisku i wyrzucenie z Wielkiej Brytanii Rafała A. Ziemkiewicza, wskutek donosu, pokazało, jak w państwie, które uchodzi za wzór liberalizmu, działa demokracja.

Zdarzenie wywołało liczne komentarze, a w chórze głosów nie zabrakło także przedstawicieli lewicy, którzy choć sytuują się wobec Rafała na przeciwległym biegunie światopoglądowym, to jednak uznali, że przemoc brytyjskich urzędników wobec polskiego publicysty to grube nadużycie. Tym właśnie komentatorom chciałem przypomnieć podobny przypadek z rodzimego podwórka. Do Rzecznika Dyscyplinarnego Uniwersytetu Śląskiego wpłynął donos podpisany przez garstkę studentów, w którym zarzucają profesor socjologii pani Ewie Budzyńskiej, że na zajęciach poświęconych „Międzypokoleniowym więziom w rodzinach światowych" narzuca słuchaczom ideologię anti-choice i promuje poglądy radykalno-katolickie.

Cóż kryje się pod tak dziwacznym zarzutem? Otóż pani socjolog naraziła się studentom stwierdzeniami m.in., że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, a także przedstawieniem studentom kolejnych faz prenatalnego rozwoju dziecka w łonie matki z konkluzją, że przerwanie tego procesu, czyli aborcja, jest zabiciem dziecka… Wskazywała też poronne działania tzw. antykoncepcji „awaryjnej". Oburzeni studenci drugiego roku socjologii uznali, że pani profesor głosi poglądy nienaukowe, zachęca do dyskryminacji i uprzedzeń, dodali do tego zarzut homofobii, a żeby groźniej brzmiało, oskarżyli ją o dyskryminację wyznaniową i antysemityzm. Cały katalog oskarżeń zawarty w donosie studentów to smutna lektura. Nie dlatego, że znajdujemy tam jakieś przekroczenia prof. Ewy Budzyńskiej. Bynajmniej. Treść donosu obrazuje, jaki jest stan umysłów tych biednych, młodych ludzi. Skoro upłynęło zaledwie kilkanaście miesięcy od ich matury, to rodzi się pytanie, kiedy i gdzie zdążono im tak wyprać mózgi.

Te dzieciaki, gdy kiedyś przeczytają zapisy polskiej ustawy zasadniczej dotyczące małżeństwa i ochrony życia, pewnie też zgrzytając zębami, będą chciały ją zaskarżyć. Ale prawdziwym dramatem jest postawa Rzecznika Dyscyplinarnego UŚ Wojciecha Popiołka. On wchodzi ochoczo w postępowanie, łamiąc przy tym procedury, m.in. okazując zeznania poprzedników kolejnym zeznającym tak, by były spójne, a następnie wnioskuje o ukaranie naganą. Profesor Budzyńska nie czeka na zakończenie postępowania. Przez rok nękana procedurami, zmuszona udowadniać, że nie jest wielbłądem, nie widząc żadnego wsparcia innych wykładowców, na znak protestu przeciw cenzurze i narzucaniu lewicowo-genderowej poprawności politycznej, po 28 latach pracy składa rezygnację. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Polskie państwo bywa wariatem

A może oni chcą uruchomić białoruskie wydanie i zdobyć tamtejszy rynek? Myślę o „Gazecie Wyborczej". Czasy są ciężkie dla wszystkich papierowych dzienników, ale ku memu zdziwieniu najcięższe właśnie dla „Wyborczej". Czemu ku zdziwieniu? Gdyż dobry dla gazet czas to czas, kiedy są w zdecydowanej opozycji do rządzących, ponieważ wtedy spełniają wobec społeczeństwa tak ważną, tak ważną funkcję kontrolną. „Gazeta Wyborcza" z całą pewnością jest w zdecydowanej opozycji. Jednak w sierpniu sprzedaż „GW" rok do roku spadła najbardziej z polskich gazet, prawie o 20 proc. To jednak dużo. Innym spada wolniej. Muszą być jakieś przyczyny, że spada mocno, chociaż kontrolują władzę. Może to ta zbyt surowa surowość? W każdym razie „Wyborcza" zaszokowała, publikując materiał o naszej polsko-białoruskiej granicy wyłącznie na podstawie materiałów podanych przez media Łukaszenki. Materiał pod tytułem „Białoruska straż graniczna twierdzi, że Syryjczycy mieli być pobici przez polskich pograniczników". Autorem tekstu, który bardzo spodobał się Łukaszence, był Marcin Chołodowski. Zdziwienie na opublikowanie kwitów Aleksandra Łukaszenki było tak duże, że nawet agorowa rodzina się zdziwiła. Dziennikarz Gazety.pl Łukasz Rogojsz napisał na TT: „Patrzę i nie wierzę, że »GW« – duże, opiniotwórcze, polskie medium – powołała się na informacje białoruskiej (sic!) straży granicznej. Ludzie, nie idźcie tą drogą". Niemniej publikację „GW" na Białorusi czytano z ukontentowaniem, co być może jest sondowaniem rynku. Zobaczymy.

Tak czy owak Sławek Nowak. Temat podejrzanego o korupcję byłego ministra powrócił na TT za sprawą jego samochodu, który nie jest jego. Nowak jeździł sobie luksusowym range roverem wartym ok. 400 tys. zł, ale samochód nie był zarejestrowany na niego. Prokuratura zabezpieczyła auto na poczet przyszłych ewentualnych kar, a teraz na podstawie przepisów covidowych (!) przekazała go do użytku Straży Granicznej (!). Polskie państwo bywa wariatem i to jest właśnie ten przypadek. Jak niby SG będzie walczyć z COVID luksusowym autem? Jak to w ogóle możliwe, że bez stwierdzenia czyjejś winy można mu zabrać własność i dać kolesiom, żeby sobie używali, czyli niszczyli? W tym państwie wariacie obywatelom odbiera się stopniowo kolejne prawa. Niestety. Do łez wzruszyła mnie przy okazji rzeczniczka SG, która stwierdziła, że bardzo im się przyda limuzyna i że oni, to znaczy SG, mają swoje warsztaty, które spokojnie naprawią auto jakby co. Proszę pani rzeczniczki, w waszych warsztatach będziecie mogli takiego range rovera jedynie umyć, odkurzyć i nawoskować. Jedynie. Może jeszcze podpompować koła, ale tego nie jestem pewien. Polskie państwo bywa wariatem... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Rafał a sprawa polska

Małgośka – mówią mi – a więc mieliśmy rację, że Polska to zacofany kulturowo kraj Europy, skoro pomstujesz na rodaków. Owszem – mówię – częściowo chory i zapóźniony kraj, ale akurat nie w tym, co sobie roicie. Brytyjczycy zatrzymują i deportują kolegę Rafała, a pół Polski w euforii, bo upokorzono wroga publicznego numer jeden nadwiślańskiej lumpeninteligencji.
I jakoś niewielu pojęło, że zatrzymanie z paragrafu „opinie" to wyjątkowo niebezpieczny precedens i alarm dla wszystkich posiadaczy rozumu i sumienia.

Gdy niedawno znany dziennikarz francuski – Éric Zemmour, mający etykietkę „faszysty" – został kolejny raz zaatakowany na ulicy przez muzułmanina i zwyzywany od rasistów, niemal cały dziennikarski świat Francji pospieszył z wyrazami wsparcia i solidarności, choć wielu z adwersarzy odmawia nawet uczestniczenia we wspólnych debatach z nim. Wzruszony Zemmour dziękował swoim oponentom, którzy zachowali się solidarnie i po ludzku w „godzinie próby".

W Hiszpanii rozdartej politycznie na pół także liczne są przypadki, gdy dziennikarze potrafią wznieść się ponad plemienne spory. Kiedy ostatnio reprezentant skrajnej lewicy w Kongresie Pablo Echenique odmówił na konferencji prasowej odpowiedzi na pytanie dziennikarza prawicowego, zasłaniając się szacunkiem dla zawodu (który jego zdaniem dobrze reprezentują jedynie dziennikarze lewicy), wtedy głos zabrał dziennikarz lewicowego Radia Onda Cero i demonstracyjnie zadał identyczne pytanie, aby zrewanżować się za upokorzenie kolegi z prawicowej stacji. I to, owszem, są właśnie standardy europejskie, których nie znają i nie praktykują nasze „elity" skupione na likwidacji TVP Info, lżeniu „reżimowych" dziennikarzy i przyklaskujący aresztowaniu Rafała. Tu rzeczywiście pełna zgoda. Gdzie nam do Europy z takimi „elitami"? Tu aż świszczy w uszach od przeciągów jak na azjatyckim stepie. A obok rodzimych Hunów od ośmiu gwiazdek w herbie wtacza się na scenę debaty zastęp symetrystów, którzy zanim wyrażą solidarność z Rafałem, to dwa razy powtórzą, że się nim brzydzą. I nie przychodzi im jakoś do głowy ten prosty fakt, że jeśli wciąż możemy się cieszyć nieistniejącym na Zachodzie pluralizmem mediów, to tylko dlatego, że Rafał i spółka od lat odpierają zmasowany atak progresistów i lewaków, aby tacy symetryści jak oni mogli gdzieś na tyłach hamletyzować i dzielić włos na czworo. Tak, tak, Mirmiłki, możecie sobie żyć w rytm lelum polelum tylko dlatego, że dzielni woje Kajko i Kokosz nadstawiają za was głowę w starciu z Hegemonem lewicy. ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Efekt Dunninga-Krugera

Nauka to potęga, tylko warto jej osiągnięcia stosować właściwie w odniesieniu do praktyki. Przy analizie fenomenalnej głupoty, która panuje ostatnio w niektórych kręgach życia publicznego, nieodzowne jest zastosowanie efektu Dunninga-Krugera. Otóż dwaj psychologowie z amerykańskiego Uniwersytetu Cornella w stanie Nowy Jork – Justin Kruger i David Dunning – zbadali pod koniec lat 90. ubiegłego stulecia statystycznie zjawisko ludzkiej samooceny w trzech kategoriach: myślenia logicznego, znajomości gramatyki i poczucia humoru. Wybór ten nie był przypadkiem, te trzy kategorie są bowiem istotne w działalności publicznej. Osoba publiczna, zwłaszcza aspirująca do roli autorytetu, winna wyróżniać się logiką i prawidłowym językiem, a poczucie humoru jest sprawdzianem inteligencji i zdolności autorefleksji.

Wynik badań obu uczonych potwierdził najgorsze obawy. Uczestnicy badania najniżej notowani w testach charakteryzowali się jednocześnie najwyższą samooceną, podczas gdy ci, którzy wykazali się najwyższymi kompetencjami w tych trzech dziedzinach, na ogół nie doceniali swej wiedzy i umiejętności. To więc, co obserwujemy w życiu publicznym, jest efektem kompletnego braku równowagi w samoocenie: ludzie pozbawieni inteligencji, zdolności logicznego myślenia, wiedzy, a nawet mówiący niepoprawnie lub nieporadnie są nadreprezentowani w życiu publicznym, ponieważ nie mają zahamowań. Może to zresztą wynikać z tego, że czując się pewnie w jakiejś dziedzinie, uważają, że poradzą sobie w każdej innej.

Wykryty przez Dunnina i Krugera błąd poznawczy, zwany także w psychologii „złudzeniem ponadprzeciętności", w literaturze znany jest jako Lake Wobegon effect, w ślad za miasteczkiem wymyślonym przez znakomitego żartownisia z Minnesoty Garrisona Keillora. Otóż w miasteczku owym wszystkie dzieci były podobno „ponadprzeciętne". Poważni psychologowie twierdzą, że przyczyną tego zjawiska może być stosowanie uproszczonych reguł wnioskowania, czyli heurystyki wydawania sądów, dobieranie sobie fałszywych punktów odniesienia, skrajny egocentryzm, nieumiejętność uogólniania zjawisk szczegółowych, a także „szum umysłowy".

Sprawa ma jednak także drugą stronę. Powstaje bowiem pytanie, skąd się owi ludzie biorą na publicznym świeczniku. Czy sama „asertywność", tupet czy bezczelność wystarczy? Ktoś ich tam jednak chce i powstaje pytanie, kto oraz dlaczego. Na to pytanie nauka jeszcze nie znalazła odpowiedzi, ale postawić można dwie hipotezy. Po pierwsze, mogą ich tam chcieć wyborcy, pragnący widzieć na świeczniku osobników podobnie bezrefleksyjnych lub może tylko nieco mądrzejszych od siebie. Po drugie zaś, ludzie tego rodzaju mogą być przydatni do manipulacji. Wylansowanie głupka w polityce daje bowiem możliwość prawie nieograniczonego wykorzystywania go w swoim celu.

Ta druga hipoteza broni się jednak z trudem. Co prawda, łatwo można znaleźć osobników, którzy będą szarpać zasieki na własnej granicy lub ganiać się ze strażnikami granicznymi, pytanie jednak, po co mają to robić. Pomoc dla rzekomych uchodźców po drugiej stronie granicy to wymówka równie głupia jak same te czynności. Jak to więc jest, że ktoś niby lepiej wiedzący, a stojący w cieniu używa publicznych głuptasów do głupich celów? Na przykład walka z własnym państwem po to, by zdobyć w nim władzę, jest zajęciem na dłuższą metę idiotycznym, bo skutkiem tego może być zajęcie tego państwa przez kogoś innego i cała robota pójdzie na marne. Również sprowadzanie imigrantów w celu uzupełnienia braków w podaży siły roboczej bez rozeznania ich kwalifikacji wygląda na działanie bezsensowne. Oczywiście ludzie żywiący złudzenie nadprzeciętności mogą poprzeć każdy idiotyzm, ale dlaczego decyzje takie podejmowali ludzie sprawujący władzę w wielu państwach zachodnich – to wymagałoby dalszych badań. ©℗

To, co obserwujemy w życiu publicznym, jest efektem kompletnego braku równowagi w samoocenie: ludzie pozbawieni inteligencji, zdolności logicznego myślenia, wiedzy, a nawet mówiący niepoprawnie lub nieporadnie są nadreprezentowani w życiu publicznym, ponieważ nie mają zahamowań

eprasa.pl 57b2f5d2e1

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

POLAND FIRST

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

W sieci oferty pracy. Coraz więcej. I rząd się chwali, że rozkręca gospodarkę, skoro firmy poszukują pracowników. Liczba zatrudnionych wzrasta, firmy więcej produkują, więcej zarabiają, płacą podatki – interes gospodarczy się kręci, czyli... dobrze.

Nieprawda. Większa liczba ofert pracy bierze się stąd, że brakuje ludzi chętnych do roboty, więc trzeba na nich polować. A brakuje dlatego, że coraz mniej osób chce się zatrudniać w sytuacji, gdy mają socjal, a rząd obiecuje zwiększenie socjalu ponad to, co już jest wielkie.

No i te oferty pracy nie są skierowane do Polaków, lecz do Ukraińców i Syryjczyków, a Polacy we własnym kraju nadal tkwią na bezrobociu. Jak to możliwe? Proszę posłuchać:

Oferuję pracę w magazynach. Okolice Poznania, Wrocławia, Bydgoszczy, Gdańska, Warszawy (hm... czyli duże aglomeracje, gdzie są tysiące bezrobotnych Polaków). Liczenie i układanie towaru, robienie dostaw, rozładunek ciężarówek (czyli praca prosta, nie wymaga długiego szkolenia i mógłby ją podjąć każdy bezrobotny Polak).

Oferujemy: umowę o pracę, stawkę 26 zł netto/h + 50 proc. za nadgodziny i soboty oraz dodatkowe benefity, takie jak pakiet zdrowotny Lux Med oraz Fit Sport (hm… czyli za nadgodziny płacą 39 zł i jeszcze siłownia, i darmowe leczenie w prywatnej przychodni).

Na końcu dopisano uczciwie: podane stawki dotyczą obcokrajowców. Dla Polaków stawka wynosi 14 zł netto bez płatnych nadgodzin i benefitów.

Dlaczego Polak ma w Polsce gorzej od Ukraińca i Syryjczyka? Napisali trochę niżej: połowę wynagrodzenia oraz benefity refunduje Europejski Fundusz Pomocy Imigrantom.

Skoro Unia dopłaca połowę do Ukraińca, to wychodzi taniej zatrudnić obcego niż Polaka.

***

Gdy polski pracownik robi się zbyt kosztowny, firmy zatrudnią Ukraińca na czarno lub z unijną dopłatą. Mimo to o likwidacji płacy minimalnej nikt nie chce słuchać, bo „przecież musi być stawka minimalna i ochrona pracownika, bo inaczej będzie wyzysk". O likwidacji pomocy dla imigrantów też lepiej nie mówić, bo „przecież trzeba pomagać biednym ludziom".

Europejskie fundusze pomocy imigrantom powodują, że obcemu można zapłacić dużo więcej niż Polakowi, bo połowę z tego odda nam Fundusz. Polak może by i przyszedł do roboty za 40 zł na godzinę, ale za Polaka całe 40 zł musi wyłożyć przedsiębiorca. Oferując to samo Syryjczykowi, przedsiębiorca płaci ze swoich jedynie 20 zł. Uchodźcy można jeszcze dorzucić pakiet medyczny, za który zapłaci Fundusz, a Polakowi nie zapłaci, lecz doliczy do wynagrodzenia i opodatkuje.

***

Nie da się utrzymać wysokiego poziomu życia w kraju, gdzie są socjal i jednocześnie otwarte granice. Albo-albo. W USA dawno temu nie było socjalu i wtedy kto chciał, mógł tam wjechać i dorobić się majątku. Potem pojawiły się dobrobyt oraz socjal i dlatego uszczelniono granice, wprowadzono wizy etc. A teraz ekipa Bidena robi dwie rzeczy jednocześnie: granicę z Meksykiem otwarto, a w Waszyngtonie uchwala się coraz większe programy pomocowe dla każdego, również dla nielegalnych imigrantów. No bo przecież biedne dzieci nielegalnych imigrantów muszą gdzieś chodzić do szkoły (darmo), do doktora (darmo), gdzieś mieszkać (darmo), a ponieważ nie mają pracy, to trzeba im jeszcze dać zasiłek. A gdy się okazuje, że mamusia z dzieckiem przyszła przez Rio Grande, ale bez tatusia, to tatusia trzeba dowieźć do nich samolotem (darmo) w ramach programu łączenia rodzin. Takie działanie prowadzi do bankructwa.

Dodam, że w Polsce robimy sobie dokładnie to samo – granica wschodnia nie jest szczelna, Wojska Ochrony Pogranicza mają broń, ale nie strzelają, choćby na postrach, lecz zajmują się rozdawaniem wody i koców. Każda butelka darmowej wody rozdana osobom nielegalnie przekraczającym granicę jest zachętą do popełniania przestępstwa polegającego na nielegalnym przekraczaniu granicy.

***

Co robić?

Najtaniej byłoby stosować regulamin WOP, czyli strzelać, ale na to, jak widzę, nie ma zgody. Dobra, są inne sposoby. Przykład: niedawno mieliśmy w USA wielotysięczną falę imigrantów z Haiti. Ci uchodźcy nie przyjechali wprost z Haiti – przez wiele lat mieszkali w innych krajach, i to wysoko rozwiniętych, typu Argentyna i Chile. No ale gdy usłyszeli, że Biden zaprasza, to kupili sobie bilety lotnicze z Argentyny do Meksyku, zjedli na pokładzie obiadek, wypili winko, a potem przeszli piechotką przez płytką o tej porze roku rzekę Rio Grande i już – są w USA.

Biden (przymuszony przez opozycję) deportował mikroskopijny procent tych imigrantów na Haiti, czyli do kraju pochodzenia. Do USA weszło spacerkiem kilkanaście tysięcy, Biden odesłał na Haiti dwa samoloty, ale wystarczyło. Ci odesłani uciekli z Haiti wiele lat temu i potem urządzili się np. w Argentynie. A teraz trafili z powrotem do kraju rodzinnego, z którego uciekali. Bingo!

Gdyby Polska spakowała niewielką grupę syryjskich uchodźców w rządowego tupolewa i odwiozła z powrotem do Syrii, to by się pewnie skończyło lub zmalało napieranie na naszą granicę wschodnią. Bo ci Syryjczycy zapłacili przecież Łukaszence sporą forsę za eksport do Polski, a teraz odwieziono ich do punktu wyjścia. Bingo!

Nie mam nic do Syryjczyków, nie znam ani jednego, podchodzę do tematu na chłodno – według schematu: co dobre dla Polski i Polaków, czyli POLAND FIRST (na podobnej zasadzie co Trumpowe AMERICA FIRST). ©℗

eprasa.pl 57b2f5d2e1

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
CARIE GRESS:
„OPCJA MARYI. BOŻA ODPOWIEDŹ NA KRYZYS CYWILIZACJI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~373 ZŁ~~

184,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 189 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 57b2f5d2e1

eprasa.pl 57b2f5d2e1